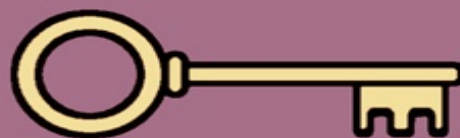
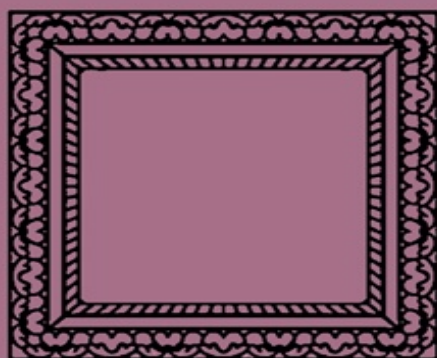


Sycylia komisarza Montalbano

ANDREA
CAMILLERI
Świetlne ostrze

„Albo już kochasz książki Andrei Camilleriego,
albo jeszcze ich nie czytałeś”

New York Times



NOIR SUR BLANC

ANDREA CAMILLERI

ŚWIETLNE OSTRZE

Przełożył

Maciej A. Brzozowski

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Nota

Przypisy

Inne książki Andrei Camilleriego

Tytuł oryginału: *Una lama di luce*

Opracowanie redakcyjne: OLGA KLECEL

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA

Projekt okładki: TOMASZ LEC

Copyright © 2012 Sellerio Editore, Palermo

All rights reserved

For the Polish edition

Copyright © 2021, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-731-5

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

1

Pogoda tego ranka, począwszy od świtu, była zmienna i kapryśna. Pewnie i z tego powodu nastrój Montalbana był cokolwiek mało stabilny. Najlepiej czuł się wtedy, kiedy miał do czynienia z jak najmniejszą liczbą osób.

Z biegiem lat coraz bardziej odczuwał zmiany pogody, tak właśnie wilgotność powietrza wpływa na kości staruszków. Coraz trudniej było wziąć się w garść i wykrzesać z siebie choć trochę radości czy chęci do życia.

Jechał z domu w Marinelli do osady Casuzza, jakieś piętnaście kilometrów drogami idealnymi dla pojazdów gąsienicowych lub wiejskimi traktami niewiele szerszymi od samochodu. Niebo z jasnorożowego zmieniło tymczasem kolor na szary, a potem na rozmyty błękit, aby zatrzymać się na niewyraźnej bieli zacierającej kontury i mąjącej wzrok.

Telefon zadzwonił o ósmej rano, kiedy kończył brać prysznic. Tego dnia wstał później, bo wiedział, że nie musi jechać na komisariat.

Wkurzył się, bo nie czekał na żaden telefon. Kto o tej porze zawraca mu głowę?

Teoretycznie w komisariacie tego dnia nie powinno być nikogo z wyjątkiem policjanta w centrali telefonicznej, jako że był to wyjątkowy dzień dla Vigaty.

Wyjątkowy z powodu wizyty ministra spraw wewnętrznych. Pan minister miał się tu zatrzymać w drodze powrotnej z Lampedusy, gdzie centra przyjęć (tak, proszę państwa, tak właśnie je nazywano!) dla imigrantów nie były już w stanie przyjąć nawet miesięcznego noworodka. Nawet solone sardynki miały więcej miejsca w puszcze.

Pan minister wyraził chęć inspekcji miasteczka namiotowego szykowanego w Vigacie. Namioty w Vigacie już się chwiały, a na dodatek ci biedni imigranci musieli spać na ziemi i załatwiać potrzeby na powietrzu.

W związku z wizytą ministra kwestor Bonetti-Alderighi zarządził powszechną mobilizację sił zarówno w kwesturze w Montelusie, jak i na komisariacie w Vigacie, by należycie zabezpieczyć trasę przejazdu znakomitego gościa, tak aby nie dotarły do niego gwizdy, wyzwiska i przekleństwa (w języku włoskim nazywane protestami) ludności, a jedynie oklaski kilku opłaconych wcześniej biedaków.

Montalbano, bez chwili zastanowienia, zrzucił wszystko na barki Mimì Augella i skorzystał z okazji, żeby wziąć urlop. Już na sam widok ministra w telewizji Montalbanowi krew uderzała do głowy, a co dopiero gdyby miał się z nim spotkać we własnej osobie osobiście, jak mawiał Catarella.

W skrytości ducha liczył na to, że z szacunku dla członka rządu ani w miasteczku, ani w okolicach nie dojdzie do zabójstwa, czy też innych czynów zabronionych. Potencjalni przestępcy z pewnością uszanują ten jakże uroczysty dzień.

No to kto w końcu mógł dzwonić?

Postanowił nie odbierać, ale telefon, po chwili milczenia, znowu zaczął dzwonić.

A jeśli to Livia? Może ma mu coś ważnego do powiedzenia? Nie ma rady, musi podnieść słuchawkę.

– Pan komisarz? Catarella sum.

O cholera, Catarella zna łacinę? Dokąd zmierza ten świat? Może jego koniec już bliski? Z pewnością się przesłyszał.

– Co mówiłeś?

– Tu Catarella, komisarzu.

Odetchnął z ulgą. Jednak przesłyszał się. Świat wrócił na swoje tory.

– Panie komisarzu, muszę pana pierwszego zawiadomić, że zdarzyło się coś poważnego i dość skomplikowanego.

Montalbano przyciągnął nogą krzesło i usiadł.

– Słucham zatem.

– No dobrze, a więc rano, jako że niżej podpisany, czyli ja stawiałem się na rozkaz pana Augella, ponieważ albowiem oczekiwano helikoptera przywożącego do nas delegację z panem ministrem...

– Przylecieli?

– Nie wiem, komisarzu. Nie jest mi to wiadome.

– A to dlaczego?

– Nie jest mi to wiadome, jako że znajduję się w innej lokalizacji.

– Czyli gdzie?

– Lokalizacja ta nosi nazwę osada Casuzza i znajduje się w pobliżu dawnego przejazdu kolejowego, tego za...

– Wiem, gdzie jest Casuzza. Ale możesz mi wytłumaczyć, co ty tam robisz?

– Upraszam o wybaczenie pana komisarza, ale jeśli będzie mi pan ciągle przerywał, to...

– Przepraszam, mów dalej!

– A więc zatem w pewnym momencie pan Augello dostał telefon od naszej centrali, gdzie zastępował mnie agent Filipazzo Michele, jako że skręcił sobie nogę i...

– Kto skręcił? Augello czy Filipazzo?

Zadrżał na myśl, że to mogło przydarzyć się Augellowi i teraz on będzie musiał powitać ministra.

– Filipazzo, panie komisarzu, i dlatego nie mógł wykonywać swoich normalnych obowiązków i przekazał je Faziowi, który po tej rozmowie telefonicznej powiedział, żebym już nie czekał na

helikopter, tylko udał się bezzwłocznie do osady Casuzza, w której to...

Montalbano był już pewien, że przed południem nie uda mu się wszystkiego dowiedzieć.

– Posłuchaj mnie, Catarella, dowiem się teraz, o co chodzi, i zadzwonię do ciebie za pięć minut.

– Ale w tym czasie mam mieć włączoną komórkę czy nie?

– Włączoną.

Zadzwonił do Fazia, który natychmiast odebrał.

– Minister już jest?

– Jeszcze nie.

– Zadzwonił do mnie Catarella, gadał przez kwadrans, ale i tak nic nie rozumiałem.

– Ja panu wszystko wytłumaczę, komisarzu. Jakiś rolnik zadzwonił do nas na centralę i powiedział, że znalazł na swoim polu trumnę.

– Pustą czy z zawartością?

– Tego nie rozumiałem, źle było słyhać.

– Dlaczego posłałeś tam Catarellę?

– Uznałem, że to nietrudne zadanie.

Podziękował Faziowi i oddzwonił do Catarelli.

– Trumna jest pełna czy pusta?

– Otóż, panie komisarzu, rzeczona trumna jest przykryta wiekiem i z tego to powodu jej zawartość pozostaje nieznana.

– To dlaczego jej nie otworzyłeś?

– Z powodu braku takiego polecenia, jeśli mi pan komisarz każe, to ja otworzę, ale to i tak niepotrzebne.

– Dlaczego?

– Bo trumna nie jest pusta.

– Skąd to wiesz?

– Wiem, jako że ten rolnik, co jest właścicielem rzeczzonego pola i który nazywa się Annibale Lococo syn Giuseppe, i który stoi teraz koło mnie, podniósł wieko wystarczająco, aby zobaczyć, że trumna nie jest pusta.

– A co w niej jest?

– Zwłoki nieboszczyka.

Czyli sprawa wcale nie była taka prosta, jak przypuszczał Fazio.

– Dobra, zaczekaj tam na mnie.

No i dlatego musiał wsiąść do samochodu i wyjechać, młąc przekleństwa.

Trumna była z tych przeznaczonych dla nieboszczyków trzeciej kategorii, najbiedniejszych, zrobiona z surowego drewna, nawet nie polakierowanego.

Spod krzywo położonego wieka wystawał kawałek białego materiału.

Montalbano schylił się, żeby lepiej zobaczyć. Palcem wskazującym i kciukiem prawej ręki chwycił materiał i lekko pociągnął. Teraz zobaczył wyhaftowane na nim, splecione litery B i A.

Annibale Lococo siedział w nogach trumny ze strzelbą na ramieniu i palił cygaro. Był spalonym słońcem pięćdziesięciolatkiem.

Catarella stał na baczność krok dalej, niezdolny do wykrztuszenia ani słowa, pokonany przez emocje związane z prowadzeniem śledztwa razem z panem komisarzem.

Pejzaż dokoła nich był rozpaczliwie smutny: więcej kamieni niż ziemi, mało drzew cierpiących od milionów lat na brak wody, kępy sorgo i dzikiej trawy. Kilometr dalej stał *casuzza*, samotny domek, od którego nazwę wzięła właśnie ta osada.

Niedaleko trumny, na piachu, który kiedyś był może i ziemią, widać było wyraźne ślady kół samochodu dostawczego i butów dwóch mężczyzn.

– To pana ziemie? – zapytał Lococa Montalbano.

– Ziemie, niby jakie ziemie? – odpowiedział Lococo, patrząc na niego ze zdziwieniem.

– Te, gdzie teraz jesteście.

– I pan to nazywa ziemią?

– Co tu się uprawia?

Zanim odpowiedział, chłop ponownie spojrzął na komisarza, zdjął czapkę, podrapał się po głowie, wyjął z ust cygaro, splunął z pogardą na ziemię i ponownie wsadził je sobie w usta.

– Nic. Co ja, do cholery, mam tu uprawiać? Tu nic nie wyrośnie, to przeklęta ziemia. Przychodzę tu polować, pełno tu królików.

– To pan odkrył trumnę?

– Tak jest.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano koło wpół do siódmej, zaraz do was zadzwoniłem.

– Był pan tu wczoraj?

– Nie, od trzech dni tu nie przychodziłem.

– Czyli nie wie pan, kiedy zostawili tę trumnę?

– Ano właśnie.

– Zaglądał pan do środka?

– Jasne, a pan nie? Z ciekawości. Zobaczyłem, że wieko nie jest przykręcone, i tak zerknąłem troszkę. W środku jest trup zawinięty w płótno.

– Niech pan powie prawdę, odwinął pan to płótno, żeby zobaczyć zwłoki?

– Ano tak.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna.

– Rozpoznał go pan?

- Nigdy przedtem go nie widziałem.
- Domyśla się pan, dlaczego zostawili go właśnie na pana polu?
- Gdybym miał taką wyobraźnię, to pisałbym powieści.

Wydawał się szczery.

- No dobrze. Proszę wstać. Catarella, podnieś wieko.

Catarella uklęknął przy trumnie i uchylił wieko.

Nagle odwrócił głowę i wykrzywił usta.

- Iam fetet – powiedział do komisarza.

Montalbano odskoczył zdziwiony do tyłu. Czyli to prawda! Nie pomylił się! Catarella mówi po łacinie!

- Co powiedziałaś?
- Powiedziałem, że już śmierdzi.

No jednak nie! Tym razem usłyszał wyraźnie! Nie było możliwości pomyłki.

– Robisz mnie w konia! – wydarł się, co w pierwszej kolejności wystraszyło jego samego.

W odpowiedzi jakiś pies zaczął szczekać w oddali.

Catarella spuścił wieko trumny i podniósł się, czerwony jak pomidor.

– Ja? Pana komisarza? Skąd panu w ogóle myśl taka do głowy przychodzi? Ja nigdy przenigdy nie pozwoliłbym sobie...

Nie mógł mówić dalej, zrozpaczony złapał się za głowę i zaczął lamentować:

- O me miserum! O me infelicem!

Montalbano całkiem stracił panowanie nad sobą, skoczył do niego i złapał go za szyję, potrząsając, jak gdyby Catarella był drzewem, z którego trzeba strząsnąć dojrzałe gruszki.

– Mala tempora currunt! – rzekł filozoficznie Lococo, pociągając cygaro.

Sparaliżowany strachem Montalbano zastygł w bezruchu.

Ten wieśniak też mówi po łacinie? Cofnął się w czasie, nie zdając sobie z tego sprawy? Ale w takim razie dlaczego byli ubrani współcześnie, nie nosili tunik i tog?

W tym momencie wieko trumny otworzyło się od środka i z wielkim hałasem upadło na ziemię. Podobny do mumii trup zaczął powoli się podnosić.

– Pan, Montalbano, nie ma za grosz szacunku dla zmarłych? – zapytał wściekły trup, ściągając prześcieradło z twarzy. Montalbano rozpoznał go.

To był pan kwestor Bonetti-Alderighi.

Montalbano długo jeszcze leżał w łóżku, rozmyślając o tym śnie, który zrobił na nim duże wrażenie.

I to nie dlatego, że nieboszczykiem okazał się Bonetti-Alderighi albo że Catarella i Lococo mówili po łacinie. To był sen proroczy, a jednocześnie w jakiś sposób racjonalny, bo następstwo zdarzeń i czas podporządkowano logice.

Każdy szczegół, każdy detal ukazany został tak, aby zwiększyć poczucie rzeczywistości. A granica między snem a jawą rozmyła się, stając się praktycznie niewidoczna. Całe szczęście, że w ostatniej części zniknęła logika, bo w przeciwnym razie chodziłoby o jeden z tych snów, których nie odróżniasz od rzeczywistych zdarzeń.

Tyle że w tym śnie wszystko było kompletnie nieprawdziwe, łącznie z przyjazdem ministra.

A co za tym idzie, niestety, wcale nie miał wolnego, tylko musiał iść do pracy. Jak każdego dnia.

Wstał i otworzył okno.

Niebo w połowie było jeszcze błękitne, ale druga połowa zmieniała już kolor, szarząc od pierzyny bezkształtnych, płaskich chmur napływających od strony morza.

Dopiero co wyszedł spod prysznica, kiedy zadzwonił telefon. Poszedł odebrać, znacząc podłogę wodą spływającą z mokrego ciała. To był Fazio.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie komisarzu, ale...

– O co chodzi?

– Dzwonił kwestor. Otrzymał pilną wiadomość, chodzi o ministra spraw wewnętrznych.

– To on nie jest na Lampedusie?

– Tak, ale podobno chce zobaczyć obóz tymczasowy w Vigacie, przyleci helikopterem za dwie godziny.

– A niech to szlag!

– To nie wszystko. Kwestor zarządził, że cały komisariat ma wykonywać rozkazy wicekwestora Signorina, który przyjedzie do nas za kwadrans. Chciałem pana uprzedzić.

Montalbano odetchnął z ulgą.

– Dziękuję.

– Pan, oczywiście, nie zamierza się pokazywać.

– Zgadłeś.

– Co mam powiedzieć Signorinowi?

– Że leżę zaziębiony i przepraszam za moją nieobecność. I że z całym szacunkiem drapię się po brzuchu. Kiedy minister sobie pojedzie, zadzwoń do mnie do domu.

Czyli przyjazd ministra był prawdą.

Można powiedzieć, że to był proroczy sen? Jeśli tak, to miałyby to oznaczać, że pan kwestor wkrótce wyląduje w trumnie?

Nie, to tylko zwykły zbieg okoliczności. Nie będzie dalszego ciągu. Zwłaszcza że, jak się nad tym dłużej zastanowić, Catarella nie zna przecież łaciny.

Telefon zadzwonił ponownie.

– Słucham?

– Przepraszam, pomyłka – powiedziała kobieta i odłożyła słuchawkę.

Czy to aby nie była Livia? Dlaczego powiedziała, że pomyliła numer? Zadzwoił do niej.

– Co ci jest?

– Skąd takie pytanie?

– No wybacź, ale dzwoniś do mnie do domu, odbieram, a ty odkładasz słuchawkę, mówiąć, że się pomyliłaś!

– A, czyli to byleś ty!

– No jasne, że ja!

– Wybacź, ale bylam tak pewna, że nie zastanę cię w domu, że...
À propos, co ty jeszcze robisz w Marinelli? Źle się czujesz?

– Czuję się doskonale! I nie wykręcaj kota ogonem!

– Niby ja?

– Mówiąć, że mnie nie poznałaś po głosie! Czy to możliwe, że po tylu latach...

– Ciężą ci, nie?

– Co mi cięży?

– Te lata spędzone ze mną.

No i zaczęła się kłótnia trwająca ponad kwadrans.

Następne pół godziny chodził po domu w samej bieliźnie. Potem przyszła Adelina i przestraszyła się na jego widok.

– O Boże, panie komisarzu, co panu jest? Źle się pan czuje?

– Ty też szukasz guza, Adelino? O nic się nie martw, czuję się świetnie. Wiesz co? Dzisiaj jem w domu, co mi przygotujesz?

Adelina uśmiechnęła się.

– A co by pan powiedział na pyszną zapiekankę z makaronem?

– Cudownie!

– A potem trzy, cztery smaźone, chrupiące barweny?

– No dobrze, pięć i po sprawie.

Nagle na ziemi objawił mu się raj.

Siedział w domu jeszcze godzinę, ale kiedy tylko poczuł niebiańskie zapachy dolatujące z kuchni, zrozumiał, że nie może tu zostać. Od razu zaczęło go ssać w żołądku. Dlatego postanowił iść na długi spacer nad morze.

Kiedy wrócił po dwóch godzinach, Adelina powiedziała, że dzwonił Fazio z informacją, że minister zmienił zdanie i poleciał do Rzymu, nie zatrzymując się w Vigacie.

Montalbano pojawił się na komisariacie po czwartej, uśmiechnięty, pogodzony ze sobą i z całym światem. Cud makaronowej zapiekanki.

Zatrzymał się chwilę przy Catarelli, który na widok wchodzącego komisarza stanął na baczność.

– Mogę cię o coś zapytać, Catarella?

– Tak jest, panie komisarzu!

– Czy ty znasz łacinę?

– Oczywiście, panie komisarzu.

Montalbanowi odjęło mowę. Był przekonany, że Catarella skończył, i to ledwo, ledwo, szkołę podstawową.

– Ale znasz dobrze?

– Tak bardzo to mu się nie przyglądałem, ale mogę powiedzieć, że znam nieźle.

Montalbano był coraz bardziej zdumiony.

– I jak to się stało?

– Że poznałem?

– Tak.

– Przedstawił mi go mój sąsiad.

– Ale kogo?

– Księgowego Vincenza Camastrę zwanego „Łaciną”.

Na twarz komisarza powrócił uśmiech. Tak lepiej, wszystko wraca do normalności.

2

Na biurku leżała, jak zawsze, góra dokumentów do podpisania. Pomędzy prywatną pocztą znalazło się zaproszenie dla pana Salva Montalbana na otwarcie galerii sztuki, która nazywała się „Mały Port”. Z tej okazji zorganizowano wystawę obrazów dziewiętnastowiecznych malarzy, właśnie tych, których komisarz tak lubił. Niestety list przyszedł za późno – otwarcie było poprzedniego dnia.

Po raz pierwszy Vigàta miała galerię sztuki. Komisarz włożył zaproszenie do kieszeni, chciał tam pójść i rozejrzeć się.

Po jakimś czasie pojawił się Fazio.

– Co nowego?

– Nic, ale może coś się zdarzyć, i to całkiem poważnego.

– A dokładniej?

– Jeśli minister nie zmieniłby zdania i przyjechał wczoraj, to mielibyśmy kłopoty.

– Dlaczego?

– A dlatego, że emigranci zorganizowali gwałtowny protest.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Na chwilę przed przyjazdem pana Signorina.

– Ostrzegłeś go?

– Nie.

– A dlaczego?

– A co miałem niby zrobić? Kiedy tylko się pojawił, ustawił nas w szeregu i kazał trzymać nerwy na wodzy i nie wpadać w panikę. Ostrzegł, że będą ekipy telewizyjne i dziennikarze, dlatego

musieliśmy zrobić wszystko, co możliwe, żeby działać perfekcyjnie. No to pomyślałem, że jeśli mu powiem, czego się dowiedziałem, oskarży mnie o panikowanie. Kazałem naszym uważnie się rozglądać i w razie konieczności interweniować.

– Słuszna decyzja.

Wszedł poruszony Mimì Augello.

– Dzwonili do mnie z Montelusy, Salvo.

– No i?

– Dwie godziny temu Bonetti-Alderighi został odwieziony do szpitala.

– Naprawdę? A dlaczego?

– Źle się poczuł, chyba coś z sercem.

– Ale to poważne?

– Nie wiedzą.

– No dobrze, dowiedz się więcej i daj znać.

Augello wyszedł, Fazio nie spuszczał z oczu Montalbana.

– Co panu jest, komisarzu?

– To znaczy?

– Kiedy tylko Augello powiedział, co się stało, zbladł pan. Nie wiedziałem, że zrobi to na panu takie wrażenie.

Przecież nie mógł mu powiedzieć, że przez chwilę widział Bonettiego-Alderighiego w trumnie, z twarzą przykrytą prześcieradłem, jak w tym śnie!

– No pewnie, że się przejąłem, przecież jesteśmy ludźmi! Bo chyba nie zwierzętami! – odburknął.

– Przepraszam – powiedział Fazio.

Milczeli przez chwilę. Wrócił Augello.

– Dobre wiadomości. Nic z sercem, nic poważnego. Niestrawność, wieczorem go wypiszą.

W gruncie rzeczy Montalbano poczuł ulgę. Sen przed niczym go nie ostrzegał.

W galerii, która znajdowała się dokładnie pośrodku głównej ulicy, nie było nikogo. Montalbano ucieszył się, będzie mógł pooglądać spokojnie wszystkie obrazy. Wystawiono dzieła piętnastu artystów, od Mafai do Guttusa, od Donghiego do Pirandella, byli też Morandi i Birolli. Prawdziwa uczta.

Przez drzwi prowadzące zapewne do biura wyszła elegancka, czterdziestoletnia kobieta w obcisłej sukni, piękna, wysoka, z długimi nogami, wielkimi oczami, wystającymi kośćmi policzkowymi i włosami czarnymi jak atrament. Na pierwszy rzut oka wyglądała na Brazylijkę.

Uśmiechnęła się do komisarza i podała mu rękę.

– Pan jest komisarzem Montalbano? Widziałam pana w telewizji. Nazywam się Mariangela De Rosa, dla przyjaciół Marian, właścicielka.

Montalbano od razu poczuł do niej sympatię. Zdarzało mu się to rzadko, ale zdarzało.

– Gratuluję, piękne obrazy.

Marian uśmiechnęła się.

– Zbyt piękne i zbyt drogie dla vigatyjczyków.

– Istotnie trudno mi wyobrazić sobie, że taka galeria, tutaj...

– Nie urodziłam się wczoraj, komisarzu, wiem, jak działać. Ta wystawa ma tylko przyciągnąć publiczność, na następnej pokażę obrazy na odpowiednim poziomie, ale przystępniejsze cenowo.

– Pozostaje mi tylko życzyć powodzenia.

– Dziękuję. Mogę zapytać, czy któryś z tych obrazów podoba się panu bardziej niż inne?

– Jeśli stara się mnie pani zachęcić do zakupu, to traci pani czas. Nie stać mnie na...

Marian uśmiechnęła się.

– Istotnie, specjalnie zadałam panu takie pytanie, ale tylko po to, żeby lepiej pana poznać. Myślę, że jestem w stanie dużo się o kimś dowiedzieć, kiedy wiem, jakich malarzy lubi i co najchętniej czyta.

– Poznałem pewnego mafiosa, miał na koncie czterdzieści zabójstw, który płakał przed jednym z obrazów Van Gogha.

– Proszę nie być złośliwym, odpowie mi pan na to pytanie?

– No dobrze. Donghi i Pirandello, nie wiem, który obraz bym wybrał.

Marian spojrzała na niego, przymykając oczy prześwietlając go jak reflektory.

– Zna się pan na tym. Ma pan gust.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

– Wcale się nie znam, ale jakoś sobie radzę.

– I to całkiem dobrze. Proszę się przyznać, ma pan jakieś ciekawe obrazy w domu?

– Tak, ale nic ciekawego.

– Jest pan żonaty?

– Nie, mieszkam sam.

– To może zaprosi mnie pan któregoś dnia, żebym mogła obejrzeć pańskie skarby?

– A pani?

– Co ja?

– Jest pani mężatką?

Marian skrzywiła piękne czerwone usta.

– Byłam jeszcze pięć lat temu.

– Jak znalazła się pani w Vigacie?

– Ja jestem z Vigaty! Moi rodzice przenieśli się do Mediolanu, kiedy miałam dwa lata, a mój brat Enrico cztery. Enrico wrócił tu

kilka lat temu po magisterce, jest właścicielem kopalni soli koło Sicudiany.

– A dlaczego pani wróciła?

– Bo Enrico i jego żona tak bardzo mnie do tego namawiali... przeszłam bardzo ciężki okres po tym, kiedy mój mąż...

– Nie ma pani dzieci?

– Nie.

– Dlaczego postanowiła pani otworzyć galerię w Vigacie?

– Żeby coś robić. Ale nie wie pan, że mam duże doświadczenie. Kiedy byłam mężatką, prowadziłam dwie galerie, jedną w Mediolanie i drugą w Brescii.

W galerii pojawiła się para pięćdziesięciolatków, rozglądających się wokół jak gdyby w poszukiwaniu zasadzki.

– Ile kosztuje wstęp? – zapytał mężczyzna, stojąc jeszcze w drzwiach.

– Nic – odpowiedziała Marian.

Mężczyzna szepnął coś do ucha kobiecie, ona odpowiedziała mu. Jej towarzysz powiedział:

– Do widzenia.

Para odwróciła się plecami i wyszła. Montalbano i Marian dostali ataku śmiechu.

Kiedy po jakiejś półgodzinie komisarz wychodził z galerii, umówił się z Marian, że następnego dnia o ósmej przyjedzie po nią i pojedą coś zjeść.

Wieczór był ciepły, nakrył więc stół na werandzie i zjadł resztki zapiekanki. Potem zapalił papierosa i zaczął kontemplować morze.

Livia, po porannej kłótni z pewnością sama nie zadzwoni, na pewno poczeka przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, żeby wzbudzić w nim żal.

Nie chciało mu się czytać ani oglądać telewizji. Wolał siedzieć beczynn timer i o niczym nie myśleć.

Okazało się to zadaniem niemożliwym do wykonania, bo umysł komisarza nie tolerował braku myśli, więc zaczął produkować je seryjnie, jedną za drugą, jak błyski flesza.

Sen z trumną, inicjały Bonettiiego-Alderighiego wyhaftowane na chusteczce. Obraz Donghiego, Catarella mówiący po łacinie. Livia, która nie poznała go po głosie. Płótno Pirandella. Marian.

No właśnie, Marian.

Dlaczego od razu się zgodził, kiedy zaproponowała wspólną kolację? Dwadzieścia lat temu odpowiedziałby inaczej, odmawiając, być może nawet niegrzecznie.

Może tak pięknej i eleganckiej kobiecie trudno było odmówić? Ale czy nie odmawiał, i to ile razy, kobietom nawet piękniejszym od Marian?

To oznaczało tylko jedno: jego charakter zmieniał się z biegiem lat. Prawda była taka, że teraz, częściej niż kiedyś, doskwierała mu samotność, męczyła go i przepelniała goryczą.

Doskonale wiedział, że noce spędzane na werandzie z papierosem i whisky to nie efekt bezsenności, ale lęku przed pustym łóżkiem.

Chciałby mieć Livię obok siebie, a jeżeli nie Livię, to inną piękną kobietę.

Co ciekawe, w tym marzeniu nie krył się żaden podtekst seksualny, chciał tylko poczuć ciepło drugiego ciała koło siebie. Pomyślał o tytule filmu, który doskonale oddawał jego myśli: „Chciałem tylko spać, mając ją obok siebie”.

Ale wokół siebie nie miał nawet takich osób, które naprawdę mógłby nazwać przyjaciółmi. Przyjaciół, którym można się zwierzyć z najbardziej skrytych tajemnic... Oczywiście przyjaźnił się z Faziem i Augellem, ale oni nie należeli do tej kategorii.

Siedział poseępny na werandzie, kończąc butelkę whisky.

Co jakiś czas przysypiał, budząc się co kwadrans.

Coraz bardziej melancholijny, coraz bardziej świadomy, że wszystko w życiu zrobił nie tak.

Gdyby ożenił się w odpowiednim czasie z Livią...

No nie, tylko nie zaczynajmy z gdybaniem.

Powiedzmy sobie szczerze, jak się sprawy mają: gdyby ożenił się z Livią, rozstaliby się po kilku latach małżeństwa. Był tego pewien, jak mało czego.

Dobrze siebie znał, wiedział, że nie umie ani nie chce dostosowywać się do innej osoby, nawet jeśli kocha ją tak, jak kocha Livię.

Nic, ani miłość, ani pożądanie, nie było wystarczająco silne, aby zmusić go do wspólnego życia pod jednym dachem.

Chyba że...

Chyba że adoptowaliby François, jak chciała Livia.

François!

François był całkowitą porażką. Chłopiec zrobił wszystko, co możliwe, żeby pogorszyć sytuację, ale to on i Livia ponosili winę.

W 1996 roku musieli wziąć na jakiś czas do domu dziesięcioletniego François, sierotę z Tunezji. Przywiązali się do niego tak bardzo, że Livia zaproponowała adopcję. Ale Montalbano nie czuł się na siłach i chłopiec powędrował do gospodarstwa siostry Mimì Augella, która traktowała go jak syna.

I być może to właśnie, patrząc z perspektywy czasu, było poważnym błędem.

Umówili się, że Montalbano będzie przysyłał co miesiąc czek siostrze Augella, w ramach udziału w wydatkach. Wydał w banku odpowiednie dyspozycje i wszystko toczyło się swoim torem przez wiele lat.

Niestety François, w miarę dorastania, pokazywał swój coraz trudniejszy charakter. Nieposłuszny, kłótlivy, marudny, ciągle w złym humorze, nawet słyszeć nie chciał o nauce, a był bardzo inteligentny. Na początku komisarz jeździł do niego z Livią, potem, jak to się często zdarza, wizyty stały się coraz rzadsze, aż w końcu w ogóle przestali go odwiedzać. Z drugiej strony chłopiec nie chciał przyjeżdżać do Vigaty, żeby zobaczyć się z Livią, kiedy przylatywała tu z Boccadasse.

Z pewnością François cierpiał z powodu swojego charakteru i być może odczuł niedoszlą adopcję jako odrzucenie. Kilka dni po swoich dwudziestych urodzinach uciekł z gospodarstwa, o czym poinformował komisarza Mimì Augello.

Szukali go wszędzie, ale nie znaleźli. Musieli się w końcu z tym pogodzić.

Ale po co grzebać w przeszłości? Tego, co się rozwalilo, nie da rady posklejać.

Na myśl o François ścisnęło go w gardle.

Pomógł sobie, wypijając resztę whisky.

W pierwszym świetle dnia zobaczył na horyzoncie trójmasztowiec zmierzający do portu.

Dopiero wtedy postanowił się położyć.

Zaraz po przebudzeniu Montalbano zorientował się, że jest w podłym humorze. Wstał i otworzył okno. Oczywiście niebo było ponure, całkowicie pokryte ciemnoszarymi, skłębionymi chmurami.

Catarella zatrzymał go przy wejściu.

- Przepraszam, ale jakiś pan na pana komisarza czeka.
- Czego chce?
- Chce złożyć skargę na zbrojną napaść.
- Augella nie ma?

– Dzwonił, że będzie później.

– A Fazio?

– Pojechał do Casuzzy.

– Znaleźli kolejną trumnę?

Catarella spojrzał na niego skonfundowany.

– Nie, tylko wybuchła jakaś straszliwa kłótnia między dwoma myśliwymi. No i jeden z nich, nie wiem, czy ten pierwszy, czy ten drugi, strzelił do tego drugiego, albo pierwszego, no i zranili go w nogę.

– Dobra, jak się nazywa ten gość do mnie?

– Nie pamiętam dobrze, di Maria albo di Maddalena, proszę o wybaczenie.

– Nazywam się di Marta, Salvatore di Marta – powiedział elegancko ubrany pięćdziesięciolatek, całkiem łysy, wyperfumowany i dokładnie ogolony.

Marta, Maria i Magdalena, pobożne kobiety z Drogi Krzyżowej. Catarella pomylił się jak zwykle, ale tym razem nie tak bardzo.

– Proszę siadać, w czym mogę pomóc, panie di Marta?

– Chciałem zgłosić napad z bronią w ręku.

– Proszę mi opowiedzieć, co się stało. I kiedy.

– Wczoraj wieczorem moja żona, Loredana, jest bardzo młoda, nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat... Bardzo się przestraszyła, myślę, że nawet ma gorączkę...

– Rozumiem, a co się stało?

– Wróciła późno, bo odwiedziła wcześniej swoją najlepszą przyjaciółkę, która źle się czuła. Nie chciała jej zostawiać samej...

– To oczywiste.

– No i kiedy tylko Loredana wjechała w ulicę Crispiego, bardzo źle oświetloną, zobaczyła człowieka leżącego na ziemi. Zahamowała, wysiadła, żeby mu pomóc, a ten zerwał się nagle, miał w ręku coś,

co Loredanie wydało się pistoletem, zmusił ją, żeby wsiadła do auta i usiadł obok niej. No i...

– Chwileczkę, jak to zmusił ją? Grożąc bronią?

– Tak, złapał ją też za ramię, tak mocno, że aż został siniak. Musiał być bardzo brutalny, żona ma siniaki także na plecach, po tym, jak wepchnął ją do samochodu.

– Coś mówił?

– Ten mężczyzna? Nic.

– Miał zasłoniętą twarz?

– Tak, takim bandażem zakrywającym nos i usta. Loredana zostawiła torebkę w samochodzie. Otworzył ją, wyjął pieniądze, wziął kluczyki z deski rozdzielczej i rzucił je daleko na ulicę. Potem...

Najwyraźniej coś plątał.

– A potem?

– Potem ją pocałował, właściwie to nie pocałował, tylko ugryzł w wargi. Żona jeszcze ma ślad.

– Gdzie pan mieszka?

– W nowej dzielnicy willowej Trzy Sosny.

Montalbano znał to miejsce. Ale coś nie dawało mu spokoju.

– Przepraszam, ale powiedział pan, że napad miał miejsce na ulicy Crispiego.

– Tak, rozumiem, co chce pan powiedzieć. Chodzi o to, że wracając do domu, nie zdążyłem wpłacić utargu ze sklepu do wpłatomatu mojego banku. Dałem więc te pieniądze Loredanie z prośbą, żeby ona to zrobiła, zanim pojedzie do przyjaciółki. Ale zapomniała, przypomniała sobie dopiero w drodze do domu, no i musiała zawrócić.

– Czyli miała sporo pieniędzy w torebce?

– Oj tak, szesnaście tysięcy euro.

– Ten mężczyzna wziął tylko pieniądze?

– No przecież jeszcze ją pocałował! Całe szczęście, że tylko pocałował, chociaż i tak bardzo gwałtownie!

– Chodziło mi o coś innego. Czy pana żona nosi zazwyczaj biżuterię?

– No tak. Łańcuszek, kolczyki, dwa pierścionki... mały zegarek Cartiera... same cenne rzeczy. No i oczywiście obrączkę.

– Niczego nie zabrał zatem?

– Niczego.

– Mam pan zdjęcie żony?

– Oczywiście.

Wyciągnął zdjęcie w portfela i wręczył komisarzowi. Montalbano popatrzył na nie i oddał.

Wszedł Fazio.

– Dobrze, że jesteś. Teraz pan di Marta pójdzie do ciebie i złoży zeznanie w sprawie napadu z bronią w rękę. Do widzenia panu. Odezwiemy się niebawem.

Jak pięćdziesięcioparoletni mężczyzna może żenić się z dziewczyną, która nie ma jeszcze dwudziestu jeden lat? I to nie z jakąkolwiek, ale taką jak Loredana. Sądząc po fotografii, była olśniewająco piękna.

Jak to możliwe, że nie policzył sobie, że kiedy dojdzie do siedemdziesiątki, jego żona skończy dopiero czterdziestkę? Czyli będzie kobietą w pełnym rozkwicie, apetyczną i pełną żądz?

No i dobrze, spędził całą noc, oplakując swoją sytuację, ale takie małżeństwo było najgorszym lekiem ze wszystkich.

Fazio wrócił po kwadransie.

– Który sklep mają?

– Największy supermarket w Vigacie. Ożenił się rok temu z jedną ze sprzedawczyń, w mieście mówili, że stracił dla niej głowę.

– Przekonuje cię ta sprawa?

- Nie, a pana?
 - Też nie.
 - Trudno wyobrazić sobie złodzieja, który chwyta za pieniądze i nie tyka biżuterii?
 - Taki w przyrodzie nie występuje. Ale może to my mamy złe myśli.
 - Wierzy pan, że ten facet istniał naprawdę?
 - Nie. Ale mogę sobie wyobrazić jakiegoś desperata, który staje się złodziejem, ale nie wie, komu mógłby sprzedać biżuterię.
 - Co mam więc robić?
 - Chcę wiedzieć wszystko o tej Loredanie di Marta. Jak się nazywa jej najlepsza przyjaciółka, gdzie mieszka, jakie są jej zwyczaje, z kim się przyjaźni... wszystko.
 - Dobrze. Mam panu opowiedzieć o kłótni myśliwych w Casuzzy?
 - Nie, nie chcę już więcej słyszeć o Casuzzy.
- Fazio spojrzał na niego zaskoczony.

3

Po wyjściu Fazio komisarz zajął się biurokratyczną mordęgą: podpisywał dokumenty. Potem, jak Pan Bóg przykazał, udał się na obiad.

– Wczoraj mnie pan zdradził – powiedział z wyrzutem Enzo, kiedy tylko Montalbano pojawił się w drzwiach.

– Zjadłem w domu, Adelina coś mi przygotowała – odpowiedział komisarz, żeby uniknąć ewentualnych scen zazdrości ze strony Enza, któremu bardzo zależało, aby Montalbano był jednym z jego stałych gości.

Historia opowiedziana przez di Martę sprawiła, nie wiadomo dlaczego, że zły humor go opuścił. Ten di Marta sam się prosił, żeby żona przyprawiła mu rogi. Montalbana zwykle nie cieszyły nieszczęścia innych, ale czasami...

– Co masz dla mnie?

– Wszystko, na co ma pan ochotę.

Zamówił i zaraz go obsłużyli. Może przecenił swoje możliwości, pozamawiał za dużo, w każdym razie zjadł tyle, że aż było mu ciężko wstać z krzesła.

Z tego powodu spacer do końca mola, odbyty w zwolnionym tempie, okazał się absolutnie konieczny.

Piękny trójmasztowiec, który widział o świcie, jak kierował się w stronę portu, zacumował teraz w miejscu, do którego codziennie o dwudziestej przybijał statek pocztowy. Najwidoczniej gość miał zamiar odpłynąć przed tą godziną.

Dwóch marynarzy z wiadrem i szczotką czyściło pokład. Nie widać było innych pasażerów ani członków załogi. Na rufie widniała nazwa

żaglowca – *Veruska*. Komisarz nie znał bandery, pod którą pływał, zresztą ile statków należących do Włochów pływało pod tą rodzimą? Przypomniał sobie pewną Veruskę, znaną modelkę.

Usiadł, jak zwykle, na płaskiej skale obok latarni i zapalił papierosa.

Zorientował się, że na środku kamienia siedzi, obserwując go, jakiś krab.

Czy to możliwe, że to ten sam, w którego od lat rzucał żwirem?

A może to jakaś krabia rodzina przekazywała sobie ten zwyczaj z pokolenia na pokolenie?

– Pamiętaj, mały, że po obiedzie pojawi się tu komisarz Montalbano, który lubi się z nami bawić. Poświęć się i pozabawiaj go, to samotny biedak, który nigdy nikomu nie zrobił nic złego.

Odwzajemnił spojrzenie i powiedział:

– Dziękuję, wybacz, krabie, ale mi się nie chce.

Krab bokiem wycofał się do wody.

Tak bardzo chciałby posiedzieć tu aż do zachodu słońca. Westchnął, wstał i ruszył w drogę powrotną.

Minął właśnie trap trójmasztowca, kiedy zobaczył trzy taksówki zatrzymujące się przy statku. Najwidoczniej pasażerowie mieli chęć pooglądać greckie świątynie.

Całe popołudnie spędził pogrążony w śmiertelnej nudzie, podpisując niepotrzebne papiery. A jednak musiał to zrobić nie tylko z poczucia obowiązku. Nauczył się, że niepodpisane dokumenty mszczą się, rozmnażając przynajmniej podwójnie, przy czym jeden zawiera pytanie, dlaczego nie podpisał poprzedniego, a drugi kopię pierwszego, w razie gdyby go nie otrzymał.

Koło siódmej wieczorem pojawił się Fazio. Wyglądał jak myśliwy powracający bez upolowanej zdobyczy.

– Mam informacje na temat Loredany di Marta.

– Mów.

– Mało tego. Jej panieńskie nazwisko to La Rocca, córka Giuseppego i Cateriny Sileci, urodzona w...

Fazio poświęcił się swojej fiksacji, czyli recytowaniu wszystkich możliwych danych osobowych. Jeżeli natychmiast go nie powstrzyma, jest zdolny wymienić także prapradziadków tej kobiety. Wbił w niego groźne spojrzenie.

– Stop, ostrzegam: jeśli dalej będziesz się oddawał tej twojej manii, to przysięgam, że...

– Przepraszam, już więcej nie będę. Chcę tylko powiedzieć, że ta Loredana, zanim wyszła za di Martę, od piętnastego roku życia była zaręczona z niejakim Carmelem Savastanem, bezrobotnym nicponiem, którego kochała do szaleństwa.

– To dlaczego rzuciła go dla di Marty?

Fazio wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale mówią, że...

– Że co?

– Że di Marta załatwił to z Savastanem.

– Poczekaj, niech zrozumiem. Że niby kazał Savastanowi zerwać z dziewczyną?

– No, tak mówią.

– A Savastano się zgodził?

– Tak jest.

– Z pewnością za kasę.

– Z pewnością słowa go do tego nie przekonały.

– Czyli di Marta w pewnym sensie kupił sobie tę Loredanę. Co o niej mówią w mieście?

– Nic złego. Zachowuje się w porządku, wychodzi z mężem albo odwiedza przyjaciółkę.

– Wiesz, jak ona się nazywa?

– Tak, Valeria Bonifacio. Mieszka na ulicy Palermo dwadzieścia osiem.

– Mężatka?

– Tak, mąż jest kapitanem parowca, spędza na morzu całe miesiące i nie pojawia się tu często.

– Czyli to był prawdziwy napad z bronią w ręku?

– Na to wygląda.

– Trzeba będzie znaleźć złodzieja.

– Nie będzie łatwo.

– Też mi się tak wydaje.

Kiedy tylko Fazio wyszedł z pokoju, komisarzowi wpadło coś do głowy. Zadzwoił do Adeliny, swojej gosposi.

– Co się stało, komisarzu?

– Nic, nie denerwuj się. Muszę porozmawiać z twoim synem Pasqualem.

– Nie ma go, wyszedł, kiedy wróci, powiem, żeby do pana zadzwonił.

– Nie, właśnie wychodzę z biura, nie będzie mnie dzisiaj także w domu. Lepiej niech zadzwoni do mnie jutro rano, do komisariatu.

– Jak pan chce.

Pasquale był zwykłym przestępcą, okradał domy, ciągle siedział w więzieniu albo z niego wychodził. Montalbano trzymał do chrztu jego synka i Pasquale, w ramach wdzięczności, dał dziecku na imię Salvo. Co pewien czas syn Adeliny dostarczał komisarzowi przydatnych informacji.

Dlaczego żaluzje w galerii były dzisiaj opuszczone prawie do samej ziemi?

Brakowało pięciu minut do ósmej, czyżby Marian zapomniała o spotkaniu?

Zniechęcony nacisnął dzwonek. Po chwili usłyszał jej głos:

– Proszę podnieść żaluzję i wejść.

Pierwsze, co zobaczył, to ściany bez ani jednego obrazu.

Nie zdążył nic powiedzieć, bo Marian wybiegła mu na spotkanie, objęła, musnęła ustami jego usta i okręciła się dookoła, śmiejąc się radośnie.

– Co tu się dzieje?

– Sprzedałam wszystkie obrazy! Wszystkie na raz! Proszę iść ze mną.

Wzięła go za rękę i pospiesznie zaciągnęła do biura. Usadziła komisarza w fotelu i wyjęła z lodówki butelkę szampana.

– Specjalnie go kupiłam, czekałam, żeby oblać z panem tę transakcję. Proszę otworzyć.

Montalbano otworzył butelkę i nalał szampana do podanych przez Marian kieliszków.

Wzniesli toast, Montalbana cieszyło szczęście kobiety.

Tym razem Marian nadstawiła usta, na których komisarz złożył niewinny pocałunek. Kobieta usiadła na drugim fotelu.

– Jestem szczęśliwa.

Szczęście sprawiało, że była jeszcze piękniejsza.

– Proszę opowiedzieć, jak to się stało.

– Dlaczego nie mówimy sobie po imieniu?

– Chętnie. W takim razie opowiadaj.

– Dzisiaj rano, koło wpół do jedenastej, weszła bardzo elegancka kobieta, mniej więcej w moim wieku. Przez godzinę oglądała wszystkie obrazy. Potem pogratulowała mi wyboru i wyszła.

– Włoszka?

– Nie sądzę. Mówiła doskonale po włosku, ale z lekkim akcentem, jak sądzę – niemieckim. Wróciła po kwadransie z otyłym sześćdziesięcioletnim mężczyzną, bardzo dystygowanym.

Przedstawił się jako inżynier Osvaldo Pedicini i powiedział, że jego żona chciałaby kupić wszystkie obrazy z wystawy. O mało nie zemdlałam.

– No i ?

– Zapytał o cenę. Szybko wszystko policzyłam i strzeliłam mu jakąś sumę. Myślałam, że będzie chciał negocjować, ale nawet okiem nie mrugnął. Powiedział, że trzeba działać szybko. Zamknęłam galerię i poszliśmy do banku. Inżynier porozmawiał z dyrektorem, zaczęli wydzwaniać. Ja wyszłam pod jakimś pretekstem, żeby napić się koniaku, ledwo trzymałam się na nogach. Kiedy wróciłam, dyrektor i inżynier poinformowali mnie, że musimy wrócić do banku o trzeciej.

– I co zrobiłaś?

– Nic, nie byłam w stanie nic robić. Czułam się skołowana, to wszystko wydawało mi się nieprawdopodobne. Siedziałam tu w fotelu, nawet nie byłam głodna, tylko bardzo chciało mi się pić. O trzeciej poszłam do banku. Był tylko Pedicini, bez żony. Dyrektor zapewnił mnie, że wszystko jest w jak największym porządku, a pieniądze otrzymam jutro, choć mogę się czuć tak, jakbym miała je już teraz. Przed galerią stały już trzy taksówki. Dwóch marynarzy przywiozło skrzynie i wszystko popakowali wedle instrukcji Pediciniego. O szóstej było już po wszystkim.

Ponownie napełniła kieliszki. Usiadła i wyciągnęła nogę w kierunku Montalbana.

– Uszczypnij mnie.

– Ale po co?

– Bo chce być pewna, że to nie sen.

Montalbano pochylił się, wyciągnął rękę i lekko uszczypnął ją w łydkę, po czym natychmiast wycofał rękę, jak gdyby przeszedł go

prąd. Marian cała drżała, jak gdyby miała kłębowisko żywych węży pod skórą. Emanowała niesamowitą energią.

– Wszystko zawdzięczam tobie – powiedziała.

– Dlaczego mnie?

– Bo to ty przyniosłeś mi szczęście.

Wstała i usiadła na poręczy fotela komisarza, obejmując jego plecy.

Jej ciało było gorące i pachnące. Montalbano poczuł, że nagle zaczyna się pocić.

Lepiej stąd wyjść na powietrze, to napięcie robi się z każdą chwilą coraz bardziej niebezpieczne.

– Wrócił ci apetyt?

– O tak, umieram z głodu!

– No to powiedz, gdzie chciałabyś...

– Najpierw skończmy butelkę.

Najwidoczniej Marian miała inny pomysł.

– Powiedziałaś bratu, co się stało?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo zaraz by tu przylecieli z bratową.

– I co z tego?

Nie odpowiedziała.

– Nie chcesz ich widzieć? – nalegał Montalbano.

– Dzisiaj wieczorem nie.

No tak, jaśniej nie mogłaby tego wyrazić! Nie lepiej spowolnić akcję, zanim wszystko się pokomplikuje?

Tymczasem nie można się upić.

– Posłuchaj, nie możemy wypić całej butelki.

– A kto nam zabrania?

– Musimy prowadzić.

– Ano tak – powiedziała z żalem, robiąc smutną minę. – Szkoda, przepraszam na chwilę.

Wstała i weszła do małego pomieszczenia obok. Komisarz zobaczył przez szparę łazienkę.

Ta chwila trwała pół godziny. Marian wyszła umalowana i świeża jak róża.

– Co chcesz zjeść?

– To, co ty.

– Lepiej pojedźmy dwoma samochodami, zaparkowałem tu, przed galerią.

– Ja też. Aha, muszę ci coś powiedzieć. Pójdę z tobą na kolację pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Dzisiaj ja zapraszam, musimy uczcić ten dzień.

– Nie żartuj.

– W takim razie nic z tego.

Mówiła poważnie i stanowczo. Montalbano nie chciał tracić czasu.

– Dobrze.

Wyszli, komisarz pomógł Marian opuścić żaluzję. Kobieta pokazała mu małą zieloną pandę.

– To mój.

– Jedź za mną – odpowiedział Montalbano, idąc w stronę swojego auta.

Chciał zawieźć ją do tej restauracji nad brzegiem morza, gdzie podawali całe mnóstwo przystawek, ale dwa razy pomylił drogę. W pewnym momencie poddał się, nie wiedział, którędy jechać. Zatrzymał się, Marian podjechała do niego.

– Nie możesz znaleźć drogi?

- No nie.
- Ale dokąd mamy jechać?
- Do takiej restauracji z przystawkami, która...
- A to ja znam drogę, jedź za mną.

Co za wtopa!

Dziesięć minut później siedzieli już przy stole.

- Brat cię tu kiedyś przywiózł? – zapytał Montalbano.
- Nie, ktoś inny – odpowiedziała, patrząc na niego. I dodała:
- Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Dlaczego nie masz żony? Jesteś rozwiedziony? Zaręczony?

To była dobra okazja. Komisarz długo opowiadał o Livii, Marian niczego nie komentowała.

Komisarz zauważył z przyjemnością, że jadła z apetytem i nic nie zostawiała na talerzu.

Opowiedziała mu o małżeństwie, które okazało się pomyłką, trudnościach z otrzymaniem rozwodu.

- Jeśli zakochasz się w innym mężczyźnie, to wyjdiesz drugi raz za mąż?
 - Nigdy przenigdy – odpowiedziała zdecydowanie.
- Potem uśmiechnęła się.
- Spryciarz z ciebie, od razu widać, że jesteś gliną.
 - Nie rozumiem.
 - Rozpocząłeś przesłuchanie, mając jeden konkretny cel.
 - Naprawdę? Niby jaki?
 - Dowiedzieć się, czy po rozwodzie byli w moim życiu jacyś mężczyźni. Tak, byli, ale to tylko historie bez żadnego znaczenia. Zadowolony?

Montalbano nie odpowiedział.

Nagle Marian odezwała się:

– Bardzo mi przykro, ale jutro muszę wyjechać. Najpierw jednak pójde do banku, żeby sprawdzić, czy wszystko zostało załatwione. Zobaczymy się dopiero za jakiś tydzień.

– Dokąd jedziesz?

– Do Mediolanu.

– Odwiedzić rodziców?

– Z pewnością ich zobaczę, ale jadę głównie dlatego, że Pedicini powiedział mi coś niezwykle interesującego.

– Mogę wiedzieć, co takiego?

– Tak, to żadna tajemnica. Chce, żebym mu znalazła jakieś wartościowe obrazy z siedemnastego wieku. Mniej więcej za dwa tygodnie wrócą z żoną do Vigaty. Podał mi nazwisko właściciela pewnej galerii w Mediolanie, który mógłby mi pomóc. Przykro ci, że wyjeżdżam?

– Trochę.

– Tylko trochę?

Montalbano wolał zmienić temat.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Czego?

– Skoro Pedicini zna tego faceta, to do czego jesteś mu potrzebna jako pośrednik?

– Pedicini powiedział mi, że nie chce pojawiać się osobiście, nawet jeśli chodzi o jego znajomego.

I dodała, głaszcząc go po rękę:

– Chcę się upić.

– Nie możesz, pamiętaj, że prowadzisz.

– Znowu to samo! To zaraz zapłacę i pojedziemy. Chyba już skończyliśmy? Nie dałabym rady przełknąć nawet małża.

Montalbano poprosił kelnera o rachunek.

– Chcesz wrócić do domu?

- Nie.
- To dokąd chcesz pojechać?
- Do ciebie, masz coś do picia?
- Whisky.
- Super, a potem pokażesz mi te płótna.
- Nie mam płócien, tylko ryciny i rysunki.
- Dobrze i to.

Weranda szalenie jej się spodobała.

- Boże, jak tu pięknie!

Usiadła na ławce i zachęciła Montalbana, żeby usiadł obok niej.

- Chciałaś zobaczyć moje...

- Potem, chodź tu.

Sytuacja była dość jednoznaczna. Mógł tylko grać na zwłokę.

- Pójdę po whisky.

Wrócił z nową butelką i szklaneczkami.

- Chcesz lodu?

- Nie, usiądź tu.

Usiadł. Wziął butelkę, żeby ją otworzyć, ale przeszkodziła mu Marian, która objęła go i pocałowała. To był długi pocałunek.

Potem położyła mu głowę na ramieniu. Montalbano nalał jej pół szklaneczki i podał.

Nie wzięła.

- Już mi się nie chce upijać, wolę być całkiem trzeźwa.

Za to Montalbano wypił za nią i za siebie, żeby otrząsnąć się z oszołomienia, psychicznego i fizycznego, wywołanego przez ten pocałunek.

Wyczuwał niepokój Marian. I rzeczywiście, po chwili wstała.

- Przepuść mnie.

Montalbano podniósł się, a kobieta, kiedy tylko znalazła się przy nim, chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Zeszli z werandy. Marian zdjęła buty.

Poszli plażą do brzegu, trzymając się za ręce.

Potem puściła jego rękę i śmiejąc się, zaczęła biec wzdłuż morza.

Montalbano usiłował dotrzymać jej kroku, ale była szybsza. Podał się.

Marian zniknęła w ciemności.

Komisarz odwrócił się i poszedł w stronę domu.

Nie poczuł, kiedy nadbiegła.

Objęła go z całych sił w pasie, odwróciła, przyłgnęła do niego drżąca i wibrująca, szepcząc:

– Proszę, proszę, potem przysięgam, że nie...

Tym razem Montalbano wziął ją za rękę i pobiegli w stronę domu.

4

Obudził się nagle, spojrzał na promień światła przenikający przez listewki okiennic. Była siódma. I od razu wszystko sobie przypomniał. Poczuł głębokie zażenowanie. Zawsze w takie poranki „dzień po” czuł wstyd i wyrzuty sumienia. Tym razem było inaczej. W nocy wydarzyło się między nimi coś niespodziewanego. I to uczucie właśnie go przerażało. Usiadł na łóżku. Druga połowa była rozpaczliwie pusta, jak każdego ranka.

Przymknął oczy, przeciągnął się, westchnął, niezdolny do uporządkowania sprzecznych uczuć kłębiących się w jego głowie.

Marian wstała, poszła do łazienki, ubrała się i pojechała, a on niczego w ogóle nie słyszał, pogrążony w odmętach snu.

Został porwany przez cyklon, prawdziwą, długą burzę równikową, której, dla jasności sprawy, z rozkoszą dał się ponieść. Burza ta, na koniec, pozostawiła go całkiem bez sił i powietrza, jak rozbitka, który wreszcie doплыnął do brzegu.

Poczuł nagły przyływ dumy. No cholera, mimo tylu lat na karku był jeszcze całkiem, całkiem...

Ale i on musiał już wstawać.

Całkiem niespodziewanie poczuł zapach świeżo parzonej kawy.

Dlaczego Adelina pojawiła się tak wcześnie?

– Adelino!

Zero odpowiedzi, usłyszał tylko przybliżające się kroki.

Potem pojawiła się Marian, ubrana już do wyjścia, z filiżanką kawy w ręku.

Przyglądał się jej z zapartym tchem, kiedy podchodziła do niego. Powróciło uczucie, którego się obawiał, a którego czasem tak silnie

doznawał.

Marian postawiła filiżankę na komodzie, radośnie się uśmiechnęła i pochyliła, żeby go pocałować.

– Dzień dobry, komisarzu. To dziwne, że się poruszam po twoim domu, jak gdybym znała go od zawsze.

W odpowiedzi ciało Montalbana zareagowało po swojemu i jego mózg nie miał z tym absolutnie nic wspólnego.

Wyskoczył z łóżka, przytulił ją mocno, ponownie rozpalony mieszanką żądz i czułości.

Ona żarliwie odwzajemniła pocałunki, ale po chwili stanowczo się odsunęła.

– Daj spokój, proszę.

Ciało Montalbana zadrżało.

– Uwierz mi – powiedziała Marian – nie wiem, co bym dała, żeby jeszcze z tobą tu zostać. Ale naprawdę muszę jechać. Ja też zasnęłam i obudziłam się za późno. Postaram się wrócić do Vigaty, jak najszybciej to będzie możliwe...

Wyjęła z torebki komórkę.

– Podaj mi wszystkie twoje numery, dzisiaj wieczorem zadzwonię z Mediolanu.

Montalbano odprowadził ją do drzwi.

Nie udało mu się jeszcze wykrztusić ani słowa, ogarnęło go wzruszenie odbierające mowę. Marian ponownie objęła komisarza i patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

– Nie miałam zamiaru...

Szybko odwróciła się i wyszła.

Montalbano, nadal nagi, patrzył na nią, wystawiając za drzwi jedynie głowę. Widział, jak wsiada do auta i odjeżdża.

Kiedy wracał do sypialni, dom wydał mu się jeszcze bardziej pusty niż zazwyczaj.

Natychmiast wyczuł niedawną obecność Marian. Rzucił się na łóżko tam, gdzie spała i zanurzył twarz w poduszkę, żeby poczuć jeszcze raz zapach jej ciała.

Był w biurze dopiero pięć minut, kiedy zadzwonił telefon.

– Komisarzu, mam tu na linii syna pana gosposi, co to jej chyba Adelina.

– Połącz mnie z nim.

– Dzień dobry, komisarzu. To ja, Pasquale. Mama mówiła, że chce pan ze mną porozmawiać. O co chodzi?

– Jak się czuje mój chrześniak Salvo?

– Rośnie jak na drożdżach.

– Potrzebuję informacji.

– Jeśli tylko będę wiedział...

– Wiesz coś o jakimś złodzieju uzbrojonym w pistolet, który napadł na Crispiego młodą dziewczynę, ukradł jej pieniądze, ale zostawił biżuterię i pocałował...

– Pocałował?

– No tak.

– I nie zrobił nic więcej?

– Nie.

– Jestem zdumiony.

– Słyszałeś o kimś takim?

– Nie, w ogóle. Ale jeśli pan chce, zasięgnę języka.

– Będę wdzięczny.

– Dowiem się i dam znać, panie komisarzu.

Mimì Augello i Fazio weszli razem do gabinetu Montalbana.

– Coś nowego? – zapytał komisarz.

– Tak – odpowiedział Augello – wczoraj wieczorem, jakieś pięć minut po twoim wyjściu, pojawił się niejaki Gaspare Intelisano, żeby

złożyć skargę.

– Na co?

– To właśnie najlepsze. Zazwyczaj ludzie składają zeznanie na policji, bo ktoś im wyważył drzwi, a tym razem wszystko jest na odwrót.

– Nic już nie rozumiem.

– No właśnie. Cała ta sprawa wydała mi się dość skomplikowana i delikatna, więc poprosiłem go, żeby pojawił się tu ponownie dzisiaj rano, kiedy będziesz. Lepiej niech z tobą pogada. Właśnie czeka, aż go przyjmiesz.

– Ale powiedz mi przynajmniej, o co chodzi!

– Uwierz mi, lepiej zrozumiesz, kiedy sam ci to opowie.

– No dobrze.

Fazio wyszedł i po chwili wrócił z Intelisanem.

Chudy i wysoki pięćdziesięciolatek wydawał się zdenerwowany. Miał białą, jakby kozią bródkę, ubrany był dość niedbale, w znoszone spodnie i kurtkę z zielonego sztruksu i ciężkie wiejskie buty.

– Proszę siadać, co się stało?

Intelisano przysiadł na krawędzi krzesła. Wytarł sobie pot z czoła chustką wielkości prześcieradła. Mimì zajął miejsce naprzeciwko niego, a Fazio usiadł przy stoliku z komputerem.

– Mam protokołować?

– Najpierw posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia pan Intelisano – odpowiedział Montalbano, przyglądając się gościowi.

Mężczyzna westchnął, ponownie wytarł czoło i zapytał:

– Mam zacząć od tego, jak się nazywam, gdzie mieszkam...

– Na razie nie, proszę opowiedzieć, co się stało.

– Panie komisarzu, zaznaczam, że jestem jedynym właścicielem trzech dużych działek, które zostawił mi mój ojciec, uprawiam na

nich winorośl i pszenicę. Trzymam je tylko ze względu na jego pamięć, bo więcej na to wydaję niż na tym zarabiam. Jedna z tych działek znajduje się w osadzie Spiritu Santo i mam z nią od cholery kłopotów.

– Dlaczego? Nic panu nie rośnie?

– Na połowie tak, druga połowa jest jałowa. Na tej dobrej sieję pszenicę, bób i fasolę, ale kłopot w tym, że przez ten teren przebiega granica między Vigatą a Montelusą, czyli moja działka jest w księgach hipotecznych dwóch miast, dlatego co jakiś czas robi się bajzel z powodu podatków, opłat i takich tam, rozumie mnie pan?

– Rozumiem, proszę mówić dalej.

– Na tę część jałową prawie nigdy nie chodzę, no bo i po co? Stoi tam domek z zawalonym dachem, nawet drzwi nie ma, rośnie jakiś migdałowiec i tyle. Wczoraj rano, przechodząc w pobliżu, bo szedłem na to żyzne pole, chciałem wejść do tego domku za potrzebą. Ale nie mogłem.

– Dlaczego?

– Zobaczyłem, że ktoś zamontował drzwi, takie solidne, z drewna, zamykane na zasuwę.

– Nikt pana nie pytał o zdanie?

– No właśnie.

– Mówi mi pan, że ktoś tam pojechał i wstawił nowe drzwi?

– Dokładnie tak.

– I co pan zrobił?

– Przypomniałem sobie, że domek z tyłu ma takie małe okno, poszedłem zobaczyć. Nic jednak nie mogłem dostrzec, bo zabito je deskami.

– Ma pan jakichś pracowników, którzy...

– Tak, na tej działce w Spiritu Santo pracuje dwóch Tunezyjczyków. Nic nie wiedzieli o tych drzwiach. Działka jest duża

i ta część, na której pracują, jest daleko od domku. Zresztą te drzwi na pewno ktoś zamontował nocą.

– Czyli nie ma pan pojęcia, czy w środku zrobiono mieszkanie czy magazyn?

– Jakiś tam pomysł mam.

– To znaczy?

– Na pewno zrobili tam magazyn.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Przed domem widziałem ślady kół jakiegoś jeepa lub czegoś podobnego.

– Drzwi są duże?

– Wystarczające, żeby wnieść sporą skrzynię.

Jakaś myśl przemknęła przez głowę Montalbana. Casuzza. Osada Casuzza. Duża skrzynia. Trumna. Ślady kół na piachu. Jakiś związek z jego snem?

Może właśnie dlatego zaproponował:

– Lepiej pojechać tam i zobaczyć.

Ale ogarnęły go wątpliwości.

– Ta część działki leży na terenie Vigaty czy Montelusy?

– Vigaty.

– Czyli pozostaje w naszej kompetencji.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą? – zapytał Augello.

– Nie dziękuję, wezmę Fazia.

Po czym zwrócił się do Intelisana:

– Możemy pojechać pańskim autem?

– Może z kimś, kto dobrze prowadzi...

– No to weźmy Galla. A pan, Intelisano, jedzie z nami.

Jakimś cudem Gallowi udało się wysadzić ich na placyku przed domem. Podróż przypominała jazdę rollercoasterem, kiedy ma się wrażenie, że żołądek zaraz wyjdzie przez nos.

Montalbano i Fazio najpierw przyjrzeni się domkowi, potem Intelisanowi, który stał z rozdziawionymi ustami.

Nie było żadnych drzwi, nic nie uniemożliwiało wejścia do środka. Każdy, kto chciał zajrzeć do domu, mógł to zrobić w każdej chwili.

– Przyśniło się panu? – zapytał Intelisana Fazio.

Mężczyzna z całych sił potrząsnął głową.

– Te drzwi tu były!

– Najpierw popatrz na ziemię, a potem gadaj – powiedział Faziowi Montalbano.

Na piachu widniały nakładające się na siebie ślady wielkich opon.

Montalbano podszedł do otworu, w którym kiedyś miały znajdować się drzwi i uważnie wszystko pooglądał.

– Pan Intelisano miał rację, tu były drzwi – powiedział. – Między kamieniami są jeszcze kawałki szybkooschnącego cementu, w miejscach gdzie znajdowały się zawiasy.

Wszedł do środka, a za nim podążyli Intelisano i Fazio.

Połowa dachu była zawalona, a cały dom składał się z jednego wielkiego pomieszczenia. W części nadal zadaszanej leżało mnóstwo słomy.

Na jej widok Intelisano bardzo się zdziwił.

– Była tu wcześniej? – zapytał go Montalbano.

– Nie – odpowiedział Intelisano. – Kiedy tu wszedłem ostatni raz, jakieś dwa-trzy miesiące temu, nic nie było. Przywieźli ją.

Podniósł z ziemi długi metalowy drut. Popatrzył na niego i pokazał komisarzowi.

– Tym się wiąże bele słomy.

– Może wykorzystywali to jako sienniki? – powiedział Fazio.

Montalbano pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby przywieźli ją tu do spania. Śpiwory załatwiłyby sprawę, zresztą żeby przenocować raz czy dwa, po co byłyby im drzwi?

– No właśnie, po co?

– Też tak uważam jak pan Intelisano. To pomieszczenie było używane jako prowizoryczny magazyn.

– A może jako prowizoryczne więzienie? – powiedział Fazio.

– Nie zgadzam się ze względu na słomę – odpowiedział komisarz.

– Używali jej, żeby coś tutaj położyć. Jeśli nawet ktoś by się wspiął na dach, to i tak zobaczyłby tylko te góry słomy.

Zamiast desek była tylko ubita ziemia.

– Pomóżcie mi – Montalbano poprosił Fazia i Intelisana. – Musimy odwalić trochę tej słomy.

Zdołali przenieść trochę do drugiej części pomieszczenia.

– Starczy już – powiedział nagle komisarz i uklęknął, przyglądając się klepisku.

Teraz wyraźnie było widać trzy grube i szerokie ślady, jeden obok drugiego.

– To po trzech skrzyniach, które tędy przesuwali – powiedział Montalbano.

– Musiały też nieźle ważyć – dodał Fazio.

– Może lepiej przenieść całą tę słomę.

– Zgoda. Pan niech idzie sobie zapalić, a mnie pomogą Gallo i pan Intelisano – doradził Fazio.

– Dobrze, ale uważajcie, każdy drobiazg, który znajdziecie, kawałek papieru czy metalu, może nam pomóc w zrozumieniu, co tu się stało.

– Gallo, chodź tutaj! – krzyknął Fazio.

Montalbano wyszedł i zapalił papierosa. Dla zabicia czasu zaczął spacerować i nie zdając sobie z tego sprawy, poszedł na tył domu. Do okna przybito deskę uniemożliwiającą zajrzenie do środka. Albo zapomnieli ją usunąć, albo nie wydała się im już taka ważna po opróżnieniu magazynu.

Jakieś trzydzieści metrów stąd rosło osiem czy dziewięć schorowanych migdałowców, które kiedyś stanowiły część sadu.

Wokół pustka, czyli dokładnie taki widok, jaki ukazał się mu we śnie.

Nie, chwila, drzew nie było osiem czy dziewięć, ale dokładnie czternaście.

A właściwie dziewięć całych, a po pięciu zostały tylko pnie.

Wierzchołki nie zostały usunięte siekierą kawałek po kawałku. Wyglądało to tak, jakby drzewa ścięto jednym ruchem, szybkim i precyzyjnym, bo nietknięte górne części leżały jakieś dziesięć metrów od każdego pnia.

Co się tu mogło stać?

Zaciekawiony, chciał przyjrzeć się lepiej i podszedł blisko do ściętego drzewa.

Cięcie było precyzyjne, jakby wykonane lancetem. Chociaż nawet wspinając się na palce, nie zdołał obejrzeć wszystkiego dokładnie.

Poszedł więc zerknąć na odcięte wierzchołki.

Wcale nie ucięto ich wielkim ostrzem, ale czymś gorącym, widać to było po ciemnobrązowych śladach na spalonym drewnie.

Nagle wszystko zrozumiał.

Odwrócił się i pobiegł do domu. Skręcając za róg, o mało nie wpadł na Fazio, który z kolei biegł, krzycząc coś do niego.

– Co się stało? – zapytał Fazio.

– Gdzie? – odpowiedział Montalbano.

– Znaleźliśmy... – zaczął Fazio.

– Znalazłem... – powiedział w tym samym czasie Montalbano.
Zatrzymali się.

– Będziemy teraz wszyscy odmieniać czasownik znaleźć? – zapytał Montalbano.

– Niech pan mówi pierwszy – powiedział Fazio.

– Tam z tyłu znalazłem kilka drzew przeciętych czymś, co mogło być bazooką lub wyrzutnią raketową.

– O cholera – odpowiedział Fazio.

– A ty co mi chciałeś powiedzieć?

– Znaleźliśmy sześć stron „Giornale dell’Isola”, wszystkie poplamione olejem.

– Założę się, że to smar do broni – stwierdził Montalbano.

– Ja nigdy się nie zakładam, kiedy jestem pewien przegranej.

– Trzymali tu broń i chcieli ją wypróbować, strzelając do drzew, głowę dają – rzekł komisarz.

– I co teraz zrobimy? – zapytał Fazio.

– Zawołaj tu wszystkich.

– Dokąd idziemy?

– Między drzewa, szukać drzazg.

Aż do pierwszej przeszukiwali cały teren.

Kiedy zebrali około kilograma, komisarz powiedział, że wystarczy i że mogą wracać.

Odwieźli Intelisana do domu, przykazując, żeby pozostawał do dyspozycji i z nikim o całej sprawie nie rozmawiał, po czym pojechali na komisariat.

– To jak się umawiamy? – zapytał Fazio.

– Przyniesiesz mi do biura te drzazgi i gazety. Zawiadom Mimì, że widzimy się o czwartej. Ja pojedę coś zjeść. A właściwie nie, pożycz mi komórkę.

Bał się, że o tej godzinie, a było już wpół do trzeciej, Enzo będzie zamknięty. A on już prawie oślepnął z głodu.

– Jeśli przyjadę za kwadrans, to dasz mi jeszcze coś do jedzenia?

– Ale już zamknięte!

– Mówi Montalbano!

Zabrzmiało to jak wycie umierającego z głodu psa.

– Przepraszam, komisarzu, nie poznałem pana. Proszę przyjeżdżać, o której pan chce, dla pana nie istnieją godziny otwarcia.

Montalbano szedł właśnie do auta na parkingu komisariatu, kiedy zawołał go Catarella.

– Panie komisarzu, telefon do pana!

Całe szczęście, że zawiadomił Enza. Poszedł za Catarellą do centrali.

– Tu na linii jest taka pani do pana, chociaż nie wydaje mi się, żeby była panią, no i chce rozmawiać z panem komisarzem osobiście i we własnej osobie.

– Powiedziała ci, jak się nazywa?

– Nie powiedziała, dlatego uważam, że żadna z niej pani.

– Nie rozumiem.

– Zapytałem, jak się nazywa, i ta osoba żeńska niegrzecznie mi odpowiedziała.

– Jak to niegrzecznie?

– Jakoś tak: va a fan...^[1]

Marian! Wyrwał mu z ręki słuchawkę, nacisnął przycisk i spojrzał na Catarellę tak, że ten uciekł z centrali. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Tak?

To tylko udało mu się wykrztusić.

– Dzień dobry, komisarzu, jestem na lotnisku, wylatuję. Powiedziałam, że zadzwonię wieczorem, ale nie mogłam już wytrzymać, chciałam usłyszeć twój głos.

O rany! Nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

– Życz mi przynajmniej przyjemnej podróży.

– Przyjemnej podróży – wydukało niepełnosprawne od urodzenia biedaczysko.

– Rozumiem, masz klientów i nie możesz rozmawiać. Pa, pa, pragnę cię.

Montalbano odłożył słuchawkę i złapał się za głowę. Gdyby nie było w pobliżu Catarelli, rozplakałby się ze wstydu.

5

Z biurka zebrano pocztę i przerzucono ją na kanapę, żeby zrobić miejsce na drzazgi i gazety zapakowane w dwa worki: jeden jutowy na drewno, a drugi plastikowy na papier.

Montalbano zamknął drzwi na klucz, powiedział Catarelli, żeby nikt nie przeszkadzał mu pod żadnym pozorem. I zero telefonów, bo ma teraz naradę z Augellem i Faziem.

Żaden z obecnych dżentelmenów nie miał zamiaru otworzyć ust. Komisarz musiał ich do tego zachęcić.

– Mówcie! – powiedział.

Montalbano zjadł dzisiaj o wiele za późno, był taki głodny, że nie umiał się powstrzymać. Nie zdążył jednak odbyć swojego zwyczajowego spaceru do latarni morskiej i teraz czuł się trochę otępiały mimo trzech kaw, dopiero co wypitych. Nie ciążyła mu głowa, ale po prostu nie miał ochoty się odzywać.

– Ja – zaczął Augello – uważam, że jeszcze wrócą do tej chałupy. Proponuję postawić tam kogoś na straży, nie cały czas, ale żeby ktoś od nas nieraz tam zaglądał.

– A ja uważam, że to miejsce już nigdy nie będzie im potrzebne – powiedział Fazio.

– A to dlaczego?

– Bo przede wszystkim takie zaimprovizowane magazyny są wykorzystywane tylko raz i potem porzucane, poza tym Intelisano zapytał Tunezyjczyków pracujących u niego, czy wiedzieli o tych drzwiach. Czyli ci Tunezyjczycy zostali nieformalnie poinformowani, że Intelisano wie o całej sprawie.

– I co z tego? A kto ci, do jasnej cholery, powiedział, że ci Tunezyjczycy też byli w to zamieszani? – zapytał Augello.

– Nikt mi nie powiedział. Ale mogli być.

– Od kiedy to jesteś rasistą? – prowokował Augello.

Fazio nie zareagował.

– Komisarzu, pan wie najlepiej, że nie jestem rasistą. Ale pytam się, jak to możliwe, że ci handlarze bronią, ci terroryści, bo to z pewnością o takich właśnie tu chodzi, jak to możliwe, że tacy ludzie wiedzą o rozwalającej się chałupie na głębokiej wsi? Ktoś im o tym powiedział!

– Z przykrością muszę to przyznać – powiedział Augello – ale może i masz rację. W Tunezji źle się dzieje i potrzebują broni. Czyli według ciebie powinniśmy zatrzymać i torturować tych dwóch?

– Wydaje mi się, że to jedyna sensowna rzecz, którą możemy zrobić.

– Chwileczkę – włączył się Montalbano, postanawiając wreszcie zabrać głos. – Bardzo mi przykro, ale doszedłem do wniosku, że to tak ważne i znaczące dochodzenie nie powinno być prowadzone przez nas.

– Ale dlaczego? – z oburzeniem zapytali jednocześnie Fazio i Augello.

– Dlatego, że nie mamy ku temu środków. Na gazetach z pewnością znajdują się odciski palców. Jest bardziej niż pewne, że ktoś będzie w stanie ocenić po analizie tych odprysków, jakiej broni użyto i gdzie ją wyprodukowano. A my takich specjalistów nie mamy. Jasne? Dlatego nas to nie dotyczy. Dajcie sobie spokój, niech się tym zajmą ci z brygady antyterrorystycznej.

Zapadła cisza. Potem Augello powiedział:

– Masz rację.

– Świetnie – odpowiedział Montalbano. – A zatem, skoro wszyscy się zgadzamy, zbierz teraz, Mimì, wszystkie te drzazgi i gazety

i pojedź do Montelusy. Jutro poproś o spotkanie z panem kwestorem, opowiedz mu o całej sprawie i z jego błogosławieństwem pogadaj z tymi z brygady. Po sporządzeniu raportu i przekazaniu worków pozdrów ich i wracaj do nas.

Mimì miał jednak wątpliwości.

– Ale może lepiej niech tam pojedzie Fazio, skoro to on był obecny podczas odnalezienia gazet i drzazg?

– Nie, wolę, żeby Fazio zabrał się od razu do roboty.

– To znaczy co mam robić? – zapytał Fazio.

– Porozmawiaj jeszcze raz z Intelisanem, postaraj się dowiedzieć jak najwięcej o tych Tunezyjczykach. Nikt nam nie zabrania poprowadzić równoległego śledztwa. Ale uważajcie: ci z kwestury nie mogą wiedzieć, że my też działamy.

Fazio uśmiechnął się porozumiewawczo.

Koło siódmej zadzwonił Catarella.

– Panie komisarzu, jest ten Pasquale, co on jest synem Adeliny, i mówi, że jeżeli ma pan czas, to on chętnie by się z panem rozmówił osobiście we własnej osobie.

– Jest na linii?

– Nie, na miejscu.

– To niech wejdzie.

Wszedł Pasquale i zdjął czapkę.

– Moje uszanowanie, komisarzu.

– Witaj, Pasquale, siadaj. Wszystko dobrze?

– Tak, dziękuję.

– Masz coś dla mnie?

– Tak, ale najpierw muszę znać miejsce i godzinę napadu, bardzo dokładnie. Wydawało mi się, że mówił pan o załku Crispiego, tak?

– Tak, ale zaczekaj chwilę.

Wstał, poszedł do pokoju Fazia, wziął zgłoszenie di Marty i zapisał na nim numer telefonu. Wrócił do siebie, włączył telefon na głośnomówiący i wykręcił numer.

– Ty też posłuchaj.

– Słucham? – odezwał się kobiecy głos.

– Mówi komisarz Montalbano. Chciałbym rozmawiać z panią Loredaną di Marta.

– Przy telefonie.

– Dobry wieczór. Przepraszam, jeśli przeszkadzam, ale muszę uzyskać parę informacji w sprawie napadu, którego padła pani ofiarą.

– Och mój Boże, nie chciałabym... czuję się taka...

Była naprawdę zażenowana.

– Wiem, że pani...

– Ale mąż nie opowiedział wam wszystkiego?

– Tak, ale to panią napadnięto, a nie męża, rozumie pani?

– Co mam jeszcze powiedzieć oprócz tego, co zeznał mąż?

– Szanowna pani, rozumiem, że rozmowa o tej przykrej sprawie dużo panią kosztuje. Ale musi pani zrozumieć, że nie możemy...

– Przepraszam, wezmę się w garść. Proszę pytać.

– Ile nocy temu dokładnie miał miejsce ten napad?

– Trzy.

– O której?

– A wie pan, zupełnie przez przypadek, zanim jeszcze zobaczyłam tego mężczyznę na ziemi, spojrzałam na zegarek. Były cztery minuty po dwunastej.

– Dziękuję za uprzejmość i zrozumienie. A powie mi pani jeszcze, gdzie to się stało?

– Jak to? Tak wiele razy już o tym mówiłam! W zaułku Crispiego, ponieważ miałam odwieźć...

– To wiem, ale w którym miejscu? Mogłaby pani określić to dokładniej?

– Co to znaczy – w którym miejscu?

– Szanowna pani, ten zaułek nie jest długi, prawda? Jest tam, jeśli się nie mylę, piekarnia, sklep...

– Ach, rozumiem. Muszę się chwilę zastanowić. Ano tak. Jeśli dobrze pamiętam, ale chyba tak, to stało się między sklepem z materiałami, a jubilerskim Burgia. Kilka metrów od sąsiedniego domu.

– Dziękuję pani. Na razie nie mam więcej pytań.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Pasquale.

– Słyszałeś?

– Tak jest.

– To chciałeś usłyszeć?

– Tak.

– I co?

– Mogę zapewnić, że złodziejem nie jest nikt z naszych.

– Czyli ktoś nie stąd lub ktoś przypadkowy?

– Raczej przypadkowy.

– Rozumiem.

Ale Montalbano wyczuwał, że chłopak chciałby powiedzieć mu coś więcej.

– O co chodzi? – zapytał.

– To znaczy?

Ciążyło mu to, co chciał powiedzieć.

– Mów, wiesz przecie, że nigdy nie podam twojego nazwiska.

– Co do tego to nigdy nie miałem wątpliwości.

Wreszcie zdecydował się.

– Ona kłamie.

– Kto?

– Ta panienska, z którą pan teraz rozmawiał.

– Skąd wiesz?

– Mogę o coś zapytać? Czy policja rozmawia z karabinierami?

A karabinierzy z policją?

– Skąd takie pytanie?

– Bo pan Angilio Burgio, właściciel tego sklepu jubilerskiego, zgłosił karabinierom okradzenie jego sklepu dokładnie trzy noce temu.

Montalbano osłupiał.

– Możesz powiedzieć mi coś więcej?

– Mógłbym, ale... bardzo pana proszę.

– Możesz być spokojny, Pasquale.

– Chłopaki, jak zwykle, postawili jednego, żeby miał na oku to, co się dzieje na zewnątrz, widział calusieńki zaułek. Stał tam cały czas na czatach, od wpół do dwunastej do wpół do pierwszej. Nic się tu nie zgadza.

– To znaczy?

– Ten chłopak nie widział nikogo leżącego na ziemi ani żadnego auta.

– Rozumiem.

– Dla pana wiadomości, to w tych godzinach ulicą przejechała tylko karetka, ciężarówka i trójkołowiec.

– Dziękuję, Pasquale.

– Zawsze do usług!

Tak więc piękna pani Loredana potężnie nakłamała swojemu mężowi.

Trzeba było dowiedzieć się teraz, co naprawdę się stało i w jaki sposób zniknęło szesnaście tysięcy.

Teraz każda wersja mogła okazać się prawdziwa, począwszy od tego, że napadu dokonano w innym miejscu, że Loredana rozpoznała złodzieja i że bała się powiedzieć o tym mężowi. Albo była w zмовie ze złodziejem.

Wstał, poszedł do pokoju Fazia, wziął kartkę z jego notatkami dołączoną do zeznania. O, jest, Valeria Bonifacio, serdeczna przyjaciółka Loredany, ulica Palermo dwadzieścia osiem. Był też numer telefonu.

Komisarz usiadł na miejscu Fazia i zadzwonił.

– Słucham? – odezwał się kobiecy głos.

Montalbano mówił, ściskając nos palcami, żeby zmienić głos.

– Czy to dom państwa Bonifacio?

– Tak.

– Tu księgowy Milipari z Navigazione Fulconis, chciałem rozmawiać z kapitanem.

– Mąż aktualnie jest w Genui, stoją tam w porcie.

– Rozumiem, zadzwonię do niego na komórkę. Aha, w razie gdybyśmy musieli dostarczyć jutro rano paczkę do Vigaty, będzie pani w domu?

– Tak, do dziesiątej.

– Dziękuję pani.

Odłożył słuchawkę. Postanowił odwiedzić panią Valerię jutro z samego rana. Być może podczas nieobecności męża powie to, czego przy nim by nie powiedziała.

Kiedy przyjechał do Marinelli, zauważył, że Adelina zostawiła mu kartkę na kuchennym stole.

Wczoraj wieczorem nie jadł pan w domu, to musiałam wyrzucić jedzenie do śmieci, bo wyschło. Ponieważ widziałam, że miał pan w nocy dobre towarzystwo, na dzisiaj nic nie przygotowałam, bo

pewnie zjecie znowu poza domem i nie będę musiała wyrzucać. Jeśli jutro zechce pan coś tu zjeść, proszę mnie zawiadomić.

Zaklął. Nie chodziło o zemstę Adeliny z powodu obecności kobiety w domu, wprost przeciwnie, gospościa rozesałaby czerwony dywan przed każdą ewentualną rywalką Livii, której – z wzajemnością zresztą – nie cierpiała. Na jej dyskrecję mógł liczyć. Ale zostawiła go dzisiaj bez jedzenia.

Teraz nie chciało mu się jeszcze jeść, ale później głód na pewno go dopadnie.

O wyjściu gdzieś na kolację nie było mowy, w tym czasie mogła przecież zadzwonić Marian i nie zastać go. Oczywiście mógłby zabrać ze sobą komórkę, ale i tak wśród ludzi nie byłby w stanie wykrztusić ani słowa.

Ponownie otworzył lodówkę. Stał tam tylko słoik z sardelami w oliwie.

Jak to możliwe, że nie ma nic innego? Na pewno Adelina zapomniała zaopatrzyć go w zapasy tuńczyka, różnych serów, winogron, salami.

Spojrzał na zegarek. Teoretycznie mógłby zdążyć do baru w Marinelli, kupić tam coś i wrócić przed telefonem Marian.

Nie tracił czasu. Wyszedł, wsiadł do samochodu i pojechał. Nie było dużego ruchu. W barze, który miał także dział z serami i wędlinami, zrobił zakupy i wrócił.

Był gdzieś w połowie drogi, kiedy jadący naprzeciwko niego tir skręcił nagle, tarasując drogę. Montalbano z reflekssem godnym kierowcy wyścigowego zjechał na pobocze, przejechał z dziesięć metrów na dwóch kołach jak rasowy kaskader, wyprzedził tira i z powrotem wjechał na drogę.

Wtedy dopiero przestraszył się tego, co właśnie zrobił, w ogóle nie zdając sobie z niczego sprawy. Ręce zaczęły mu się trząść.

Zahamował na poboczu i poczekał trochę, żeby się uspokoić i wrócić.

Kiedy podchodził do domu, usłyszał dzwoniący telefon. Zaplątany w torby na zakupy, dłuższy czas szukał kluczy i otwierał drzwi.

Wpadł do domu, rzucając torby na ziemię, i podbiegł do telefonu.

– Słucham?

Odpowiedział mu ciągły sygnał. To na pewno Marian do niego dzwoniła.

I co teraz? Jak mógł być tak głupi, żeby nie wziąć od niej numeru komórki? Właściwie to nie dała Montalbanowi żadnego numeru, ani nawet adresu.

Musiał się z tym pogodzić.

Poszedł po zakupy do przedpokoju, nakrył stół na werandzie, ale jeszcze nie chciało mu się jeść. Zapalił papierosa.

Co Marian robiła o tej godzinie w Mediolanie?

Zadzwoił telefon. Rzucił się, żeby go odebrać.

To była ona. Zadzwoiła, żeby odpowiedzieć mu na pytanie, które właśnie sobie zadał. To jakaś telepatia.

– Cześć, komisarzu.

– Cześć, to ty dzwoniłaś niedawno?

– Tak, właśnie wychodzę z domu rodziców. Idę na kolację z tym handlarzem sztuki. Przyspieszyłam wszystko, wczorajsze popołudnie spędziłam wisząc na telefonie, chcę wrócić jak najszybciej. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo mi cię brakuje.

Przerwała na chwilę, po czym dodała:

– Jeśli nie masz odwagi powiedzieć mi czegoś innego, powiedz przynajmniej, że ci się podobam.

– Podobasz... i to bardzo.

– Mogę do ciebie zadzwonić później? Nawet jeśli będzie to naprawdę późno?

– Oczywiście.

– Całus.

– I ode mnie...

Przerwał.

– I co z tym całusem, dajesz czy nie?

– Daję.

Odłożył słuchawkę i poszedł na werandę na lekko sztywnych nogach. Telefon zadzwonił ponownie.

Pomyślał, że pewnie Marian zapomniała mu coś powiedzieć.

– Cześć, Salvo.

To nie była Marian.

– A kto mówi?

W chwili kiedy wypowiadał te słowa, zrozumiał, że popełnia błąd wielki jak góra.

Jak to możliwe, że nie poznał głosu po drugiej stronie linii? Może dlatego, że w uszach słyszał ciągle głos Marian?

– Teraz, kiedy to ty nie poznajesz mnie po głosie, co mogłabym powiedzieć? – zapytała rozwścieczona Livia.

Nie miał wyjścia, trzeba było udawać głupka. Zaczerpnął powietrza i wskoczył na głęboką wodę.

– Oczywiście nie zrozumiałaś, że żartowałem?

– Za dobrze cię znam, Salvo. Czekaleś na telefon od innej kobiety, dałabym sobie rękę uciąć, że tak było.

– Skoro wiesz, jak było, to chyba nie warto dłużej rozmawiać na ten temat?

– Powiedz, jak ma na imię.

Lepiej jednak nadal żartować.

– Karol.

– Carol?

– Tak, co w tym dziwnego? Karol przez ka. Dokładnie jak ten poprzedni papież, pamiętasz?

– Ale przecież to kobieta?

– Oczywiście.

Udał obrażonego.

– Jak mogłabyś myśleć, że ja... z mężczyzną?

– A czym się zajmuje?

– Tańczy na rurze w jednym z lokali w Montelusie.

Livia zastanowiła się chwilę. Potem powiedziała:

– Nie wierzę, robisz mnie w konia.

Montalbano nagle poczuł się potwornie zmęczony.

Brakowało mu odwagi, żeby opowiedzieć Livii, co się z nim działo, zresztą przez telefon byłoby to niemożliwe.

– Posłuchaj mnie, Livio, przechodzę bardzo ciężki okres i...

– W pracy?

Od razu uchwycił się tego wykrętu.

– Tak, w biurze. To długa historia, chciałbym opowiedzieć ci ją na spokojnie, poprosić o radę, ale za chwilę przyjeżdża po mnie Fazio. Wrócę za późno, żeby oddzwonić. Jeśli można, zadzwonię jutro wieczorem, OK?

– Dobrze – odpowiedziała podbudowana Livia.

Zmęczyła go ta rozmowa. Wrócił na werandę, spróbował coś zjeść, ale nie miał apetytu.

Sprzątnął ze stołu i usiadł na kanapie przed telewizorem. Przeskakiwał kanały, dopóki nie znalazł jakiegoś kryminału, który, razem z reklamami, trwał dwie godziny. Potem przełączył na wieczorne wiadomości „Retelibera”.

Jak to możliwe, że nikt nie mówił o napadzie na sklep jubilerski Burgia? Najwidoczniej karabinierom udało się wszystko trzymać w ukryciu, dla dobra śledztwa.

Znalazł jakiś western, który pozwolił mu na spędzenie przed telewizorem kolejnych dwóch godzin.

Potem wyłączył telewizor, bo oczy zamykały mu się już same, i poszedł posiedzieć na werandzie.

To było ryzykowne posunięcie, jako że sprzyjało rozmyślaniom nad sprawą Livii i Marian.

Montalbano nie chciał jeszcze się tym zajmować, nie był przygotowany.

Ale jasne, że prędzej czy później trzeba tej sprawie stawić czoło.

Był pewien, że niezależnie od tego, jak to wszystko rozwiąże, przysporzy komuś cierpienia i wielkiego bólu.

6

Spojrzał na zegarek. Prawie druga. Ile ta kolacja w Mediolanie może trwać? Do jasnej cholery! A może kelnerzy są pod osiemdziesiątkę i poruszają się o kulach? A poza tym, co mieli sobie do powiedzenia Marian i ten marszand? Chyba nie przerabiali całej historii sztuki? Jasne, mówiła mi co prawda, że może zadzwonić późno, ale zaraz zaczniesz świtać!

Teraz wyłączę telefon i pójdę się położyć – pomyślał.

Dokładnie w tym samym momencie telefon zadzwonił.

W ciągu ostatnich minut Montalbano zrobił się tak bardzo nerwowy, że teraz o mało nie spadł z krzesła.

– Słucham!

– Cześć, komisarzu, przepraszam, że musiałeś tyle na mnie czekać, ale kolacja się przeciągnęła.

Dżentelmen Montalbano zaprezentował się w swej najlepszej wersji.

– Nie masz za co przepraszać. Doskonale rozumiem, że...

– A potem Gianfranco chciał jeszcze, żeby coś wypić w jednym lokalu. Dopiero wróciłam.

Dżentelmen Montalbano został wessany przez jaskiniowca Montalbano.

– A co to za jeden ten Gianfranco?

– Gianfranco Lariani, handlarz sztuką. Ano tak, nigdy nie powiedziałam ci, jak ma na imię. Bardzo nalegał, że tylko pięć minut, żebym się nie wygłupiała, w sumie to musiałam mu ulec z powodów dyplomatycznych.

W dodatku mówili sobie na ty?

– Znałaś go już wcześniej?

– Kogo? Gianfranca? Nie, chyba ci powiedziałam, że to Pedicini zasugerował kontakt z nim.

I od razu przy pierwszym kontakcie mówmy sobie na ty, tylko pięć minut, nie wygłupiaj się...

Lepiej zmienić temat.

– Wszystko w porządku?

– Oczywiście, przynajmniej tak mi się wydaje.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo Lariani to spryciarz, jeden z tych, którzy tak łatwo się nie otwierają...

I całe szczęście, tego tylko by jeszcze brakowało! Nie mógł się powstrzymać przed zadaniem kolejnego pytania.

– Jaki jest?

– To znaczy?

– Jako mężczyzna.

– Bardzo elegancki, z klasą, koło czterdziestki, dość atrakcyjny...

No i proszę, poczuł ukłucie zazdrości, do tej pory trzymanej na wodzy.

I strzała prosto w serce.

– Podrywał cię?

– Byłabym zdziwiona, gdyby tego nie robił. Żebyś mógł mnie widzieć! Byłam w świetnej formie, normalnie go zatkało. Ale to nieważne. Myślę, że Pedicini miał rację, Lariani ma trochę rzeczy do sprzedania.

– On ci to powiedział?

– Nie dosłownie, zasugerował tylko. Mówiłam ci przecież, że to spryciarz. Tacy nie odkrywają od razu wszystkich kart. Ale zorientowałam się, że ma słaby punkt – pieniądze. I rzeczywiście,

trochę się otworzył, kiedy mu powiedziałam, ale tak mimochodem, że zazwyczaj płacę od razu przelewem bankowym.

– Jak się umówiliście?

– Mam się z nim spotkać jutro po południu.

Komisarzowi włączył się dzwonek alarmowy.

– Gdzie?

– U niego w domu.

No nie! Dość już tych żartów!

– Ale dlaczego u niego? Ten pan nie ma biura? W Mediolanie mają takie zwyczaje?

– Przestań wygadywać głupstwa. Chyba ma jakiś lokal, obok mieszkania, gdzie trzyma obrazy. Ale jestem pewna, że niczego nie załatwię.

– Dlaczego?

– Znam strategię tych ludzi. Pokaże mi coś na przynętę, żeby wystawić na próbę. Ja mu powiem, że nie jestem tym zainteresowana, a on będzie zmuszony ponownie się ze mną umówić. I tym razem wreszcie wpuści mnie do swojej świątyni.

– Nie rozumiem.

– Pokaże mi wreszcie najlepsze kąski. Wtedy przyjdzie czas na konkrety pod warunkiem, że Lariani rzeczywiście ma to, czego szuka Pedicini.

– A czego szuka?

– No wiesz, we włoskim malarstwie siedemnastowiecznym jest mnóstwo wizerunków Madonny, krucyfiksów, scen narodzenia, zmartwychwstania. Ale to go nie interesuje, podobnie jak portrety. On chciałby martwe natury, pejzaże lub sceny obyczajowe. I żeby były wielkich rozmiarów.

– Rozumiem. Dużo czasu ci to zajmie? Myślisz, że szybko wszystko załatwisz?

– Mam taką nadzieję. Nie wytrzymam długo z daleka od ciebie. Nigdy mi się nie zdarzyło czuć tak...

Przerwała.

– Co dzisiaj robiłeś?

– W biurze?

– Tak. Chciałabym dzielić z tobą każdą minutę twojego życia.

– Chętnie bym ci wszystko opowiedział, ale wynudziłabyś się.

– To ułatwię ci zadanie: powiedz, co robiłeś, czekając na mój telefon.

– Oglądałem jakiś film w telewizji i...

Już miał powiedzieć, że rozmawiał też z Livią, ale w porę wyhamował.

Marian jednak wyczuła to wahanie w jego głosie.

– I co jeszcze?

Nie czuł się na siłach, żeby i jej opowiadać głupstwa. Wystarczyło, że już jedną nimi karmił.

– A potem zadzwoniła Livia.

– Aha.

Pauza. I potem:

– Powiedziałaś jej o nas?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie uważam, że to odpowiedni moment.

Tym razem pauza była dłuższa.

– Posłuchaj, Salvo, mam nadzieję, że zrozumiałeś mnie dobrze. W moim przypadku to nie była przygoda na jedną noc. I nie chodzi także o chwilowy kaprys, zbyt dobrze siebie znam.

– To rozumiałem.

– A z tego, co usłyszałam poprzedniej nocy, jestem pewna, że i w twoim przypadku to nie była przygoda.

– Gdyby była to przygoda na jedną noc, to teraz nie rozmawiałbym z tobą przez telefon.

– Kiedy wrócę, porozmawiamy o tym. Teraz muszę cię pożegnać. Kiedy się położę, będę sobie wyobrażała, że leżysz koło mnie. O której mogę do ciebie jutro zadzwonić?

– Nie wiem. Zdzwońmy się po prostu jutro wieczorem i wtedy porozmawiamy dłużej.

– Jak chcesz. Dobrej nocy, mój komisarzu.

*

Miał tylko dwie możliwości, nie więcej. Albo siedzieć i dumać, jak to wszystko rozwiązać z Livią, albo od razu zasnąć, wsłuchując się w brzmiały jeszcze w uszach głos Marian.

Wybrał drugie rozwiązanie, zamknął oczy i zmusił się, żeby zasnąć.

Najlepsze w tym wszystkim było to, że mu się udało.

Ostatnia myśl przybrała formę pytania: od jak dawna nie rozmawiał w ten sposób z Livią?

Obudził się wyspany, dzień był piękny. Wypił filiżankę kawy, wziął prysznic, ogolił się i przed wyjściem napisał Adelinie wiadomość, że będzie dzisiaj jadł w domu.

Wsiadł do samochodu o wpół do dziewiątej. O dziewiątej dwadzieścia zaparkował na ulicy Palermo, przed numerem dwadzieścia osiem.

Podróż zajęła mu tyle czasu, bo ulica Palermo znajdowała się w położonej wysoko części Vigaty, na krańcu miasta. Domy stały tu w znacznej odległości od siebie, za nimi były już tylko pola. Każdy dom miał także własny ogródek. Ten należący do posesji numer

dwadzieścia osiem starannie pielęgnowano. Żelazna furtka była otwarta.

Komisarz wszedł na teren posesji i zadzwonił domofonem.

– Kto tam? – zapytał po jakimś czasie kobiecy głos.

– Jestem komisarz Montalbano.

Cisza.

– Kogo pan szuka?

– Pani Valerii Bonifacio.

Znowu cisza. Potem kobieta odezwała się:

– Jestem sama w domu.

Czy ona sądzi, że przyszedł ją zgwałcić?

– Powtarzam pani, że jestem...

– Dobrze, ale muszę się ubrać.

– Zaczekam.

– A nie mógłby pan przyjechać po południu?

– Niestety nie.

– To za dziesięć minut otworzę.

Technika nieuprzedzenia o przyjeździe wcześniej zawsze działała.

Z pewnością w tym momencie pani Valeria dzwoniła do przyjaciółki Loredany, żeby ustalić, co ma mu powiedzieć.

Zapalił papierosa. Na ulicy Palermo był mały ruch, pewnie z powodu braku sklepów. Przez cały czas oczekiwania przejechał tylko jeden samochód.

Ponownie zadzwonił domofonem.

– Komisarz Montalbano?

– Tak.

Zamek otworzył się i komisarz wszedł do środka.

Valeria wyszła mu naprzeciw, podała rękę, zaprowadziła do salonu i usadziła w fotelu.

Nie wiadomo dlaczego komisarz spodziewał się kobiety w średnim wieku, a Valeria, dość niskiego wzrostu, była chyba rówieśniczką Loredany. Ciemnowłosa, zgrabna, o ładnej figurze, podkreślonej odpowiednio przez obcisłą bluzkę i bardzo obcisłe spodnie.

– Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję.

Usiadła w fotelu naprzeciwko Montalbana i założyła nogę na nogę. Przyjrzała mu się i uśmiechnęła, ale komisarz zorientował się, że ten uśmiech jest lekko sztuczny.

Najwyraźniej kobieta była podenerwowana, ale dobrze panowała nad sobą.

– W czym mogę panu pomóc, komisarzu?

– Bardzo mi przykro, że przeszkadzam, ale czy na pewno komisariat nie uprzedził pani o mojej wizycie?

– Nikt mnie nie zawiadomił.

– Kiedy wrócę do biura, nagadam im do słuchu. Muszę zapytać panią o jeden drobiazg związany z napadem na pani koleżankę, Loredanę di Marta. Wie pani zapewne, że...

– Tak, wiem wszystko. Loredana opowiedziała mi przez telefon, była zszokowana. Od razu pojechałam ją odwiedzić i wszystko mi opowiedziała, także te... obrzydliwe szczegóły.

– Ma pani na myśli pocałunek?

– Nie tylko.

Montalbano zaniepokoił się.

Czy to znaczy, że pan di Marta opowiedział tylko część prawdy i sprawa była o wiele poważniejsza?

– Było coś więcej.

– Tak.

– Może pani wyrażać się jaśniej?

– Brzydzi mnie już sama myśl o tym. No więc wziął jej rękę i położył sobie... rozumie pan?

– Posunął się dalej?

– Na szczęście nie. Ale Loredana mówi, że to było obrzydliwe i straszne.

– Ma stuprocentową rację. Całe szczęście, że na tym się skończyło. Pamięta pani, o której przyjaciółka wyszła tamtego wieczoru?

– Tak dokładnie to nie.

– A mniej więcej?

– Chyba to było jakoś tuż przed północą, bo zaraz po wyjściu Loredany zaczął bić zegar.

Pokazała olbrzymi zegar z wahadłem, stojący w rogu salonu.

– Piękny – powiedział komisarz.

Nawet jeśli nie pokazywał właściwej godziny. Trochę się spieszył.

– Tak, należał do mojego ojca, on miał fioła na punkcie takich zegarów. Cały dom był ich pełen. Udało mi się ich pozbyć, tylko ten sobie zostawiłam.

– Czyli powiedzmy, że wyszła za dziesięć dwunasta?

– Może nawet za piętnaście.

– Nie wcześniej?

– Na pewno nie.

– Najważniejszą rzeczą dla nas jest teraz określenie dokładnej godziny napadu.

– W takim razie potwierdzam: za piętnaście dwunasta.

– Dziękuję. Pani Loredana zawsze wychodzi tak późno?

– Nie, zazwyczaj przed kolacją.

– Czyli ten wieczór był wyjątkiem.

– Tak.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– Nie czułam się dobrze i Loredana nie chciała zostawiać mnie samej. Bardzo się przejęła, ale to była tylko chwilowa niedyspozycja.

– Mieszka pani sama? Nie jest pani mężatką?

– Jestem, ale mąż jest kapitanem kontenerowca i długo przebywa poza domem.

– Rozumiem. Proszę zaspokoić moją ciekawość. Pani Loredana, będąc tu, zorientowała się, że nie wpłaciła utargu na konto męża? Czy też przypomniała sobie o tym dopiero po wyjściu?

– Przypomniała sobie, kiedy tylko tu weszła, nawet chciała od razu jechać. To ja jej poradziłam, żeby zrobiła ten przelew później, nawet musiałam nalegać.

– Aha, czyli to pani?

– Tak, mam straszne poczucie winy z powodu tego, co się stało! Gdybym tylko pozwoliła jej pojechać...

– Ależ proszę tak nie mówić! Co też pani przychodzi do głowy! To był tylko niesłychany zbieg okoliczności.

Wstał.

– Bardzo mi pani pomogła, dziękuję.

– Odprowadzę pana – powiedziała Valeria.

Kiedy otwierała mu drzwi, Montalbano zapytał:

– Czy zna pani Carmela Savastana?

Nie spodziewał się takiej reakcji na swoje pytanie. Valeria pobladła i cofnęła się o krok.

– Ale dlaczego... dlaczego pan mnie o to pyta?

– Ponieważ dowiedziałem się, że pani przyjaciółka Loredana była dziewczyną tego Savastana.

– Ale co to ma wspólnego z napadem?

Podniosła głos, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Absolutnie nic, pytam z czystej ciekawości.

Ale teraz Valeria wzięła się już w garść.

– Oczywiście, że go znam, z Loredaną przyjaźnimy się od wieków. Ale Carmela nie widziałam od dawna.

Wsiadł do samochodu i spojrzał na zegarek. Dziesiąta trzydzieści dwie. Ruszył.

Zamiast pojechać w stronę komisariatu, skierował się w stronę ulicy Crispiego. Prowadził szybko. Ruch na drogach był normalny.

Kiedy dojechał na miejsce i znalazł się pomiędzy sklepem z materiałami i jubilerskim Burgia, ponownie spojrzał na zegarek. Droga zajęła mu czterdzieści minut.

Aby pokonać ten sam odcinek, z tego co powiedziały Valeria i Loredana, dziewczyna powinna jechać dziewiętnaście minut. Nie uwzględniając opóźniającego się zegara Valerii. Ale wtedy była prawie północ i należało założyć, że ruch był o wiele mniejszy.

Kiedy tylko wszedł do biura, chciał utwierdzić się w swoich przekonaniach i zadzwonił do Loredany.

– Mówi Montalbano.

– Znowu?

– Przepraszam, ale muszę pani zadać tylko jedno krótkie pytanie.

– No dobrze.

– Czy pamięta pani dokładnie, o której wyjechała z domu swojej przyjaciółki tamtego wieczoru, kiedy...

– Kwadrans przed północą.

Nawet się chwili nie zastanowiła.

Najwidoczniej zaraz po wyjściu komisarza Valeria zrelacjonowała Loredanie całą rozmowę.

Poprosił do siebie Fazia.

– Jakież wieści?

– Parę.

– Ja też coś mam.

– To niech pan powie pierwszy.

Opowiedział to, o czym poinformował go Pasquale, Fazio i tak wiedział o synu Adeliny. Potem streścił spotkanie z Valerią Bonifacio, kończąc relacją z niedawnej rozmowy telefonicznej z Loredaną.

– Za pozwoleniem – powiedział Fazio – ale jeśli wiemy, że samochód di Marty na pewno nie przejeżdżał tamtego wieczoru ulicą Crispiego, to dlaczego interesuje pana czas, jaki poświęciła na dojazd z ulicy Palermo?

– Pomyśl chwilę. Czy mogę napisać, że wiem o aucie, które nie przejeżdżało tamtędy, od jednego złodzieja, który rozmawiał z włamywaczem? Czy mogę powołać Pasquale na świadka? Przecież nie.

– No jasne.

– A nawet jeśli, jakimś cudem, uda ci się przesłuchać go w charakterze świadka, to i tak nikt nie uwierzy w to, co mówi. obrońca rozszarpałby go na strzępy. Bo znają tych złodziei i uważają ich za urodzonych kłamców. Podczas gdy wielu innych kłamców i cwaniaczków, nierejestrowanych u nas, może wygadywać, co im ślina na język przyniesie, i wszyscy im wierzą, bo są adwokatami, politykami, ekonomistami, bankierami i tak dalej. Dlatego trzeba udowodnić, ale z pełnym poszanowaniem prawa, że Loredana nie mówi prawdy.

– Ale jak?

– Na razie poproszę cię o osobistą przysługę.

– Oczywiście, o co chodzi?

– Dzisiaj kwadrans przed północą wyjedź autem z ulicy Palermo i pojedź do zaułka Crispiego. Jutro rano powiesz mi, ile czasu ci to zajęło.

– Nie lepiej posłać Galla?

– Nie, on by tam dojechał w siedem i pół minuty, jeśli nie szybciej.
No to teraz ty mów.

– Poszedłem porozmawiać z Intelisanem. Podał mi nazwiska i adresy tych Tunezyjczyków, którzy mieszkają w Montelusie. Obydwaj koło pięćdziesiątki, ciężko harują i mają papiery w porządku. Przyjechali cztery lata temu nielegalnie i uzyskali azyl polityczny.

Montalbano nadstawił uszu.

– Azyl polityczny?

– Tak jest.

– Trzeba się dowiedzieć, w jaki sposób udowodnili, że...

– Już to zrobiłem.

Kiedy Fazio tak mówił, Montalbano zaczynał się denerwować.

– Skoro tak, to uprzejmie proszę, żebyś i mnie o tym poinformował.

Fazio zaczął się usprawiedliwiać.

– Bardzo przepraszam, panie komisarzu, myślałem, że...

Komisarz już pożałował swojego wybuchu złości.

– To ja przepraszam.

– Walczyli z rządem, ich synowie siedzieli w więzieniu. Pewnie i oni mieli już nakazy aresztowania, ale udało im się w porę uciec.

Montalbano skrzywił się.

– Coś mi ci Tunezyjczycy nie bardzo pasują – powiedział.

- Dzień dobry wszystkim – powiedział wchodząc Mimì Augello.
- Moje gratulacje, miałeś rację! – odpowiedział uśmiechając się komisarz.

Mimì zrobił zdziwioną minę.

- Gratulacje? Przyznajesz mi rację? Co tu się dzieje? Czy to jakiś dzień dobroci? A te gratulacje to à propos czego?

- À propos Tunezyjczyków.

- To znaczy?

- To uchodźcy polityczni, miałeś rację. Przeciwnicy aktualnych władz. W Tunezji ich dzieci siedzą w więzieniach. Ale nie jest wykluczone, że...

- Stop! – krzyknął Augello. – Wszyscy bądźcie cicho!

- Co się stało? – zapytał Montalbano.

- Zaznaczam, że kwestor nas ostrzegł. I to oficjalnie. Powiedział mi dokładnie tak: „Niech pan przekaże Montalbanowi, że od tej chwili śledztwo leży w wyłącznej kompetencji brygady antyterrorystycznej. Niech się nie waży wtrącać albo będzie miał kłopoty”. Powiedziałem to panu, a teraz, po tych słowach kwestora, zajmujemy się Tunezyjczykami?

- Teraz nie mam najmniejszego pojęcia – przyznał komisarz – ale wydaje mi się, że będę znał odpowiedź po jedzeniu. Opowiedz panu Augello o tym napadzie na di Martę, Fazio.

Kiedy Fazio skończył opowiadać, Mimì spojrzał pytająco na Montalbana.

- Co o tym sądzisz?

– Ja postawiłem się w sytuacji złodzieja. Ciągłe wierzymy w opowiastkę Loredany, a przecież wiemy, że nie jest prawdziwa. Tak więc stoję schowany za bramą na Crispiego, czekając, aż przejedzie samochód, żeby rzucić się na ziemię. Ja jako złodziej nie mam pojęcia, kto jest w nadjeżdżającym samochodzie. Załóżmy, że siedzi tam dwóch lub trzech ludzi. I od razu cała sprawa, nawet jeśli jestem uzbrojony, staje się dla mnie trudna. Z pewnością jeden z nich wyjdzie, pójdzie w moją stronę zobaczyć, co się stało, ale ten drugi zostanie w aucie i może różnie się zachować. A jeśli w tym samym czasie pojawi się inny samochód? Nie, ryzyko jest zbyt duże. Chyba, że wiesz, jakie auto nadjedzie, a zwłaszcza, kto nim będzie kierował.

– Wnioski?

– Już mówię. Napad, jeśli miał miejsce, to z pewnością gdzie indziej i w innych okolicznościach, a agresor miał z pewnością jakiegoś współnika.

– Zgadzam się z tobą – powiedział Mimì – ale problemem są kroki, które musimy podjąć. Mamy pewność, że ta pani opowiada nam głupstwa, ale jak jej to udowodnić?

– Wyciągniemy od niej, ale bez jej zgody, jakieś wskazówki. Po obiedzie wezwiemy ją tutaj, powiedzmy o wpół do piątej. Fazio, zorganizuj wszystko i potwierdź mi. Jeśli zechce przyjść z mężem, nie ma sprawy. Pozadaję jej trochę pytań i potem zobaczymy, co dalej. Ale ty, Mimì, nie możesz się tu pokazywać pod żadnym pozorem, kiedy będą di Marta.

Augello nadał się.

– Ale dlaczego nie mogę być na spotkaniu?

– Wytłumaczę ci, kiedy już sobie pójdą, tak będzie lepiej dla ciebie, wierz mi. Masz wiele do wygrania.

Idąc w stronę końca mola, uznał, że co prawda ma już ułożone w głowie całe spotkanie z państwem di Marta, ale nie wie, jak się

zbliżyć do tych dwóch Tunezyjczyków.

Trzeba działać ostrożnie, ponieważ jeśli się rozniesie, że Tunezyjczycy zostali objęci śledztwem, ci z wydziału imigracyjnego bez chwili namysłu odeślą ich ciupasem do Tunezji. Nie trzeba dodawać, że tam czekają ich tortury i pewna śmierć. Ile razy tak właśnie postępowali z biednymi nieszczęśnikami, którzy potem źle kończyli po odstawieniu ich do ojczyzny? Montalbano nie chciał mieć tej dwójki na sumieniu.

Kiedy usiadł na płaskiej skale, od razu zauważył, że krab już na niego czeka.

– Moje uszanowanie – powiedział.

Pochylił się, wziął garść żwiru, oddzielił największe kamienie i rozpoczął grę. Gra polegała na rzucaniu maleńkich kamyczków w stronę kraba. Jeśli go nie trafiał, krab trwał w bezruchu. Jeśli trafiał, krab przesuwał się o kilka centymetrów w bok. Aż dopętał do brzegu i zniknął w wodzie.

Właśnie kiedy Montalbano obserwował, jak krab przemieszcza się bokiem po kamieniu, stwierdził, że trzeba podejść tych dwóch Tunezyjczyków tak jak kraba: z boku.

Nagle w głowie pojawił mu się dokładny plan, który nie wyrządziłby krzywdy żadnemu z nich.

Posiedział jeszcze na skale, paląc papierosa, a potem wrócił do biura.

Zaraz po wejściu posłał po Fazia i powiedział mu, żeby posłuchał rozmowy, którą zaraz przeprowadzi z Intelisanem.

– Mówi Montalbano. Przepraszam, ale muszę pilnie z panem porozmawiać.

– Kiedy?

– Jeszcze dzisiaj, przed wieczorem, jeśli to możliwe.

Intelisano zastanowił się.

– Nie będzie za późno tak koło siódmej?

– Nie, doskonale.

Rozłączył się.

– Czego od niego chcesz? – zapytał Fazio.

– Nie powiedziałem, że po jedzeniu wpadłem na genialny pomysł?

– Czyli na jaki?

– Żeby pojechać jutro rano z Intelisanem do osady Spiritu Santo, gdzie przedstawi mnie tym dwóm Tunezyjczykom jakimś fałszywym nazwiskiem. Nie powie, że jestem z policji, tylko że chcę kupić od niego ziemię. Jak na razie pomysł ci się podoba?

– Tak, a co potem?

– Potem, po obiedzie, wrócę tam, ale już sam, tłumacząc tym Tunezyjczykom, że o tej wizycie mają nie mówić Intelisanowi, bo chcę dowiedzieć się prawdy o tej ziemi. Ile daje zysku, jaka produkcja... I poproszę też może o informacje o tej drugiej części, gdzie stoi chałupa, jako że Intelisano chce sprzedać wszystko razem. Oczywiście dobrze im zapłacę. Pogadam sobie z nimi, mam nadzieję, że dowiem się czegoś ciekawego.

– Sądzę, że to dobry pomysł – powiedział Fazio.

Wszedł Mimì Augello.

– Za ile mam zniknąć?

– Za pięć minut.

– Chciałem ci powiedzieć, że coś mi się przypomniało. Ta Loredana, przed ślubem z di Martą, pracowała jako sprzedawczyni w supermarkecie przy ulicy Libertà?

Fazio odpowiedział zamiast Montalbana.

– Tak jest.

– To ja ją znam!

– Chryste Panie – krzyknął Montalbano – czyli ją też...

– Nie ja, tylko taki jeden mój kumpel, który mi ją przedstawił. Ale ten kumpel musiał ją zostawić, bo ta mała była już od dawna

zakochana w kimś innym.

– Czyli ona wie, że jesteś z policji?

– Nie, przedstawiłem się jako mecenas Diego Croma.

Montalbanowi zachciało się śmiać. To nazwisko doskonale pasowało do powieści erotycznych.

– To twój pseudonim?

– Jeden z wielu.

– Zdradź jeszcze jakieś, to się pośmieję.

– Carlo Alberto de Magister. Ale to wtedy, kiedy udawałem arystokratę. Chcę wiedzieć, czy fakt, że się znamy, stoi w sprzeczności z twoimi planami wobec mnie?

– Nie, wprost przeciwnie.

Zadzwoił telefon.

– Panie komisarzu, tu na miejscu jest takie państwo teraz, mężczyzna i kobieta, i mówią, że pan ich zawezwał.

– To państwo di Marta?

– Nie wiem, komisarzu, ona nie mówi, jak ma na imię.

Montalbano osłupiał.

– Dajmy sobie spokój, Catarella, i...

– Ale jeśli pan chce, mogę ich zapytać.

– Powiedziałem, daj spokój. A teraz policz do dziesięciu i potem przyprowadź ich do nas.

– Mam liczyć na głos?

– Jak chcesz.

Odłożył słuchawkę.

– No to ja znikam – powiedział Mimì, otwierając drzwi i wychodząc.

– Zostaw otwarte! – krzyknął za nim Montalbano.

Minęła minuta i nadal nikt się nie pojawił.

– Ile ten Catarella liczy do dziesięciu? – zapytał Fazio.

Po upływie kolejnej pół minuty Montalbano podniósł słuchawkę.

– No i co, Catarella?

– Dopraszam się o cierpliwość pana komisarza, ale nie jestem w stanie doliczyć do dziesięciu, no bo albo telefon dzwoni, albo ktoś przyjdzie i muszę zaczynać wszystko od nowa. A teraz, kiedy pan do mnie zadzwonił, to się znowu pogubiłem i muszę zaczynać od początku.

– Przestań liczyć i przyprowadź ich tu.

Po jakimś czasie Montalbano zobaczył wreszcie, w głębi korytarza, pana di Martę i jego żonę zmierzających w stronę gabinetu. Wstał, wyszedł im naprzeciw, przedstawił się kobiecie, wprowadził do środka i usadził przed biurkiem.

Fazio usiadł na krześle przy komputerze.

Loredana di Marta, która nie skończyła jeszcze dwudziestu jeden lat, a wyglądała na osiemnaście, była prawdziwą czarnowłosą pięknnością. Wysoka, z długimi nogami, błyszczącymi zazwyczaj oczami, dzisiaj trochę zamglonymi przez emocje. Te same, które sprawiły, że była zdenerwowana i blada.

Instynktownie komisarz spojrzał na jej wydatne wargi, miały doskonały kształt, nie widać było ani śladu ugryzienia, którym obdarował ją napastnik.

– Przyszliśmy tu bez słowa protestu, ale nie rozumiem powodu tego... – zaczął natychmiast pan di Marta.

Montalbano zatrzymał go uniesioną dłonią.

– Panie di Marta, to, że jest pan obecny przy tej rozmowie, na własną prośbę, to jedynie grzeczność, jaką panu okazujemy. Nie może pan w ogóle się odzywać, czy to jasne? Powód pozna pan, słuchając w ciszy pytań, które zadam żonie.

– No dobrze – mruknął di Marta.

– Postaram się zająć państwu jak najmniej czasu – Montalbano zwrócił się do kobiety. – Dlatego od razu przejdę do pytań. Proszę mi powiedzieć, kiedy dokładnie mąż przekazał pani tamtego wieczoru pieniądze do zdeponowania.

Mąż i żona wymienili szybkie spojrzenia. Najwidoczniej nie spodziewali się, że komisarz zacznie od tego pytania.

– Kiedy wychodziłam do mojej przyjaciółki Valerii.

– O której?

– Była jakaś ósma trzydzieści.

– Przez cały dzień nie miała pani czasu, żeby odwiedzić przyjaciółkę?

– Byłam już u niej po południu od wpół do piątej do siódmej.

– I po kolacji ponownie postanowiła do niej pojechać?

– Tak, nie czuła się dobrze. Wróciłam do domu, jak już mówiłam, o siódmej, przygotowałam kolację dla męża, zjedliśmy, powiedziałam mu, że muszę znowu wyjść i wtedy dał mi te pieniądze.

– To zdarzyło się pierwszy raz?

– Co?

– Że wpłacała pani utarg za niego.

– Nie, już tak bywało.

– Rozumiem. Ale jadąc do swojej przyjaciółki zapomniała pani o tym.

– Tak, myślałam o czymś innym. Za bardzo... za bardzo martwiłam się Valerią.

– To zrozumiałe. Czyli, reasumując, tylko trzy osoby wiedziały, co ma pani w torebce.

– Dwie! – poprawiła Loredana. – Mój mąż i ja.

– No nie! – odpowiedział Montalbano. – Valeria Bonifacio powiedziała mi, że kiedy tylko przyjechała pani do niej do domu,

zaraz przypomniała pani sobie o tych pieniądzach. I że chciała pani natychmiast wyjść, żeby jechać do wpłatomatu, ale Bonifacio przekonała panią, że lepiej zrobić to w drodze powrotnej. Czy tak było?

– Dokładnie tak.

– Czyli, jak pani widzi, miałem rację. Wiedziały o tym trzy osoby. Nie bierze pani pod uwagę możliwości, że jeszcze ktoś mógł o tym wiedzieć?

– Z pewnością nie.

– Nie zatrzymywała się pani gdzieś przed przyjazdem do przyjaciółki?

– Dlaczego miałabym się zatrzymywać?

– Mogło się tak zdarzyć, może skończyły się pani papierosy albo coś w tym stylu.

– Nie rozumiem, dlaczego...

– Pytam, bo jeśli zatrzymała się pani, żeby coś kupić, to być może ktoś zauważył, że ma pani w torebce dużo pieniędzy.

– Nigdzie się nie zatrzymywałam.

Montalbano zamilkł na chwilę, potem postanowił, że nadszedł czas na amatorów, trzeba będzie zabawić się w teatrzyk.

Wykrzywił usta w grymasie, gwizdnął, spojrzał bez słowa na końcówkę długopisu i potem jęknął półgłosem.

– Ach, ach!

Di Marta spojrzał na niego zdziwiony, ale nie powiedział słowa. Za to odezwała się Loredana:

– Co to znaczy?

– Że sprawy wyglądają źle.

– Dla kogo? – zapytała kobieta zdenerwowanym głosem.

– Cóż to za pytanie! Pani naprawdę nie rozumie?

– Nie, nie rozumiem!

- Dla pani przyjaciółki Valerii, to przecież jasne!
- Ależ co pan mówi?! – spytała zaskoczona Loredana.
- Załóżmy, to tylko takie przypuszczenie: pojawia się pani u przyjaciółki, mówiąc, że zapomniała wpłacić utarg, i chce od razu pojechać i wszystko załatwić, ale przyjaciółka odwodzi panią od tego. Nie wydaje się to pani dziwne?
- Dlaczego miałabym uważać to za dziwne? Przecież potem i tak miałam jechać do domu...
- A właśnie, że to nie wszystko jedno! Co innego wpłata utargu o dziewiątej, a co innego kiedy robi to pani o północy, i to sama. Taka młoda kobieta i, proszę mi pozwolić, taka piękna! Nie sądzi pani, że to była niezbyt przemyślana rada?
- Ale ani ja, ani Valeria nie wiedziałyśmy, że tak długo się u niej zasiedzę!

Dziewczyna miała gotową odpowiedź.

- Proszę mi pozwolić przedstawić dalszy ciąg. Przyjaciółka specjalnie powiedziała, że gorzej się czuje, żeby zmusić panią do pozostania u niej jak najdłużej. Potem, zaraz po pani wyjściu, dzwoni do swojego współnika i uprzedza, że jedzie pani na Crispiego z całym tym bogactwem w torebce. On pędzi, żeby panią tam spotkać, no i mamy cały plan.

Loredana przyglądała mu się z otwartymi ze zdumienia ustami. Komisarz zrobił gest, jakby odpędzał ręką muchę.

- Zostawmy na razie ten temat, który dotyczy naszego śledztwa w sprawie pani Bonifacio. Proszę pod żadnym pozorem nie rozmawiać z nią o tym. Jedziemy dalej, krok po kroku, do następnego pytania. Oświadczyła pani, że na Crispiego, między sklepem z materiałami a jubilerem, zobaczyła leżącego na ziemi człowieka. Moje pytanie jest następujące i proszę dobrze się

zastanowić, zanim pani na nie odpowie. Kiedy go pani dostrzegła, już leżał na ziemi czy dopiero na nią upadał?

– A jakie to ma znaczenie?

– Olbrzymie.

– Nie rozumiem.

– Już tłumaczę. Proszę słuchać uważnie. Bandyta z pewnością nie kładzie się na ziemi, żeby okraść pierwszy nadjeżdżający samochód. A jeśli przejechałby samochód dostawczy albo skuter? Co to za napad, pięć euro zarobku? Nie, on musi czekać na właściwe auto. Dlatego ukrył się w bramie i kiedy tylko zobaczył pani samochód, rzucił się na ziemię. Zrozumiała mnie pani?

– Tak.

– Ale skoro uliczka nie jest długa i idealnie prosta, pani z pewnością musiała widzieć nie człowieka już leżącego, ale upadającego. Teraz pani zrozumiała?

Spojrzała mu w oczy. Nie miała już tego zamglonego spojrzenia, co wcześniej, była ożywiona i skoncentrowana. Musiała być bardzo inteligentna. Okazało się właśnie, że ma godną szacunku przeciwniczkę.

– Potwierdzam to, co powiedziałam wcześniej – powiedziała Loredana stanowczym głosem. – Być może nie zauważyłam ruchu tego człowieka, bo patrzyłam na zegarek i robiłam coś innego, ale zobaczyłam mężczyznę, kiedy już leżał na ziemi.

Szacun! Nie tylko była inteligentna, ale także sprytna. Zrozumiała, że potwierdzając swoją wersję, osłabia hipotezę komisarza dotyczącą współuczestnictwa Valerii. Montalbano wyczuwał, że kolejne pytanie może wywołać zamieszanie, i postanowił, z wyrachowaniem, zadać je znienacka, dla zwiększenia efektu.

– Pani wybaczy, ale w raporcie czytamy, że napastnik, wsiadając do samochodu, wyciągnął kluczyki do auta i rzucił je na ulicę.

– Tak.

– Czyli kiedy ten mężczyzna poszedł sobie, musiała pani wyjść z samochodu i poszukać kluczyków?

– Tak.

– Dużo czasu to pani zajęło?

– Sporo, ta uliczka jest słabo oświetlona, a ja byłam przerażona...

– W którą stronę uciekł?

– Kto?

– Napastnik.

– Zaczął biec w stronę, w którą jechałam, światła oświetlały go od tyłu, a potem, kiedy dobiegł do końca zaułka, skręcił w prawo.

– Pomówmy o czymś innym – powiedział Montalbano. – Pani przyjaciółka Valeria zdradziła mi także pewien szczegół, który dziwnym zbiegiem okoliczności nie pojawia się w zeznaniu pani męża.

Pan di Marta, który do tej pory słuchał z zainteresowaniem, teraz ożywił się i włączył do rozmowy.

– Nie opowiedziałaś mi wszystkiego? Coś się tam jeszcze stało? Przecież przysięgałaś, że to wszystko!

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, cały czas siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę. Montalbano zrozumiał, że musi się włączyć.

– Mówiłem panu, że trzeba siedzieć cicho...

– Odzywam się, kiedy mi się podoba!

– Fazio, wyprowadź pana di Martę z tego pokoju – wycedził przez zęby komisarz.

– Co to ma znaczyć? – zapytał di Marta, podrywając się z krzesła.

– To znaczy, że uważam pańską obecność w tym miejscu za niewskazaną.

– To nadużycie! Nadużycie władzy! – krzyknął di Marta blady jak trup, zaciskając pięści.

Ale Fazio chwycił go za ramiona i wywlókł na zewnątrz, nie zważając na krzyki mężczyzny.

– Może wody? – zapytał komisarz.

Dziewczyna przytaknęła. Montalbano wstał, wziął szklankę, napełnił ją z butelki, która stała na biurku, i podał kobiecie.

Wypiła wszystko jednym haustem.

Wszedł Fazio.

– Przekonałem go, żeby siedział w poczekalni, w każdym razie mają go na oku.

– Czuje się pani na siłach wrócić do rozmowy? – zapytał Montalbano.

– Skoro i tak tu jestem – odpowiedziała zrezygnowana.

– Dlaczego nie powiedziała pani mężowi, że napastnik, oprócz pocałunku, zażądał także czegoś innego?

Loredana spłonęła rumieńcem. Na górnej wardze pojawiły się strużki potu. Zmuszała się, żeby mówić spokojnym głosem, co wyraźnie kosztowało ją wiele wysiłku, widać było, że jest niezwykle zdenerwowana.

– Ponieważ... on jest bardzo zazdrosny, czasami zazdrość odbiera mu rozum. Gotów by jeszcze pomyśleć, że wszystko odbyło się za moim przyzwoleniem. Myślałam, że jeśli mu to opowiem, to jeszcze coś mu się stanie. Chciałam go oszczędzić... Ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego Valeria poczuła się w obowiązku opowiedzieć to wszystko panu...

– Pani przyjaciółka zachowała się tak, jak należało. Ale, jeśli mam być szczery, odnoszę wrażenie, że nie powiedziała mi wszystkiego.

Nic nie wiedział, ale strzelał w ciemno. Wcale nie odniósł takiego wrażenia. To raczej wzburzenie Loredany sprawiło, że taki pomysł przyszedł mu do głowy.

8

Loredana nie odpowiedziała. Wydawało się nawet, że ogóle nie usłyszała tego, co powiedział komisarz. Wpatrywała się w podłogę, lekko pochylając ramiona. Co jakiś czas potrzasała głową, jak gdyby chciała zaprzeczyć, odegnąć jakąś myśl czy wspomnienie, które sprawiało jej przykrość. Potem otworzyła torebkę, wyjęła haftowaną chusteczkę i wytarła usta. Kiedy skończyła, siedziała trzymając chusteczkę w dłoniach.

Komisarz uznał, że nadeszła odpowiednia chwila, aby przystąpić do akcji. Zamknął oczy, otworzył je i wypalił:

– Mogę prosić o imię i nazwisko pani ginekologa?

Loredana podskoczyła na krześle. Odwróciła się, zaskoczona i przerażona, w stronę Montalbana.

– Ale po co?

Wykrzyczała to pytanie całą sobą, szeroko otwierając oczy. Nie panowała nad nerwami.

Montalbano mógł sobie tylko pogratulować, wszystko poszło zgodnie z planem.

– Ponieważ mam zamiar zadać mu pytanie, na które będzie musiał odpowiedzieć, jako że nie chodzi o ujawnienie tajemnicy lekarskiej.

– Jakie pytanie?

Loredana zaczęła prawie szeptać.

– Po prostu zapytam go, kiedy ostatni raz była pani u niego z wizytą.

Zdesperowana Loredana wybuchnęła nagle płaczem. Odwróciła się bokiem, usiadła na brzegu krzesła, złożyła ręce jak do przysięgi

i położyła je na biurku.

– Błagam!... już dość! Niech pan ma litość...

Fazio spojrzał na komisarza, ale ten unikał jego wzroku.

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę przestać. Proszę panować nad sobą, niech pani to zrobi dla swojego męża, bo jeśli zobaczy panią w takim stanie... Pomogę pani, dobrze?

– Ale jak?

– Opowiem, co według mnie tam się wydarzyło, a jeśli pomylę się, proszę mnie poprawić. A zatem, wpuściła pani napastnika do samochodu, wziął pieniądze z torebki, a potem, grożąc pani bronią, rozkazał ruszyć. Czy tak było?

Loredana przytaknęła głową. Teraz trzymała chusteczkę przy twarzy obiema rękami, jak gdyby nie chciała widzieć tego, co dzieje się wokół niej.

– Potem, kiedy tylko dojechaliście w ciemne i wyludnione miejsce, kazał się pani zatrzymać i przesiąść na tylne siedzenie. Zgadłem?

– Tak.

– I tam panią zgwałcił.

– Tak – szepnęła Loredana.

Potem jęknęła i nagle zemdląta, upadając na podłogę.

Montalbano i Fazio rzucili się na pomoc, zderzając się ze sobą. Fazio podniósł ją i ułożył na kanapie. Montalbano przetarł Loredanie twarz chusteczką, którą wcześniej zmoczył wodą z butelki. Udało im się przywrócić jej przytomność dopiero po dziesięciu minutach.

– Da pani radę przejść kilka kroków?

– Tak.

– Zaprowadź panią do swojego gabinetu i zostań z nią – rozkazał Faziowi Montalbano.

Sam zadzwonił do Catarelli, prosząc, żeby do niego przyszedł.

– Zaprowadź mnie do tego di Marty.

– Gdzie jest moja żona? – od razu zapytał di Marta, widząc komisarza samego.

– Jest w gabinecie Fazia, kiedy tylko poczuje się lepiej, złoży nowe zeznanie.

– Nowe?

Spojrzeni na siebie. Komisarz nie musiał nic dodawać. Di Marta wyglądał, jak gdyby nagle zabrakło mu oddechu. Zaczęła trząść mu się głowa, podniósł rękę do serca. Montalbano zląkł się, że i jemu coś może się stać.

Tego by tylko brakowała, żeby i mąż zemdlął.

– Została zgwałcona, prawda?

– Niestety – powiedział Montalbano.

Pięć minut po wyjściu państwa di Marta komisarz naradzał się z Faziem i Mimì. Na początek Montalbano poprosił Fazia, żeby opowiedział Augellowi o przesłuchaniu, a on tymczasem pójdzie zapalić na parking.

Musiał chwilę pomyśleć samemu o tym, co się stało. Kiedy wrócił, zaczęli się naradzać.

– Chciałbym, Fazio, żebyś mi powiedział, czy chcesz mnie o coś zapytać.

– Tak jest. Zrozumiałem to, co pan mówił o fałszywych podejrzeniach dotyczących tej Bonifacio, użytych tylko po to, żeby sprowokować jej reakcję, kiedy tylko Loredana o wszystkim jej powie. Ale co do tego, co miało miejsce po pocałunku, to czy panu naprawdę wydaje się, że Bonifacio, kiedy wspomniał jej pan o pieszczotach, nie powiedziała panu całej prawdy?

– Nie, kiedy z nią rozmawiałem, wcale takiego wrażenia nie odniosłem. To raczej dzisiejsze zachowanie Loredany podpowiedziało mi, że cały czas gra.

– Ale w co gra?

– Nie miałeś wrażenia, że Loredana próbuje mnie wziąć za rączkę i zaprowadzić dokładnie tam, dokąd chce, a ja posłusznie podałem dłoń i pozwoliłem się prowadzić?

– Czyli chce pan powiedzieć, że wcale nie została zgwałcona? – zapytał Mimì. – To w takim razie po co poszła się zbadać?

– Tego nie powiedziałem, mówię, że dała się zgwałcić. Potrzebowała zaświadczenia o doznanym cielesnym gwałcie. I otrzymała je od swojego ginekologa. I pamiętaj, że to nie ona powiedziała nam o doznanej przemocy, tylko ja zmusiłem ją do takiego wyzwania. Ale ona ma łeb!

– Ale po co?

– Już wam mówię. Swoją drogą te kobiety... Loredana wraca do domu z pogryzionymi ustami. Valeria powiedziała mi, że napastnik kazał się dotykać, ona pojawia się tu zdenerwowana, jak gdyby miała wyjawić mi jakiś sekret... Świetnie wymyśliły, jak wzbudzić we mnie myśl o gwałcie! Pracowały nad tym we dwie, i to jak! Mistrzostwo świata!

– No dobrze – powiedział zniecierpliwiony Augello – ale dlaczego potrzebowała gwałtu?

– Bo w ten sposób likwiduje podejrzenie o swojej współpracy z napastnikiem.

– To prawda – od razu powiedział Fazio.

– I dlatego, jak ktoś mówi A, to mówi i B: gwałcający i gwałcona byli w zмовie i poprzez Loredanę mogliśmy dotrzeć do napadu. I w tym momencie pojawia się ty, Mimì.

– Rozumiem, muszę zdobyć Loredanę.

– A właśnie, że nie.

– No to co mam robić?

– Musisz poderwać Valerię Bonifacio. Zapewniam cię, że jako kobieta jest tego warta. Fazio da ci wszystkie namiary i nie pojawiaj

się już teraz w komisariacie, dopóki się z nią nie skontaktujesz.

Montalbano zorientował się, że Fazio intensywnie o czymś myśli.

– Co ci jest?

– Nie przekonuje mnie to, komisarzu.

– Nie powinienem powierzać takiego zadania Augellowi?

– Nie o to chodzi. Nie przekonuje mnie, że zorganizowali tę szopkę za szesnaście tysięcy euro.

– Za mało?

– Nie to, że za mało, ale niedużo w porównaniu z rozmachem akcji. Ale to tylko takie moje wrażenie.

– Może i masz rację. Ale na tym etapie musimy działać.

Przerwał na chwilę, po czym powiedział:

– A co do tego, kim jest ten napastnik, to mam kogoś na oku. Od dnia, kiedy się dowiedziałem, że to był gwałt za przyzwoleniem.

– Jeśli o to chodzi – powiedział Fazio – to ja też o kimś myślę.

– To powiedz o kim.

– Pan pierwszy.

– Zróbmy inaczej. Powiem ci imię, a ty nazwisko, zgoda?

– Zgoda.

– Carmelo... – zaczął komisarz.

– ...Savastano – dokończył Fazio.

– Co wy wyprawiacie! – krzyknął Mimì. – Dla mnie było to tak oczywiste, że nawet nie chciało mi się brać udziału w tej waszej dziecinnej zabawie.

Wstał i wyszedł. Zadzwoił telefon.

– Panie komisarzu, tu jest do pana taki pan, 'Ntintin...

– ...tonton – podpowiedział komisarz.

– Nie, on się nazywa inaczej, 'Ntilisanno.

– Przyrowadź go.

Intelisano nie miał nic przeciwko prośbie komisarza.

– Zgoda, jeśli pan chce, to pogadamy z tymi Tunezyjczykami ze Spiritu Santo, pojedźmy lepiej od strony Montelusy, lepsza droga. Ja zawsze tamtędy jeżdżę.

– Jak się umawiamy?

– Lepiej pojechać dwoma samochodami, pana i moim. Spotkajmy się na skrzyżowaniu z Aragoną, przed Montelusą. Odpowiada panu wpół do ósmej?

– Jak najbardziej.

– Jak mam pana przedstawić?

– Jako inżyniera Carla La Portę.

Miał właśnie ruszać do Marinelli, kiedy Catarella zadzwonił z informacją, że w komisariacie czeka pan Squisito z brygady antyterrorystycznej, który chce z nim rozmawiać bardzo osobiście. Komisarz dobrze go znał.

– On się nazywa Sposito, Catarella. Przyrowadź go.

Sposito był czterdziestopięcioletnim kwestorem, zawsze źle ubranym i potarganym, ciągle się spieszył. Nigdy nie mieli ze sobą bliżej do czynienia, ale często spotykali się w kwesturze i komisarzowi wydawał się dość antypatyczny.

– Zajmę ci tylko pięć minut – powiedział Sposito. – Spieszę się, przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że...

– Jasne, siadaj, proszę.

– Przede wszystkim wiedz, że wszystko delikatnie posprawdzaliśmy w tym domku w Spiritu Santo. Miałeś rację, prawie na pewno chodzi o ładunek składający się ze skrzyń z bronią raketową i z amunicją. Potrzebuję jednak wyjaśnienia.

– O co chodzi?

– Według tego, co powiedział nam pan Augello, właściciel tego terenu, kiedy zorientował się, że dom ma nowe drzwi, poinformował

cię nie tego samego dnia, ale dopiero dzień po.

– Nie, przyszedł tego samego wieczoru, ale mnie już nie było i Augello poprosił go, żeby wrócił nazajutrz.

– A ty pojechałeś na miejsce zaraz tego samego ranka po jego zeznaniu?

– Tak, a o co chodzi?

– Bo jeśli tak się sprawy mają, to jasne, że ktoś miał na oku tę chałupę i wiedział, że Intelisano nie jest zwykłym przechodniem, ale właścicielem. Dlatego musieli szybko się zwinąć, opróżniając dom zaraz po odejściu Intelisana.

– Rozumiem, no i co?

– Czyli, skoro dla nich była to nieprzewidziana sytuacja, możliwe, że broń nie została jeszcze wysłana. Być może nie przeniesiono jej gdzieś daleko, może jest w okolicy chałupy albo w jakimś innym miejscu, niezbyt trudnym do odkrycia. Dziękuję.

Wstał i podał rękę komisarzowi.

Jak to możliwe, że Sposito nie wspomniał o dwóch Tunezyjczykach? Może jeszcze o nich nie wiedział? Albo nie chciał z nim o nich rozmawiać?

Po przyjeździe do Marinelli przede wszystkim upewnił się, czy Adelina nie zostawiła go z pustym żołądkiem mimo wiadomości, którą jej rano zostawił.

W lodówce znalazł zapiekankę z kartoflami i sardelami. Adelina, nie znając szczegółów, na wszelki wypadek przygotowała ogromną porcję, w razie gdyby na kolacji były dwie osoby.

Kończył właśnie nakrywać do stołu na werandzie, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, komisarzu.

– Cześć, Marian, jak poszło z Larianim?

Tego najbardziej chciał się dowiedzieć.

– Źle.

Zaniepokoił się: czy to znaczy, że ten dupek zaprosił ją do domu tylko po to, żeby ją wykorzystać?

– Dobierał się do ciebie?

– No co ty! W życiu bym mu nie pozwoliła... Nie, poszło źle, bo jak przypuszczałam, to twardy typ. Pokazał mi trochę płócien, to przewidziałam, a kiedy poprosiłam, żeby już przestał żartować, odpowiedział, że może będzie mógł dostarczyć mi to, o co proszę, ale potrzebuje czasu, żeby się nad tym zastanowić.

– Ile czasu?

– Przynajmniej trzech dni.

– Przeciąga sprawę.

– No właśnie. A to oznacza, że nie będę mogła wrócić do Vigaty tak szybko, jak planowałam.

– Gdzie jesteś?

– W domu rodziców. Za chwilę idziemy na kolację. Aha, posłuchaj, kiedy tu wróciłam, zadzwoniła do mnie Pedicini z Korfu. Chciała wiedzieć, jak idą sprawy z Larianim. Powiedziałam jej, że się przeciągają. Na to ona zaproponowała coś, co mnie w pierwszej chwili zdziwiło.

– Co takiego?

– Zasugerowała, żeby powiedzieć mu, że jestem wyjątkowo zainteresowana obrazami Paola Antonia Barbieriego.

– A kto to?

– Brat Guercina, specjalista od martwych natur.

– Dlaczego wydało ci się to dziwne?

– Ponieważ moim zdaniem ograniczała w ten sposób zasięg poszukiwań Larianiego.

– Czyli utrudniała sprawę.

– Albo raczej ułatwiała.

– Dlaczego?

– Bo oczywiście natychmiast zadzwoniłam do Larianiego, powiedziałam mu, że gdyby szukał czegoś dla nas, to niech zwróci uwagę na Barbieriego, a on zaczął się śmiać. Powiedział, że spodziewał się takiej prośby.

– Co to znaczy?

– Nie rozumiem, ale dosyć już mówienia o moich interesach. Mogę ci coś wyznać?

– Oczywiście.

– Jestem głodna.

– Przecież mówiłaś, że zaraz wychodzisz na kolację.

Roześmiała się.

– Salvo, ogarnij się! Jestem głodna, czyli mam na ciebie ochotę, a ty?

Mimo że był sam, Montalbano zaczerwienił się.

– Oczywiście – tylko to udało mu się powiedzieć.

Marian ponownie zaczęła się śmiać.

– Mój Boże, czasami jesteś taki niezdarny... taki cudowny. Uzbrój się w odwagę, komisarzu, i powiedz, że mnie pragniesz.

Montalbano zamknął oczy, zaczerpnął tyle powietrza, ile tylko mógł, i skoczył na głęboką wodę.

– Ja... ciebie... – zaczął.

I zatrzymał się. Pewnie, że jej pożądał, ale nie był w stanie tego powiedzieć. Entuzjastyczne słowa wypełniały mu usta, ale te pozostawały nieruchome i niezdolne do mówienia.

– Tylko mały wysiłek. Prawie ci się udało – powiedziała Marian. – Może lepiej zacznij od początku.

– Ja...

Nic z tego. Tym razem przeszkodą okazało się gardło, bardziej suche niż cała Sahara.

– Wołają mnie na kolację – powiedziała Marian. – Jak tak dalej pójdzie, to wydukasz coś za dwie godziny. Tym razem ci się udało. Zadzwoń, zanim zaśniesz, żeby ci życzyć dobrej nocy.

Odłożył słuchawkę, poszedł na werandę. Telefon znowu zadzwonił.

Oczywiście to była Livia.

– Możesz chwilę poczekać?

Poszedł nalać sobie wody.

– Już jestem.

– Dzwoniłam wcześniej, ale było zajęte, z kim rozmawiałeś?

– Z Faziem.

Kłamstwo pojawiło się spontanicznie, a Livia łyknęła je bez dalszych pytań.

Kiedy odłożył słuchawkę, obliczył, że powiedział jej dzisiaj jakieś dziesięć kłamstw.

Czy da radę dalej tak się zachowywać? Nie, to jasne. Przy każdym kłamstwie czuł się, jakby spadał na niego kamień. Teraz musiał natychmiast iść pod prysznic.

Cóż był z niego za wspaniały mężczyzna!

Z jednej strony, po tym wszystkim, co Marian z niego wyciągnęła, nie był w stanie powiedzieć, że jej pożąda. No i zabrakło mu odwagi, żeby szczerze i uczciwie porozmawiać z Livią i powiedzieć, że już jej nie kocha.

Po prysznicu poczuł się lepiej i poszedł jeść. Pochłonał po połowie każdej potrawy i sprzątnął ze stołu.

Chciał się wcześniej położyć, ponieważ musiał wstać przynajmniej o szóstej, żeby o wpół do ósmej być na skrzyżowaniu Aragona.

Przeniósł telefon do sypialni, gdzie miał gniazdko obok nocnego stolika.

Wziął z biblioteki pierwszą lepszą książkę, która wpadła mu w ręce. Kiedy się położył, zobaczył, że trzyma *O miłości* Stendhala. Zachciało mu się śmiać. Otworzył w przypadkowym miejscu.

Kiedy dopiero poznawałem miłość, w pierwszych chwilach to dziwne uczucie kazało mi przypuszczać, że nie Kocham. Rozumiem tchórzostwo... [2]

Czytał jeszcze przez kilka godzin, dopóki oczy nie zaczęły mu się zamykać. Zadzwoił telefon.

- Dobry wieczór, komisarzu.
- Ja też – powiedział nieprzytomnie.

Marian zaczęła się śmiać.

– Co ci się stało? Tak powinieneś odpowiedzieć na pytanie, czy także ty mnie pragniesz. A teraz to „ja też” powiedziałeś z zaciśniętymi ustami. I to ma być odpowiedź na poprzednie pytanie, czyli: ja też życzę ci dobrej nocy?

– To drugie – odpowiedział Montalbano, czując się jednocześnie śmieszny i podły.

Ale nie był gotów powiedzieć całej prawdy.

Wychodząc z domu, poczuł, że ogarniają go wątpliwości. A jeśli tych dwóch Tunezyjczyków zobaczyło go przypadkiem w telewizji i rozpoznają w nim komisarza Montalbano? Było to mało prawdopodobne, ale jednak. Jak mógł zmienić sobie twarz w ciągu pięciu minut, nie mając w domu nic, czego mógłby użyć?

Zdecydował się na okulary przeciwsłoneczne, które zakrywały mu połowę twarzy, czapkę stracha na wróble zachodzącą na oczy i olbrzymią czerwoną chustę, którą owinął sobie wokół szyi, niemal zakrywającą nos. Reszta w rękach Boga, pomyślał.

Intelisano czekał na niego na skrzyżowaniu punktualnie o umówionej godzinie. Spojrzał nieco zdziwiony na komisarza, ale nic nie powiedział.

W pewnej chwili, na środku wiejskiej, ale w miarę przejezdnej drogi samochód Intelisana zatrzymał się i jadący za nim Montalbano zrobił to samo.

– Teraz musimy iść pieszo. Niech pan zamknie samochód.

Z lewej strony zobaczyli ścieżkę dla wózków i poszli nią.

– Od tego miejsca to już moja ziemia.

Szli jakieś dwadzieścia minut pośród świeżo zaoranej ziemi. Montalbano czuł jej zapach przenikający nozdrza. Ziemia pachnie równie pięknie jak morze.

Minęli murowaną stajnię pełną zwierząt, obok której stał metalowy, dość duży barak. Jego górna część służyła za stodołę.

W chwili gdy Montalbano przyglądał się barakowi, oślepiające światło wystrzeliło z budynku. Pomimo okularów bezwiednie zamknął oczy, a kiedy je otworzył, światło już zniknęło. Musiał zdjąć okulary i przetrzeć załzawione oczy. Może po prostu promień słońca odbił się w kawałku szkła.

9

– Ten barak jest całkiem wygodny – tłumaczył Intelisano. – Na górze jest siano, a na dole pomieszczenie wykorzystywane jako magazyn, garaż, miejsce na składowanie ziarna. Chłopi przychodzą tu też, żeby zjeść, kiedy jest bardzo gorąco albo zimno.

– Mają klucze?

– Oczywiście.

– Nieraz śpią tu też?

– Nie, chyba to już mówiłem. Nocują w Montelusie.

Po kolejnych dziesięciu minutach marszu doszli do miejsca, w którym pracowali Tunezyjczycy.

Montalbano przekonał się, że miał rację: nie można było stąd zobaczyć starej chałupy, bo pagórek zasłaniał cały widok.

Ale Tunezyjczycy z pewnością musieli wchodzić na ten pagórek, kiedy uprawiali ziemię, i dlatego wiedzieli o opuszczonym budynku.

Obydwaj skończyli właśnie pracę. Jeden z nich zszedł z traktora. Zdjęli czapki, a Intelisano przedstawił ich komisarzowi.

– To jest Alkaf, a to Mohamed.

– Bardzo mi miło – powiedział Montalbano, podając im rękę, którą obydwaj uścisnęli.

– Pochodzą z Tunezji – ciągnął Intelisano. – Pracują tu już dwa lata. A ten pan to inżynier Carlo La Porta, który chciałby kupić tę ziemię.

– Ty chcesz sprzedać? – zapytał z żalem Mohamed.

– Trudno zajmować się trzema wielkimi działkami – odpowiedział Intelisano.

Alkaf uśmiechnął się do komisarza.

– Ty zrobić dobry interes.

– Jeszcze lepszy, jeśli nas tu zatrzymasz – dodał Mohamed.

Mieli koło pięćdziesiątki, ale nie wyglądali na swój wiek. Szczupli, o inteligentnym, uważnym spojrzeniu. Mimo że żyli jak biedacy, wyglądali na porządnych ludzi.

– W Tunezji pracowaliście dla kogoś czy mieliście własną ziemię?

– zapytał Montalbano.

– Tak, naszą – odpowiedzi chórem.

– Ale niezbyt dużo – dopowiedział Alkaf.

– Mieliście traktory?

– Nie – powiedział Mohamed. – Nie mieć pieniędzy na traktor. Motyka i pług. Ja tu dopiero nauczyć prowadzić traktor.

– Idziemy dalej? – zapytał Intelisano.

Montalbano przytaknął i pożegnał się z Tunezyjczykami, ponownie podając im rękę.

Kiedy tylko się oddalili, Intelisano zapytał komisarza, kiedy ma zamiar wrócić, żeby porozmawiać z nimi na osobności.

– Będę tu najpóźniej o piątej, ale raczej wcześniej.

– Proszę pamiętać, że po zachodzie słońca kończą pracę i wracają do Montelusy.

– Dobrze.

– Jakie wrażenie na panu zrobili?

– Wydają się bystrzy i inteligentni.

– I tacy właśnie są, to świetni pracownicy.

– Pan nie uważałby, że...

– Komisarzu, w normalnej sytuacji byliby dżentelmenami, ale w obecnej sytuacji...

Montalbano też tak uważał. Doszli do miejsca, w którym zostawili samochody.

– Ja jadę do Montelusy, mam tam parę rzeczy do zrobienia – powiedział Intelisano. – Wrócę tu koło pierwszej, a może i wcześniej, a najpóźniej od trzeciej zostawiam panu pole do działania.

Jadąc w stronę Vigaty, komisarz miał pewność, że ręce Alkafa i Mohameda nie należą do rolników uprawiających ziemię od rana do wieczora.

Kiedy uściśnął je za pierwszym razem, wyczuł gładkość, bez odcisków, których należałoby się na nich spodziewać.

Chciał upewnić się jeszcze raz. I upewnił się.

– Dzień dobry, komisarzu – powitał go Catarella.

Montalbano stanął jak wryty.

Co się dzieje? Miał na sobie okulary, kapelusz i chusteczkę, w których wyglądał jak żywy strach na wróble, a Catarella od razu go rozpoznał?

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

– A miałem nie wiedzieć?

– Nie, przecież jestem w przebraniu.

Catarella zrobił zmartwioną minę.

– Przykro mi, nie wiedziałem, że jest pan przebrany. Dopraszam się o zrozumienie i wybaczenie. Jeśli pan chce, może wyjść i wrócić, a ja wtedy...

– Daj spokój, powiedz lepiej, jak mnie poznałeś.

– Po pierwsze po wąsach i pieprzyku, a po drugie po chodzie.

– A ja niby jak chodzę?

– Tak po swojemu, panie komisarzu.

Czyli lepiej by było, gdyby w ogóle się nie przebierał.

– Przyślij do mnie Fazia.

Kiedy tylko wszedł do pokoju, zdjął kapelusz, okulary i chustkę i włożył wszystko do szuflady. Nie chciał, żeby sytuacja powtórzyła

się po raz drugi, tym razem z Faziem.

– Dzień dobry, komisarzu. Jak poszło z tymi tunezyjskimi chłopami? – zapytał wchodząc Fazio.

– Na pewno są z Tunezji, ale chłopci to z nich żadni.

– A to dlaczego?

Opowiedział mu o ich dłoniach. Fazio zastanowił się.

– Ale Intelisano mówi, że umieją uprawiać ziemię.

– Być może u siebie w kraju mają jakieś niewielkie działki i dlatego umieją pracować. W każdym razie wracam tam po obiedzie. Muszę uważać na to, co mówię, tacy jak oni czytają ci w myślach. A ty co masz mi do powiedzenia?

– W miasteczku mówią, że wczoraj wieczorem Loredana di Marta znalazła się w klinice w Montelusie.

– Co się stało?

– Mówią, ale to nic pewnego, że ma jakieś obrażenia głowy i połamane żebra.

– Wiesz, jak to się stało?

– Ja nic nie wiem, ale mówią, że to przez te razy, które wlepił jej mąż z powodu napadu. Inni twierdzą, że spadła ze schodów.

– Według mnie pan di Marta musiał dojść do wniosku, że Loredana zna napastnika, i chciał się tego dowiedzieć, może nawet przy użyciu rąk i kto wie, także i nóg.

– Też tak mi się wydaje.

– Problem w tym, czy Loredana podała mu w końcu to nazwisko czy nie. Nie wydaje ci się, że najwyższy czas zająć się Carmelem Savastanem?

– Już się zająłem.

Monbtalbano zazgrzytał zębami, jak zawsze, kiedy Fazio wymawiał te dwa słowa. Przede wszystkim, kiedy znajdował czas,

żeby zająć się tym, o czym później opowiadał? Pod biurkiem przydepnął stopę drugą nogą i uspokoił się.

– Opowiadaj.

– Savastano żyje jak nierób, nie wiem, skąd ma pieniądze na takie życie. Wczoraj wieczorem wywołał kłótnię u sprzedawcy ryb, rzucił się na jednego gościa i karabinierzy musieli zamknąć go na noc w celi. O tej porze pewnie już go wypuścili, albo właśnie to robią.

– Lepiej, żebyś miał go na oku.

– Tak jest. Chciałbym powiedzieć o czymś, czym kazał mi się pan zająć. Zająłem się, ale nie pytał mnie pan o to więcej i zapomniałem...

– O co chodzi?

– Miałem dowiedzieć się, w jakim czasie Loredana mogła dojechać z ulicy Palermo na miejsce napadu.

– No fakt, zrobiłeś próbę?

– Tak, dwa razy. Nie można dojechać w mniej niż pół godziny, trzydzieści pięć minut.

Poszedł zjeść coś u Enza, bez pośpiechu, miał dużo czasu. Kiedy wyszedł, dochodziła trzecia.

Stwierdził, że dzisiaj nie przejdzie się do mola, jak zwykle, może strawić jedzenie równie szybko, chodząc po polach.

Musiał przedtem pojechać do komisariatu po swoje przebranie.

Kiedy wszedł, Catarella aż podskoczył.

– Och, panie komisarzu, jak to dobrze, że się pan pojawił!

– Co się stało?

– Bo musi pan najpilniej jak może zadzwonić do pana 'Ntilisano, który dzwonił tu już dwa razy! Prosił, żeby nie jechał pan tam, dokąd miał jechać, tylko najpierw do niego zadzwonił, czyli do pana 'Ntilisano.

Co się stało? Poszedł szybko do gabinetu.

– Co się stało, panie Intelisano?

– Coś niewiarygodnego.

– To znaczy?

– To coś, w co trudno uwierzyć!

– Proszę mówić!

– To chyba...

Montalbano stracił cierpliwość i podniósł głos.

– Powie mi pan w końcu czy nie?

– Jak już mówiłem, pojechałem do Montelusy i o wpół do pierwszej byłem z powrotem w Spiritu Santo. Od razu zobaczyłem, że traktor stoi na środku pola z wyłączonym silnikiem i nigdzie nie widać tych Tunezyjczyków.

– To gdzie byli?

Intelisano nawet go nie usłyszał.

– Poszedłem do baraku, był zamknięty, ale klucze leżały przed wejściem. Otworzyłem, Tunezyjczycy nie mogli odejść daleko, skoro leżały tam jeszcze ich plecaki i wszystkie inne rzeczy.

– I co pan zrobił?

– Poczekąłem pół godziny. Widząc klucze przed drzwiami, pomyślałem, że mogą wrócić lada moment. Ale skoro się nie pojawili, wsiadłem w samochód i pojechałem do Montelusy. Wiedziałem, gdzie mieszkają, wynajmowali pokój w Rabacie. Ale tam ich nie było. A ci Tunezyjczycy, z którymi mieszkali, powiedzieli, że pojawili się koło pierwszej, złapali rzeczy i uciekli.

– Gdzie pan teraz jest?

– W Spiritu Santo.

– Proszę tam na mnie zaczekać, już jadę.

Po jakiejś półgodzinie spotkał się z Intelisanem, który siedział przed otwartym barakiem z niepocieszoną miną.

– Nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

– Ja panu pomogę. Ci dwaj rozpoznali mnie, a ponieważ mieli nieczyste sumienie, to uciekli.

– Uważa pan, że mieli coś wspólnego z tym handlem bronią?

– Więcej niż coś, a ucieczka tylko to potwierdza.

– Ale jak mogli pana rozpoznać?

– Pewnie widzieli mnie w telewizji.

Intelisano skrzywił się.

– Proszę wybaczyć, ale kiedy po raz ostatni pojawił się pan w telewizji?

Montalbano szybko policzył.

– Jakieś dziesięć miesięcy temu.

– I myśli pan, że ktoś, kto pana nie zna i widział pana tylko przez dziesięć minut, pamięta, jak pan wygląda? Nawet jeśli świeciliby panu w twarz...

Światło! Błysk światła! To nie było żadne odbicie w szkłe, ale najprawdopodobniej...

– Jak się wchodzi na górę do stodoły?

– Z tyłu jest żelazna drabinka, na zewnątrz, ale ja tam nigdy nie wchodzę, bo mam lęk wysokości.

Komisarz pobiegł za barak, za nim Intelisano. Drabinka stała prawie pionowo, w niebezpiecznej pozycji, ale komisarz nie przejął się tym i wspiął sprawnie jak strażak, podczas gdy Intelisano patrzył na niego z dołu.

Stodoła była prawie pusta, z wyjątkiem dziesięciu bel siana ustawionych przed wielkim otworem wychodzącym na wejście do baraku.

Montalbano zauważył jednak, że bele zostały poprzesuwane tak, że utworzyły tunel. Można było się w nim ukryć i śledzić to, co działo się w pozostałej części budynku.

Komisarz wszedł między bele. Z góry widać było wszystko, aż do miejsca, w którym zostawili auta. Mało tego, dzięki obniżeniu terenu można było zobaczyć także zrujnowaną chałupę służącą jako tymczasowy magazyn. Doskonały punkt obserwacyjny.

Tak więc, kiedy rano przyszedł tu z Intelisanem, ktoś obserwował go właśnie z tego miejsca. Najprawdopodobniej przez lornetkę, co tłumaczyłoby owo świetlne ostrze, które podrażniło oczy Montalbana.

I to ta osoba, a nie Tunezyjczycy, poznała komisarza, co tłumaczyło tak szybką ucieczkę.

Wyszedł z tunelu i rozejrzał się dokoła. Najbliżej drabinki naniesiono wystarczającą ilość siana, żeby ktoś mógł tu spać.

Obok leżała pusta butelka po wodzie mineralnej i złożona gazeta. Nie dotykając jej ręką, tylko posługując się dwoma kawałkami drewna, Montalbano przeczytał datę wydania. Była dzisiejsza, najwidoczniej Tunezyjczycy kupili ją rano i przynieśli człowiekowi ukrytemu w sianie.

Dostrzegł też plastikową torebkę. Otworzył ją kawałkiem drewna i zobaczył skorupkę po jajku, kawałek świeżego jeszcze chleba i kolejną butelkę wody mineralnej, wypitą do połowy. Oprócz gazety przynieśli mu także śniadanie.

Nie było tu nic więcej do oglądania. Podniósł się.

– Znalazł pan coś?

– Tak, ci pańscy robotnicy trzymali tu kogoś ukrytego w sianie. I tak wiedzieli, że z powodu zawrotów głowy nigdy nie wejdzie pan na górę. To na pewno ta osoba mnie rozpoznała.

– Co teraz robimy?

– Teraz pozamyka pan tutaj i pojedzie ze mną do Montelusy.

- Po co?
- Żeby porozmawiać z tymi z brygady antyterrorystycznej.

Komisarz wszedł sam do biura Sposito, a Intelisana poprosił, aby poczekał na zewnątrz.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę, Montalbano?
- Przychodziłem wyznać głupstwo, jakie popełniłem.
- Ty? – zdziwił się Sposito.

Kiedy skończył opowiadać, Sposito zapytał:

- A czy kwestor wiedział, że prowadzisz to równoległe śledztwo?
- Nie.
- Rozumiem. Jeśli o mnie chodzi, to nic mu nie powiem.
- Dziękuję.
- Ale pamiętaj, że nie mamy pewności, czy Tunezyjczycy i ten trzeci uciekli dlatego, że cię rozpoznali.
- Naprawdę?
- Wcale nie. O której wyjechaliście z Intelisanem ze Spiritu Santo?
- Gdzieś koło wpół do dziesiątej, za dziesięć dziesiąta.
- To się zgadza.
- Z czym?
- Jak już ci mówiłem, przeszukujemy wsie, bo jesteśmy przekonani, że ta broń nie została przewieziona gdzieś dalej. Dzisiaj o dziewiątej oddział dowodzony przez Peritorego, mojego zastępcę, ponownie sprawdzał ten dom, w którym schowano broń. Potem ruszyli w stronę pagórka i zajrzeli do groty. Nic w niej nie znaleźli, obejrzelik traktor, który tam stał, ale na próżno. Peritore powiedział mi, że widział tam metalowy barak i stajnie. Ponieważ klucze do baraku leżały na ziemi, otworzyli drzwi, weszli do środka, ale nic znaczącego tam nie znaleźli. Potem przenieśli się na sąsiedni teren.

- I nie zajrzeli do stodoły?
- Nie. Jak widzisz, my też popełniliśmy ogromne głupstwo.
- Czyli uważasz, że ta trójka uciekła nie dlatego, że mnie rozpoznali, ale ponieważ ten gość ze stodoły zobaczył, że twoi ludzie idą w stronę baraku?
- To możliwe.
- Jasne. Ale coś nadal nie jest jasne.
- A mianowicie?
- Że Peritoremu nawet nie przyszło do głowy, żeby kogoś posłać do tej stodoły.

Sposito rozłożył ręce.

- Co ja ci mogę powiedzieć? Zdarza się.
- Nie, coś tu jednak nie pasowało.
- Mogę zadać ci jedno pytanie?
 - Możesz, tylko nie wiem, czy będę mógł na nie odpowiedzieć.
 - Kazali ci szukać dokładnie, czy po łebkach?
 - No comments. Teraz poproszę Peritorego i powiem mu, żeby wrócił do baraku i obejrzał stodołę. Na pewno na butelce i gazecie są odciski palców. Zadowolony? À propos, ty niczego tam nie dotykałeś?
 - Nie, myślę, że zachowałem się jak należy.
- Wstał.
- Przywiozłem ze sobą pana Intelisano, właściciela tej ziemi. Jeśli chcesz go przesłuchać w sprawie tych Tunezyjczyków...
 - Oczywiście, dziękuję.

Wrócił do biura, porozmawiał z Faziem i Augellem i opowiedział im całą historię. Łącznie z dziwnym, niepewnym zachowaniem Sposito.

- Wydaje mi się, że wiem, dlaczego tak się zachowuje – powiedział Augello.

– No to wytłumacz nam.

– On jest szefem brygady antyterrorystycznej, tak? Dlatego musi ciągle szukać, czy nie ma gdzieś jakichś terrorystów i czy ci terroryści nie szykują zamachów na nas, mam rację?

– Masz.

– A jeśli wcale nie chodzi o terrorystów? Jeśli chodzi o osoby, które nie mają najmniejszej ochoty zrobić komuś coś złego, a broń służy im tylko do tego, żeby ją przewieźć do swojego kraju i tam wykorzystać w walce z rządem?

– Terroryści czy patrioci, przemyt broni to i tak przestępstwo – wtrącił się Fazio.

– Zgoda. Ale Sposito nie wie, czy chodzi o terrorystów, czy zagranicznych patriotów, przyznasz, że to jednak dwie różne rzeczy. Dlatego porusza się tak ostrożnie.

– Być może masz rację – powiedział Montalbano. – I jeśli tak się sprawy mają, jak mówisz, to jestem przekonany, że Sposito już wkrótce wywoła konflikt kompetencyjny. Jeśli nie są terrorystami, to muszą tę sprawę przejąć służby. W każdym razie głównie chodziło mu o to, żeby wbił sobie do głowy, że ta ucieczka nie była jego winą, ale winą jego ludzi.

– Po co miałyby to robić?

– Żebym zapomniał o tym śledztwie, do którego zresztą nie byłem upoważniony.

– Ale nadal nie... – powiedział Augello.

– Rusz głową, Mimì. Sposito zachowuje się tak wobec mnie z trzech powodów. Pierwszy: uwierzył w to, że rozpoznał mnie ten facet obserwujący teren ze stodoły. Drugi, bezpośrednia konsekwencja pierwszego: że ten człowiek nie zna mnie tylko z widzenia, ale osobiście, skoro rozpoznał mnie mimo wąsów i sposobu poruszania się. A trzeci, to że wcale nie jest obcy, ale pochodzi stąd lub z okolicy. No więc starał się nie mówić mi tego,

żeby nie rozbudzać ciekawości. W każdym razie, niezależnie od tego, po zniknięciu Tunezyjczyków nie mamy już żadnej karty w ręku. Ale porozmawiajmy o czymś innym. Co masz mi ciekawego do powiedzenia, Mimì? Nawiązałeś kontakt z Bonifacio?

Augello uśmiechnął się.

10

– Jasne, i to jak!

– Nie powiesz chyba, że... – wykrztusił zdumiony Montalbano.

– Nie, do tego się nie posunęliśmy. Ale muszę opowiedzieć wam całą historię, bo jest niezwykle ciekawa. Dzisiaj rano, koło dziewiątej, ukryłem się w samochodzie koło domu Bonifacio wyposażony w ogromny zapas cierpliwości. Valeria wyleciała z domu jak oparzona o dziesiątej, wsiadła do auta i pojechała w stronę Montelusy. Oczywiście ja pojechałem za nią. Dojechała do kliniki Świętej Teresy, skręciła w alejkę i stanęła na parkingu. Ja zrobiłem to samo, podczas kiedy ona wchodziła do budynku. Kiedy doszedłem do recepcji, już jej tam nie było. Musiałem się wylegitymować i powiedzieli mi, że Bonifacio pytała o numer pokoju Loredany di Marta. Ja w ogóle nie wiedziałam, że ona tam leży, w każdym razie nie zadawałem pytań, nie chciałem tracić czasu. Pojechałem windą na trzecie piętro, tak jak mi powiedzieli. Kiedy tylko wyszedłem na korytarz, usłyszałem podniesione głosy. Jeden należał do mężczyzny koło pięćdziesiątki, z pewnością do pana di Marta, który krzyczał: „Musisz zapomnieć o mojej żonie, zabraniam ci ją widywać! To wszystko przez ciebie!”. A Valeria Bonifacio odpowiedziała: „Odsuń się, rogaczu!”. Wtedy di Marta chwycił ją i rzucił o ścianę. Na szczęście włączyło się dwóch pielęgniarzy. Di Marta wszedł do pokoju żony, a Valeria poszła w stronę wind. Ponieważ płakała, zapytałem, czy odwiedzała tu kogoś ciężko chorego. No i potem, żeby się już nie rozgadywać, zabrałem ją do barku w klinice, usiedliśmy przy stoliku na zewnątrz. Siedzieliśmy tam prawie dwie godziny.

– Brawo, Mimì, a tak z ciekawości, jak się jej przedstawiłeś?

– Jako mecenas Diego Croma. Pomyślałem, że lepiej użyć tego samego nazwiska, pod którym poznała mnie Loredana.

– Zwierzała ci się?

– Nie, powiedziała, że płakała z wściekłości, nie z rozpacz, bo mąż jej najlepszej przyjaciółki zabronił jej ją widywać. Zapytałem o powód, odpowiedziała, że był zazdrosny o ich przyjaźń i że to przez niego żona leży teraz w szpitalu, tak ją pobił.

– Zapytałeś o powód?

– Nadal zazdrość. Ale o innego mężczyznę.

– I żeby dojść do tak rewelacyjnej konkluzji, siedziałeś tam dwie godziny?

– Nie, tak naprawdę po to, żeby jutro po południu odwiedzić ją w domu, bo chce ze mną porozmawiać jak z adwokatem. No i wtedy wymyśliłem sobie pewną sprawę, o której jej opowiedziałem.

– Jaką sprawę?

– Prawną, dość skomplikowaną, w której przypisałem sobie rolę bezwzględnego mecenasa.

– Ale po co?

– Bo wydaje mi się, że Bonifacio nie szuka uczciwego prawnika.

Przyjechał do Marinelli i zdążył jedynie otworzyć okno na werandę, kiedy zadzwoniła Marian.

– Dzień dobry, komisarzu, jak się czujesz?

– Dobrze, a ty?

– Dzisiejszy dzień był strasznie nudny.

– Dlaczego?

– Cały czas czekałam na telefon od Larianiego.

– No i w końcu zadzwonił?

– Tak, wreszcie mnie zaszczycił dzisiaj wieczorem, koło siódmej. Powiedział, że znalazł mi to, czego szukałam.

– To chyba dobra wiadomość.

– Poczekaj, jeszcze nie skończyłam. Dodał, że tego płótna nie ma w Mediolanie i może mi je pokazać najwcześniej za trzy dni. Złożył mi propozycję.

– Jaką?

– Żebym spędziła ten czas oczekiwania z nim, w jego górskim domu w Szwajcarii. Przekonał mnie.

Montalbano zeszywniał.

– Zgodziłaś się?

– Ależ skąd, głupi jesteś. Przekonał mnie, że spędzenie w ten sposób czasu to dobry pomysł.

– Nie rozumiem.

– Zaraz ci wytłumaczę. Jutro wsiądę w samolot, przyjadę do Vigaty, spędzę tu dwa dni, a potem wrócę do Mediolanu. Co ty na to?

Słyszając te słowa, Montalbano poczuł się jednocześnie jak tchórz i zdobywca... Z jednej strony chciał skakać z radości, z drugiej czuł się trochę nieswojo.

– I co, nawet nie odpowiesz?

– Posłuchaj, Livio, to naprawdę wspaniały pomysł, ale niestety w tych dniach jestem strasznie zajęty. Moglibyśmy widywać się tylko wieczorami, a i to nie...

Wydawało mu się, że połączenie zostało przerwane.

– Halo, halo? – zaczął krzyczeć.

Kiedy przerywano połączenie, czuł się, jak gdyby nagle coś mu amputowano.

– Nadal tu jestem i nadal mam na imię Marian – powiedziała Marian głosem dochodzącym z kręgu polarnego.

Nic z tego nie zrozumiał.

– Co to znaczy, że nadal masz to samo imię?

– Ponieważ powiedziałaś do mnie Livia!

– Ja?

– Tak, ty!

Poczuł się jak szmata.

– Przepraszam.

– Myślisz, że wszystko załatwisz, mówiąc przepraszam?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

– No dobrze, nie przyjadę, możesz być spokojny – powiedziała Marian.

– Nie mówiłem, żebyś nie przyjeżdżała, tylko tłumaczyłem, że...

– Dobrze, dobrze, koniec tematu. Wrócę późno, idę na kolację do przyjaciółki, zadzwonię jutro. Dobranoc, komisarzu.

Suche: dobranoc, komisarzu, już bez „mój”.

Już nie był głodny. Poszedł na werandę w towarzystwie whisky i papierosów.

Kiedy jednak usiadł, zadzwonił telefon. To na pewno była Livia.

Montalbano, zapamiętaj to imię: Livia. Uważaj, żebyś po raz drugi nie dał ciała. Jeden raz w zupełności wystarczy.

– Słucham?

– Przepraszam, komisarzu, zachowałam się głupio.

– Ja...

– Nic nie mów, bo kiedy tylko się odezwiesz, od razu coś narozrabiasz. Chciałam jeszcze raz życzyć ci dobrej nocy. Dobranoc, mój komisarzu, do jutra.

Montalbano odłożył słuchawkę i zdążył zrobić jeden krok, kiedy telefon ponownie zadzwonił.

– Słucham?

– Dlaczego co wieczór telefon jest zajęty?

– To dlaczego dzwonisz, kiedy rozmawiam przez telefon?

– Co ty wygadujesz?

– Przepraszam, jestem zmęczony, prowadzę równoległe dwa śledztwa i...

– Rozumiem. Z powodu zbiegu okoliczności, o którym nie będę ci teraz opowiadała, mam trzy dni wolne. Co byś powiedział, gdybym do ciebie przyjechała?

Tego się nie spodziewał. Nagle wszystkie miały czas?

– To mogłaby być dobra okazja, żeby spokojnie porozmawiać – powiedziała Livia.

– O czym?

– O nas.

– O nas? Masz mi coś do powiedzenia?

– Nie, ja nie, ale czuję, że ty masz.

– Livio, posłuchaj mnie, uprzedzam, że w ciągu dnia jestem zajęty, nie mam wolnej chwili. Moglibyśmy rozmawiać tylko wieczorami. Ale wtedy nie byłbym w najlepszej kondycji, żeby...

– Żeby powiedzieć mi, że już mnie nie kochasz?

– Co ty wygadujesz, jestem chyba zmęczony, podenerwowany...

– Rozumiem, nie musisz się już wysilać.

– To znaczy?

– Że nie przyjadę, skoro nie chcesz.

– Boże święty, Livio. Nie powiedziałem, że nie chcę, uczciwie cię tylko ostrzegłem, że nie mógłbym...

– I nie chciałabym...

I tak zaczęła się kłótnia. Potrwała jakiś kwadrans i pod koniec Montalbano był spocony jak mysz.

Ale, być może w reakcji na kłótnię, strasznie zachciało mu się jeść.

W lodowce znalazł ryż z owocami morza. W piecu – pokrojone w plasterki kalmary i smażone krewetki, które wystarczyło tylko

podgrzać.

Włączył piec i nakrył stół na werandzie.

Zjadł kolację starając się trzymać na dystans myśli zarówno o Livii, jak i Marian. W przeciwnym razie straciłby apetyt.

Zamiast tego skupił się na prośbie Sposita, aby nie myślał o tym, że Tunezyjczycy uciekli, ponieważ komisarza rozpoznał obserwator ukryty w stodole.

Musiał mieć ku temu jakiś powód.

Może jakimś trafem Spositowi udało się dowiedzieć czegoś o tym mężczyźnie? Może podejrzewał, kto to jest?

A równocześnie obawiał się, że Montalbano, dowiedziawszy się o jego opinii, mógł źle zareagować? Długo nad tym dumął, ale nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Nie udało mu się jednak przestać o tym myśleć.

Jedno było pewne: Livia zaproponowała mu możliwość szczerzej rozmowy twarzą w twarz, a on zrobił krok w tył. Jeśli Marian dowie się, że odmówił rozmowy z Livią, to z pewnością uzna go za łajdaka.

Ale dlaczego tak się wkopał?

W ciągu ostatnich lat nie zdarzyły mu się żadne przygody z kobietami i nigdy nie czuł się tak niezdolny do podjęcia decyzji. Chociaż, kiedy tak się zastanowić, to wcale nie była prawda. Po prostu o innych historiach w ogóle nie rozmawiał z Livią.

Dlaczego zatem czuł, że w przypadku Marian nie może się tak zachować?

Może przed rozmową z Livią należało porozmawiać szczerze z samym sobą?

Podniósł rękę, żeby wziąć butelkę i nalać sobie odrobinę whisky.

Uderzył łokciem w szklaną popielniczkę i ledwo złapał ją w powietrzu, zanim roztrzaskałaby się na ziemi. Tę popielniczkę kupiła mu Livia i...

W tej właśnie chwili zrozumiał, że nigdy nie będzie mógł szczerze ze sobą porozmawiać w tym domu, gdzie w każdym kącie wyczuwał ślady obecności spędzonego razem z Livią życia.

W łazience wisiał jej szlafrok, w szafce stały kapcie, dwie szuflady wypełniała jej bielizna i bluzki, a pół szafy zapełniały ubrania...

Szklankę, z której pił, kupiła właśnie ona, podobnie jak talerze i sztućce...

Nowa kanapa, zasłony, pościel, wieszak, dywanik przed drzwiami...

Nie, w tym domu tak pełnym Livii nigdy nie uda mu się podjąć niezależnej decyzji.

Powinien wziąć sobie przynajmniej dwudziestoczworgodzinny urlop i wyjechać daleko stąd.

Ale nie mógł tego zrobić tak od razu. Nie mógł zostawić dochodzeń, które właśnie prowadził.

Poszedł się położyć.

Zanim zasnął, wrócił myślami do postaci, o której uczył się w szkole. Był to rzymski konsul Quinto Fabio Massimo, nazywany kunktatorem, czyli tym, który zwleka.

Komisarz bił go na głowę.

Telefon zadzwonił o siódmej rano.

– Komisarzu, dopraszam się wyrozumienia i przebaczenia z powodu tak wczesnej godziny, ale Fazio powiedział mi, żebym do pana zadzwonił bez względu na porę, coby mógł się pan przygotować.

– Przygotować? Do czego?

– Przygotować, czyli umyć i ubrać.

– Ale po co?

– Bo Gallo przyjedzie po pana, jako że zawiadomili nas telefonicznie, że znaleziono spalony samochód z trupem w środku.

W ciągu pół godziny był gotowy. Pił właśnie ostatnią filiżankę kawy, kiedy zadzwoniono do drzwi.

– Dlaczego cię tu przysłali? Mogli dać mi adres i pojechałbym moim.

– Nigdy w życiu by pan tam nie dojechał, to kompletne odludzie.

– Gdzie?

– W osadzie Casuzza.

Poczuł się lekko nieswojo. Czy naprawdę sny mogą stać się rzeczywistością?

Kiedy dojechali na miejsce, okolice wyglądały dokładnie tak, jak w śnie komisarza, tyle że zamiast trumny na polu stał spalony samochód.

Rolnik nie był ten sam, właściwie nie był nawet rolnikiem, tylko dobrze ubranym trzydziestolatkiem o bystrym wyglądzie. Obok niego stała motorynka. Zamiast Catarelli był Fazio.

Powietrze pachniało mieszanką spalonego metalu i ludzkiego ciała.

– Proszę nie podchodzić za blisko, jeszcze gorące – ostrzegł go Fazio.

Trupa widać było na miejscu kierowcy, wyglądał jak czarny kawałek drewna.

– Zawiadomiłeś dochodzeniówkę? – zapytał Fazio komisarz.

– Tak jest.

Tym razem ta odpowiedź nie zdenerwowała go. Zwrócił się do chłopaka.

– To pan do nas zadzwonił?

– Tak.

– Jak pan się nazywa?

– Salvatore Ingrassia.

– W jaki sposób...

– Mieszkam w tamtym domu.

Pokazał jedyne zabudowanie w całej okolicy.

– A ponieważ sprzedaję ryby, to jadąc do miasta, muszę tędy przejeżdżać.

– O której wrócił pan wczoraj wieczorem?

– Gdzieś tak najpóźniej o dziewiątej.

– Mieszka pan sam?

– Nie, z dziewczyną.

– Samochodu wtedy nie było?

– Nie.

– W nocy słyszał pan coś nietypowego, jakieś krzyki, strzał...

– Mój dom jest daleko.

– Widzę, ale tutaj, w nocy, musi być śmiertelnie cicho i każdy najmniejszy hałas...

– Oczywiście, komisarzu, ma pan rację. Do jedenastej niczego nie słyszałem.

– A po jedenastej poszedł pan spać?

Chłopak zaczerwienił się.

– Można tak powiedzieć.

– Jak się nazywa pana dziewczyna?

– Stella Urso.

– Od kiedy jesteście razem?

– Od trzech miesięcy.

Pochłonięta innymi sprawami para nie zauważyłaby nawet bombardowania opactwa na Monte Cassino.

– Kiedy według ciebie przyjadą ci z techniki? – zapytał Fazia.

– Ekipa techniczna i doktor Pasquano za godzinę, półtorej. Wątpię jednak, żeby prokurator Tommaseo zdołał przyjechać.

Wszyscy wiedzieli, że kangur lub foka prowadzą lepiej niż pan Tommaseo, który podczas swoich wypraw nierzadko zaliczał różne drzewa i słupy.

Jak można spędzić ten czas? Ingrassia musiał zrozumieć, co komisarzowi chodziło po głowie.

– Jeśli chcą panowie pójść do mnie na kawę...

– Dobrze, dziękujemy – odpowiedział komisarz. – Proszę zostawić tu motorynkę, pojedziemy naszym autem.

Kiedy oddalali się, Montalbano zapytał chłopaka:

– Powiedział pan swojej dziewczynie, co się stało?

– Tak, zadzwoniłem do niej z komórki zaraz po telefonie do was. Chciała przyjść na piechotę, ale nie zgodziłem się.

– Przyjeźdź po nas, kiedy tylko ktoś się pojawi – poprosił Galla komisarz, kiedy dojechali na miejsce.

Wnętrze domu było czyściutkie i w doskonałym porządku. Stella była ładna i sympatyczna.

Kiedy wróciła z kawą, Montalbano zadał jej to samo pytanie, co chłopakowi.

– Czy może w nocy słyszała pani strzały, krzyki...

Oczekiwał, że powie: nie, ale Stella zaczęła się zastanawiać.

– Coś słyszałam.

– A dlaczego ja nie? – zapytał chłopak.

– Bo ty zasnęłaś zaraz po...

Przerwała i zaczerwieniła się.

– Proszę mówić dalej, to ważne – zachęcił ją komisarz.

– Wstałam i poszłam do toalety, wtedy właśnie usłyszałam ten huk.

– Jaki huk?

– Jak gdyby wiatr zatrzaskał jakieś drzwi, gdzieś daleko.

– Taki jeden trzask?

– Tak.

– Czy to mógł być strzał z pistoletu?

– Nie znam się na pistoletach.

– Mogłaby mi pani powiedzieć, która mniej więcej była wtedy godzina?

– Tak i to dokładnie, bo zanim poszłam do łazienki, zajrzałam do kuchni, żeby napić się wody, i spojrzałam na zegar. Było pięć po pierwszej.

Rozmawiali o trudnościach ze znalezieniem pracy, z którymi borykała się dziewczyna, i o tym, że dopóki niczego nie znajdzie, nie będą mogli pobrać się i mieć dzieci.

Potem przyszedł po nich Gallo. Pojawiła się ekipa techniczna i doktor Pasquano. O Tommaseo nadal nic nie było wiadomo.

Na szczęście szef techniki, którego komisarz nie znosił, przysłał swojego zastępcę. Przywitali się. Montalbano spojrzał na techników, którzy, ubrani jak kosmonauci, kręcili się wokół wraku.

– Za wcześnie, żeby coś znaleźć, prawda?

– A mimo to coś już mamy – powiedział Mannarino.

– Może mi pan zdradzić?

– Oczywiście. Łuska. Upadła na podłogę przy tylnym fotelu. Przepraszam.

I wrócił do swoich ludzi.

Fazio słyszał całą rozmowę. Popatrzyli na siebie, ale nic nie powiedzieli. Montalbano podszedł do auta, w którym siedział wkurzony doktor Pasquano, paląc papierosa. Kiedy tak się zachowywał, lepiej było trzymać się od niego z daleka. Ale komisarz nie przejął się tym.

– Dzień dobry, doktorze.

– Wsadź sobie, wiesz gdzie, to twoje dzień dobry.

Niezły początek.

– Co się stało, przegrał pan wczoraj w pokera?

Pasquano był zapalonym graczem, ale szczęście często go opuszczało.

– Nie, wczoraj wieczorem dobrze mi szło, ale teraz wkurza mnie, że muszę czekać na Tommasea.

– Tommasseo byłby punktualny, gdyby się nie zgubił albo z czymś nie zderzył. Trzeba mu współczuć.

– A niby dlaczego? Mogę współczuć panu, bo jest już pan na skraju demencji starczej, ale nie takiemu młodzieniaszkowi.

– A dlaczego niby jestem na skraju demencji?

– Bo ma pan jej wszelkie objawy. Nie zorientował się pan, jak nazwał przed chwilą Tommasea?

– Nie.

– Tommasseo. Mylenie nazwisk to jeden z pierwszych objawów.

Montalbano zaniepokoił się. A może Pasquano ma rację? Przecież pomylił Livię z Marian.

– Proszę się nie przejmować, cały proces przebiega powoli. Jeszcze ma pan czas, żeby porządnie narozrabiać.

11

Tommaso nie pojawił się w ciągu kolejnej pół godziny. Poza tym papierosy właśnie się skończyły, a komisarz zupełnie nie wiedział, co robić. zaproponował więc Gallowi, że pojedzie z nim na komisariat.

Stercząc tutaj, tylko tracił czas. Jego obecność była kompletnie nieprzydatna.

Nie starczyło mu jednak odwagi, żeby pożegnać się z Pasquanem, który wysiadł z samochodu i nerwowo przechadzał się w tę i w tę, jak niedźwiedź zamknięty w klatce.

W biurze też nie miał nic do roboty, w związku z czym zasiadł do podpisywania zaległych dokumentów. One nigdy się nie kończyły.

Fazio pojawił się dopiero przed pierwszą.

– Masz mi coś do powiedzenia?

– Jak zdążyłem zauważyć, przed podpaleniem auta zdjęli tablice rejestracyjne. Ale Mannarinowi udało się odczytać numer nadwozia. Czekam teraz na wiadomość, do kogo ten samochód należał i kto był jego ostatnim właścicielem. Oczywiście, jeśli nie został ukradziony specjalnie z tej okazji.

– Znaleźli inne łuski?

– Nie, tylko tę jedną. Ale Mannarino powiedział, że były ślady dwóch samochodów.

– To jasne, w przeciwnym razie jak mogliby wrócić bez auta? Na piechotę? Najwidoczniej w jednym samochodzie przywieźli kanistry z benzyną, żeby podpalić drugi, a potem je zabrali. Pasquano nic nie powiedział?

– Powiedział, że identyfikacja będzie trudna, biorąc pod uwagę stan, w jakim znajdują się zwłoki. W każdym razie, tak na pierwszy rzut oka, wydaje mu się, że mężczyzna został zamordowany strzałem w kark i że miał związane ręce i nogi drutem kolczastym.

– Czyli to jakaś mafijna praktyka?

– Tak się wydaje.

– Ciebie to przekonuje?

– Bo ja wiem.

Zadzwoniła komórka Fazio.

– Przepraszam – powiedział, podnosząc telefon do ucha. Przywitał się i słuchał w milczeniu.

– Dziękuję – zakończył rozmowę.

Spojrzał na komisarza i skrzywił się.

– Powiedzieli mi nazwisko właściciela tego auta.

– Kto to?

– Carmelo Savastano.

Montalbano szybko przełknął tę wiadomość. Nie była to żadna nowość mogąca skomplikować sprawę, a nawet, być może, lekko je upraszczała.

– A co Savastano ma wspólnego z mafią?

– Nie wiem – powtórzył Fazio.

– Ale nie wiemy, czy to jego ciało.

– To prawda.

– Czy Savastano miał jakąś rodzinę?

– Tak, ojca Giovanniego, ale pokłócili się i od lat nie rozmawiają ze sobą.

– Musisz i tak do niego pójść i dowiedzieć się, czy jego syn złamał sobie kiedyś nogę albo czy coś innego umożliwi jego identyfikację.

– Pójdę teraz.

Ale nie ruszył się i stał z powątpiewającą miną.

- O co chodzi?
- Jeśli okaże się, że to Savastano, to muszę powiedzieć coś, o czym się dowiedziałem.
- To znaczy?
- Pamięta pan tego chłopaka, który dzisiaj rano znalazł wrak samochodu?
- Tak, Salvatore Ingrassia.
- To właśnie z nim Savastano pokłócił się w sklepie z rybami, po czym karabinierzy zamknęli go w celi.
- Uważasz, że on byłby zdolny do czegoś takiego?
- Nie. Ale powinien nam o tej kłótni powiedzieć.

Po jedzeniu jak zwykle przeszedł się na molo. Kraba nie było, nawet nie przysłał nikogo w zastępstwie.

Komisarz pogrążył się w myślach.

Jeśli trup rzeczywiście należy do Savastana, to dałby sobie rękę uciąć, że Ingrassia nie ma nic wspólnego z tym zabójstwem. Nikt nie byłby tak głupi, żeby zabić, a potem podłożyć trupa kilkaset metrów od własnego domu.

Morderca albo nic nie wiedział o kłótni i miejsce zabójstwa było czystym przypadkiem, albo wiedział wszystko i dokonał morderstwa blisko domu Ingrassii, żeby skierować śledztwo na fałszywe tory.

Savastano nie był mafiosem, ale drobnym przestępcą, dlaczego więc zamordowano go zgodnie z mafijnym rytuałem?

Mogły istnieć ku temu dwa powody: albo naraził się któremuś z mafiosów, albo rytuał miał na celu odwrócenie uwagi.

Założmy, że Savastano zostaje znaleziony na jakiegokolwiek ulicy, postrzelony w pierś, bez żadnej mafijnej inscenizacji. Kto wtedy byłby podejrzany?

Oczywiście di Marta.

Jedyny człowiek, który miał autentyczny motyw, jeśli tylko dowiedział się, jak naprawdę przebiegł ten niby napad i rzekomy gwałt.

W biurze czekał na niego Fazio.

– Ojciec Savastana nie umiał mi nic powiedzieć. Nie rozmawiają od dawna. Ten biedak to bardzo przyzwoity człowiek, któremu przydarzyło się nieszczęście w postaci syna przestępcy. Ale jakieś wyjście znalazłem.

Kto by znalazł jak nie on, tropiący pies!

– To znaczy?

– Grzebiąc w naszych dokumentach, odkryłem, że dziewczyna, która z nim mieszkała, niejaka Luigina Castro, jakiś czas temu oskarżyła go o pobicie.

– To on nie był z Loredaną?

– Tak, ale kiedy się rozstali po jej zaręczynach z di Martą, ona...

– Rozumiem, mów dalej.

– Kiedy byli już razem dwa miesiące, Luigina oskarżyła go, ale potem wszystko wycofała.

– Masz jej adres?

– Wszystko mam.

– Jedź zaraz z nią porozmawiać.

Fazio wstał i wyszedł, zaraz po nim pojawił się Augello. Montalbano spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem.

– Nie miałeś być o czwartej u Bonifacio?

– Zadzwoiła, żeby przełożyć spotkanie na wieczór. Zaprosiła mnie na kolację. Sprawy zaczynają układać się coraz lepiej.

– Wiesz o spalonym samochodzie?

– Tak.

– Należał do Carmela Savastana, byłego chłopaka Loredany.

– I ten trup to on?

– Jeszcze tego nie wiemy.

Przerwał na chwilę, a potem zapytał Mimì:

– Jeśli okaże się, że to rzeczywiście trup Savastana, to kogo w pierwszej kolejności uznałbyś za podejrzanego?

– Di Martę. Może Loredana w trakcie lania powiedziała, o kogo chodzi.

– Chciałbym wiedzieć, bo nie rozmawialiśmy jeszcze o tym na spokojnie, jak według ciebie wyglądał ten napad.

– Według mnie Savastano po ślubie Loredany nadal był jej kochankiem. Najpewniej tamtego wieczoru, kiedy dowiedział się, być może właśnie od Loredany, że mąż dał jej szesnaście tysięcy euro, dogadał się z nią, bo potrzebował tych pieniędzy. Spotkali się, Loredana dała mu kasę, a potem kochali się dość ostro, żeby wyglądało to na gwałt.

– A jaką rolę miała tu Bonifacio?

– Miała kryć Loredanę, która, moim zdaniem, tamtego wieczoru poszła do domu przyjaciółki, ale zaraz wyszła, żeby spotkać się z Savastanem. Teraz obawia się, że jeśli odkryjesz prawdę, będziesz miał dowody na jej współudział. Jestem przekonany, że z tego powodu potrzebuje tak nieuczciwego adwokata, jak ja.

W sumie komisarz myślał podobnie jak Mimì. Ale co do pewnych szczegółów, i to nie drugorzędnych, miał kompletne inne zdanie.

Koło szóstej pojawił się Fazio.

– Zadanie wykonane. Ta dziewczyna, która oskarżyła Savastana, powiedziała mi, że brakowało mu dwóch palców lewej nogi, musieli je amputować jakiś czas temu. Spadła mu na nogę żelazna skrzynia i kompletnie je zmiażdżyła.

– Świetnie, szacun, Fazio!

Montalbano nie tracił ani chwili; zaraz zadzwonił do doktora Pasquana, ustawiając głośnik w telefonie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, doktorze, ale...
 - Przeszkadza mi pan tak bardzo, że w ogóle nie jest możliwe załatwić to jakimikolwiek przeprosinami.
 - Jak dobrze mówi pan po włosku, wystarczy chcieć!
 - Dziękuję, to pańska zasługa. Włoski przychodzi mi automatycznie, żeby powiększyć dystans między nami. Oczywiście chce pan się czegoś dowiedzieć o tych spalonych zwłokach?
 - Jeśli będzie pan tak miły.
 - Nie jest pan zdolny naśladować mój włoski. Jak tak pomyślę, to do niczego nie jest pan zdolny. Potwierdzam to, co powiedziałem Faziowi. Jeden strzał w kark, ręce i nogi związane drutem. Mafijna egzekucja w stuprocentowym wydaniu.
 - Nic, co mogłoby ułatwić identyfikację?
 - Tak, dwa palce...
 - ...lewej nogi, amputowane – dokończył Montalbano.
 - Skoro już pan to wiedział, to po co, do jasnej cholery, zawraca mi pan głowę?
- Montalbano odłożył słuchawkę i wybrał kolejny numer.
- Pan Tommaseo? Muszę pilnie z panem porozmawiać. Mogę wpaść za pół godziny? Tak? Dziękuję.
 - Czego pan chce od Tommasea? – zapytał Fazio.
 - Zgody na założenie podsłuchu w telefonach Bonifacio i tej di Marta. Mamy ich numery?
 - Tak, komórkowe też.
 - Daj mi je, i adresy też, pojedź teraz przekazać wiadomość temu biednemu ojcu Savastana.

Obawiał się kłopotów z przekonaniem prokuratora do wydania pozwolenia na założenie podsłuchu, ale Tommaseo zgodził się od razu, kiedy tylko usłyszał, że chodzi o dwie ładne i młode

dziewczyny, i wyobraził sobie, że prędzej czy później na pewno je pozna.

Oczy zaczęły mu błyszczeć, oblizywał usta, wypytując o najdrobniejsze detale dotyczące fałszywego gwałtu Loredany.

Komisarz, żeby tylko mieć go po swojej stronie, wymyślał szczegóły rodem z filmu porno.

Tommaseo nie znał żadnych kobiet, być może rozładowywał emocje przesłuchując je.

Ze zgodą Tommasea w kieszeni komisarz powędrował do kwestury, zszedł do piwnicy, gdzie zajmowano się podsłuchem, i poświęcił kwadrans, przechodząc przez kontrole, a potem godzinę, żeby upewnić się, że wszystko ruszy najszybciej jak to możliwe.

Kiedy wychodził z kwestury, przyszło mu do głowy, w jaki sposób może się upewnić, że morderstwo Savastana nie miało nic wspólnego z mafią.

Pospacerował pięć minut, analizując dokładnie wszystkie zaplanowane właśnie posunięcia.

W końcu doszedł do wniosku, że to był słuszny ruch i jedyny, jaki mógł zrobić.

Wsiadł do auta i pojechał do siedziby „Retelibery”, lokalnej stacji telewizyjnej kierowanej przez jego wielkiego przyjaciela, Nicolò Zita. Dochodziła dziewiąta.

– Pan komisarz, jak miło pana widzieć! – krzyknęła sekretarka. – Chce pan rozmawiać z Nicolò?

– Tak.

– Teraz kończy nadawanie wiadomości, proszę poczekać w jego gabinecie.

Zito pojawił się po pięciu minutach. Uściskali się, Montalbano wypytał o jego rodzinę, po czym powiedział:

– Jesteś mi potrzebny.

– Do dyspozycji.

– Przekazaliście już informację o znalezieniu zwłok w spalonym samochodzie?

– Oczywiście. Dzisiaj rano osobiście tam pojechałem, żeby zrobić materiał, ciebie już nie było. Musiałem mówić raczej ogólnie, bo nikt nie chciał mi niczego powiedzieć.

– A chcesz wywiad na wyłączność?

– Pewnie!

– No to zróbmy go od razu. Może przy okazji najbliższych wiadomości?

– Oczywiście.

– Ale przedtem ustalmy pytania.

– *Panie komisarzu, dziękuję za przyjęcie zaproszenia do naszego programu. Co może nam pan powiedzieć o tej strasznej zbrodni, która tak wszystkich wzburzyła?*

– *Przede wszystkim mogę ujawnić nazwisko ofiary, to młody mieszkaniec Vigaty, Carmelo Savastano.*

– *Czy był karany?*

– *Tak, za jakieś drobne oszustwa, przywłaszczenie cudzego mienia, stawianie oporu przedstawicielowi władzy...*

– *Jak został zabity?*

– *Został uprowadzony, nie wiadomo gdzie, najprawdopodobniej kiedy wracał do domu. Następnie zawieziono go na miejsce egzekucji jego własnym samochodem, prowadzonym przez jednego z morderców. Savastano miał ręce i nogi skrępowane drutem kolczastym, siedział koło kierowcy. Strzelili mu w kark, a następnie podpalili auto.*

– *Na pierwszy rzut oka wygląda to na typową egzekucję wykonaną przez mafię.*

– *Też tak uważam. I dlatego chcę poprowadzić śledztwo właśnie w tym kierunku.*

- Czy Savastano był na usługach mafii?*
- Proszę nie mieć mi tego za złe, ale nie odpowiem na pańskie pytanie.*
- Mógł zostać zamordowany z powodu popełnionego błędu lub niewykonania rozkazu?*
- Nie sądzę.*
- Może pan to lepiej wytłumaczyć?*
- Mam nadzieję, że to nie było pierwsze zabójstwo z całej serii, która wznieci wojnę między klanami, jak to się stało kilkadziesiąt lat temu. Dlatego zrobię wszystko, żeby ukrócić to na samym początku. I jeżeli zajdzie taka potrzeba, wystąpię o powiększenie liczebności mojego zespołu.*

Zarzucił haczyk razem z przynętą, na pewno jakaś ryba się na to złapie.

Kiedy przyjechał do Marinelli, było wpół do dziesiątej. Za późno, Marian na pewno już dzwoniła.

Głód nie pozwolił mu nawet nakryć stolika na werandzie.

Zjadł na stojąco w kuchni makaron z fasolą, który znalazł w lodówce, podczas gdy odgrzewał w piekarniku barweny w sosie słodko-kwaśnym.

Kiedy ryby były już ciepłe, wyjął je z pieca i usiadł w fotelu przed telewizorem, akurat żeby obejrzeć swój wywiad.

Wywiad miał zostać powtórzony razem z wiadomościami o północy, tak obiecał mu Zito.

Skończył jeść, wstał i przeniósł się na werandę.

Po niecałej półgodzinie wrócił przed telewizor. O wpół do dwunastej nadawano wiadomości „Televigaty”, konkurencji „Retelibery”, więc chciał sprawdzić, czy coś powiedzą o tym wywiadzie.

Jednak prowadzący nawet o nim nie wspomnieli.

Właśnie miał pożegnać się z widzami, kiedy na ekranie pojawiła się ręka trzymająca kartkę.

Dziennikarz przeczytał jej treść.

Właśnie teraz otrzymaliśmy informację, że w okolicach Raccadali miała miejsce wymiana ognia między policją a trzema imigrantami, którym udało się wyrwać z okrążenia. Policja nie zaprzeczyła ani nie potwierdziła zdarzenia. Prawdopodobnie chodzi o trzech nielegalnych imigrantów związanych z lokalnym światem przestępczym. Podobno jeden z nich został ranny. I to wszystko, jeśli będziemy mieli dodatkowe informacje, prześlemy je w następnych wiadomościach o wpół do pierwszej.

Nie wiadomo dlaczego Montalbanowi przypomnieli się Alkaf, Mohamed i ten trzeci mężczyzna, który obserwował ich z poddasza.

Czy to oni właśnie napotkali policję? I dlaczego, jeśli to rzeczywiście byli oni, sytuacja aż tak eskalowała?

O północy zobaczył wiadomości w „Reteliberze”, która powtórzyła wywiad z nim. Co do informacji o strzelaninie, Zito wyjaśnił, że tylko jeden z imigrantów był uzbrojony w karabin maszynowy, i to on właśnie pierwszy otworzył ogień do policji.

Wszystko się zgadzało. Alkaf i Mohamed nie wyglądali na ludzi, którzy strzelają, ale ten z poddasza mógł być uzbrojony.

Niechętnie poszedł się położyć, na wszelki wypadek kładąc telefon na nocnym stoliku.

Ale dlaczego Marian nie dzwoniła?

Zaczął czytać, ale za bardzo nakręcało go myślenie o Marian, musiał czytać dwa razy tę samą stronę, bo za pierwszym razem nic nie rozumiał. Po północy dłużej nie wytrzymał, zgasił światło, zamknął oczy i starał się zasnąć.

Dlaczego Marian nie zadzwoniła?

I dlaczego, mimo że ponownie to sobie obiecał, nie poprosił jej o numer telefonu?

I dlaczego ona nigdy mu go nie dała?

I dlaczego...

Dlaczego dwa plus dwa nie równa się trzy?

Obudził go niespodziewany, głośny dzwonek. W ciemności nie mógł odnaleźć słuchawki, którą zrzucił na ziemię.

Zapalił światło, była szósta rano.

– Słucham?

– Pan komisarz Montalbano?

Męski, nieznany mu głos. Przemknęło mu przez myśl, żeby powiedzieć, że to pomyłka.

Ale potem zrozumiał, że nie ma sensu kłamać.

– Tak, kto mówi?

– Mecenias Guttadauro.

Nagle w mózgu komisarza zapaliła się lampka.

Guttadauro, przymilny gość, mały, ale jadowity jak wąż, był adwokatem mafijnej rodziny Cuffarów. W sumie pełnił funkcję ich rzecznika.

Ryba połknęła przynętę. Postanowił potrzymać go chwilę w niepewności i nie okazywać wielkiego zainteresowania.

– Przepraszam, mógłby pan zadzwonić do mnie za jakieś dziesięć minut?

– Oczywiście!

Poszedł do kuchni, przygotował sobie kawę, potem do łazienki, umył twarz, następnie wrócił do kuchni, wypił kawę i zapalił papierosa.

Zadzwonił telefon.

Nie odbierał od razu, podniósł słuchawkę dopiero po dziesiątym dzwonku.

12

– Słucham, panie mecenasie.

– Przede wszystkim serdecznie przepraszam, że dzwonię o tej godzinie. Z pewnością wyrwałem pana z objęć Morfeusza.

– Co każe panu sądzić, że to Morfeusz mnie obejmował? – odpowiedział komisarz.

Mecenas przestraszył się, że być może Montalbano nie wie, kim był Morfeusz, i obraził się z powodu takiej insynuacji. Po chwili usiłował wyplątać się z kłopotliwej sytuacji.

– Absolutnie nie miałem zamiaru... Pan z pewnością wie, że Morfeusz to bóg snu, a nie jakaś konkretna osoba.

– No właśnie, a skąd pan wie, że akurat spałem?

– To i lepiej. Jestem na lotnisku w Palermo i zaraz wsiadam do samolotu.

– Dokąd się pan wybiera?

– Do Rzymu, jak zwykle w interesach.

Interesy polegały jak zwykle na rozmowach z przychylnymi parlamentarzystami lub jakimś ważnym urzędnikiem odpowiedzialnym za zamówienia publiczne i zawierały odpowiednią dawkę pogroźek i obietnic.

– A zatem – ciągnął mecenas – jeśli teraz bym nie zadzwonił, to mógłbym to zrobić dopiero po ósmej. Stwierdziłem, że może o tej godzinie nie zastanę już pana w domu. I dlatego...

– Mógł zadzwonić pan do pracy.

– Nie wiem, czy byłoby rozsądne przeszkadzać panu w komisariacie. Pan ma zawsze tyle rzeczy na głowie...

– No dobrze, o co chodzi?

– Chciałem powiedzieć, że wczoraj mieliśmy przyjemność obejrzeć pana w telewizji. Proszę mi uwierzyć, wszyscy byli panem zachwyceni. Pan jest naprawdę świetny!

– Dziękuję.

Wsadź sobie i Cuffarom głęboko takie komplementy – dodał w myślach.

– Oby Bóg na długo zachował pańskie zdrowie i ten fantastyczny umysł – ciągnął Guttadauro.

– Dziękuję – powtórzył Montalbano.

Do takich ludzi trzeba było mieć całe mnóstwo cierpliwości, mówili jak poplątani, aluzyjnie, nigdy dosłownie, wprost. Ale prędzej czy później przejdzie do sedna.

– Właśnie wczoraj wieczorem – ciągnął mecenas – był z nami bardzo stary wieśniak związany z rodziną Cuffaro, nieraz zapraszamy go na kolację, żeby bawił nas swoimi fantastycznymi opowieściami. Ach, gdzie się podziała ta dawna wiejska cywilizacja! Globalizacja odcina nas od korzeni, od naszych zdrowych korzeni!

Montalbano zrozumiał zasady gry.

– Zaciekawiał mnie pan. Proszę i mnie rozbawić, może opowie mi pan którąś z tych historii?

– Z przyjemnością! A więc był sobie pewien myśliwy polujący na lwy, któremu pewnego dnia koledzy zrobili kawał. Spotkali tubylca, który zabił osła i przykrył go skórą lwa. Kupili go od niego i ukryli między drzewami. Myśliwy zobaczył go i strzelił, po czym kazał zrobić sobie zdjęcie z lwem, którego, jak sądził, zabił. Wszyscy byli przekonani, że to jego dzieło, ale nie tylko wcale nie on to zrobił, ale to nawet nie był lew.

– Zabawne.

– A nie mówiłem? Gdyby pan wiedział, ile on zna takich historyjek!

– A teraz, panie mecenasie, niechże mi pan powie...

– Bardzo mi przykro, panie komisarzu, ale właśnie zapowiedzieli mój lot. Proszę się trzymać i do zobaczenia.

Montalbano uśmiechnął się z zadowoleniem. Wywiad dla telewizji okazał się trafionym pomysłem.

Musieli długo się zastanawiać, zanim wymyślili historię o lwie, która była trochę sklejona na siłę, ale mimo wszystko spełniła swoje zadanie.

Jasne, że mówiąc o „towarzyszach polowania” Guttadauro miał na myśli nie tylko rodzinę Cuffaro, ale może i Sinagrów, konkurujący z nimi klan mafijny.

Z tego powodu musieli szybko odbyć konsultacje.

Sens tego wszystkiego był taki, że mafia nie miała z tym nic wspólnego, że Savastano wcale dla nich nie pracował (osioł, jak powiedział mecenas) i że nie zabił go żaden mafioso (tubylec, jak podkreślił rozmówca komisarza), i że to zabójstwo miało tylko wyglądać na dzieło mafii, podczas gdy nie miało z nią nic wspólnego.

To akurat Montalbano wyczuł od samego początku, tyle że w tej rozmowie telefonicznej otrzymał ostateczne potwierdzenie.

Zadzwoniono do niego z pewnością nie po to, żeby wyświadczyć mu przysługę, ale ponieważ jego publiczne przypuszczenia zaniepokoiły członków rodziny, którzy chcieli, żeby zostawił ich w spokoju.

Savastana zabił jakiś tubylec. Tłumaczenie z zaszyfrowanego języka Guttadaura: miejscowy, który nie należał do mafii.

Zadzwoił do Fazia.

– Co się dzieje, komisarzu?

Opowiedział mu o telefonie od Guttadaura.

– Co robimy? – zapytał Fazio.

– O jedenastej chcę widzieć Salvatore di Martę w biurze.

– Dlaczego tak późno? Wcześniej jest pan zajęty?

- Ja nie, ale ty tak.
- A co ja wtedy robię?
- Chcę wiedzieć wszystko o di Marcie.
- Już się dowiedziałem.

Któregoś dnia go zabiję – pomyślał komisarz.

Ale powiedział tylko:

– To poproś go na wpół do dziesiątej. O dziewiątej spotkajmy się i wszystko przegadamy.

Do wpół do dziewiątej płątał się po domu z nadzieją, że zadzwoni Marian.

Co jej się mogło stać? Nie umiał wytłumaczyć sobie tej ciszy.

W pewnej chwili pomyślał, że może poszukać w książce telefonicznej telefonu do kopalni i zadzwonić do brata Marian pod jakimkolwiek pretekstem, żeby tylko podał jej numer. Ale potem zabrakło mu odwagi.

Czekał, ale Marian się nie odzywała. W miarę upływu czasu zdał sobie sprawę, jak bardzo potrzebuje usłyszeć jej głos. Czekał tak wytrwale, że pojawił się w biurze dopiero o wpół do dziesiątej.

– Di Marta płaci mafii?

– Tak jest.

– Komu?

– Teren, na którym stoi supermarket, jest w strefie kontrolowanej przez rodzinę Cuffaro.

– Komu płaci?

– Niejakiemu Nini Gengo.

– A może di Marta dogadał się z nim?

Fazio skrzywił się.

– Nini Gengo nie jest z tych, którzy zabijają. To weszka-pijawka, która liczy się, dopóki Cuffaro nie zdecydują inaczej.

– A może di Marta zapytał go, czy nie zna kogoś, kto by się nadawał?

– Może i tak. Ale działając w ten sposób, di Marta odkrywałby się przed zbyt wieloma osobami.

– Masz rację.

– A poza tym, skoro mecenas Guttadauro zadzwonił do pana specjalnie po to, żeby powiedzieć, że nie mają z tym nic wspólnego...

– Mamy ufać słowom adwokata, który wysługuje się Cuffarom?

Fazio wzruszył ramionami. Zadzwonił telefon.

– Komisarzu, tu na miejscu znalazł się pan, co mówi, że nazywa się di Marta.

– Wprowadź go.

Di Marta był tak zdenerwowany, że nie mógł usiedzieć w miejscu, kręcił się na krześle, nieustannie poruszał rękami, dotykał nosa, spodni, krawata i obficie się pocił.

– Mam kłopoty, prawda? – zapytał komisarza.

Sam to zrozumiał. Całe szczęście, dzięki temu nie musieli tracić czasu.

– To oczywiste, że pana sytuacja nie jest najszcześniejsza.

Plecy di Marty pochylały się, jak gdyby złożono na nich niespodziewany ciężar. Westchnął tak głęboko, że Montalbano zaczął się obawiać, czy wytrzymają to jego płuca.

– Bardzo pana proszę o zachowanie spokoju i odpowiadanie na moje pytania. Proszę mi wierzyć, szczerść może panu bardzo pomóc. Chcę także powiedzieć, że nasza rozmowa jest, jakby to powiedzieć, prywatna i nie zostanie zapisana przez obecnego tu Fazia. Czy wyraziłem się jasno? Nie jestem upoważniony do podejmowania żadnych decyzji. W przeciwnym razie zaprosiłbym tu pana z jego prawnikiem.

Kolejne głębokie westchnięcie.

– No dobrze.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie był pan wczoraj wieczorem od dziesiątej?

– A gdzie miałem być? W domu.

– Ktoś był z panem?

– Nie. Loredana jest jeszcze w szpitalu, chyba dzisiaj ją wypisują.

– Co robił pan po południu?

– Byłem w sklepie, kiedy go zamykali, potem...

– Chwileczkę, kiedy był pan w sklepie, z nikim się pan nie spotkał w biurze?

– Spotkałem, z przedstawicielem firmy produkującej proszki do prania i z panią Molfettą, która płaci nam ratami.

– Z nikim innym?

– Nie.

– Proszę mówić dalej.

– Po zamknięciu, kiedy zostałem sam, zająłem się rachunkami, potem pojechałem wpłacić pieniądze na ulicę Crispiego i wróciłem do domu.

– Która mogła wtedy być?

– Wpół do dziesiątej.

– Nie jadł pan kolacji?

– Jadłem, rano gosposia przygotowała mi coś na wieczór.

– Co?

– Nie rozumiem?

– Co panu przygotowała?

Di Marta spojrzał na niego zaskoczony.

– Nie wiem... nie pamiętam.

– Jak to?

– Myślałem o czymś innym.

– A po kolacji?

– Oglądałem telewizję i o północy już leżałem w łóżku.

Dlatego nikt nie mógł potwierdzić, że został w domu na cały wieczór i noc. To był punkt na jego niekorzyść. Nie miał tego, co zwykle się nazywało niepodważalnym alibi.

– Dlaczego pobił pan żonę?

Zadane znienacka pytanie sprawiło, że di Marta zachwiała się na krześle.

Ale nic nie odpowiedział.

Montalbano postanowił uciec się do fantazji.

– Wiemy, że pani Loredana powiedziała lekarzom, że spadła ze schodów. Jasne jest, że chciała uniknąć złożenia oskarżenia. Ale lekarze nie uwierzyli, że jej obrażenia zostały spowodowane upadkiem. Oni właśnie złożyli zawiadomienie. Mam je tu w szufladzie, chce pan zerknąć?

– Nie.

Pułapka zadziałała.

– To pan ją pobił?

– Tak.

– Dlaczego?

– Kiedy dowiedziałem się, że została zgwałcona, zapytałem po powrocie do domu, dlaczego mi o tym nie powiedziała. Jej odpowiedzi nie brzmiały przekonująco. Była tak niewiarygodna, że pomyślałem, że może znać gwałciciela i chce to przede mną zataić. No i straciłem rozum i pobiłem ją.

– Czyli zrobił to pan tylko ze złości?

– Tak.

Montalbano zmarszczył brwi.

– Panie di Marta, proszę pana, w pańskim własnym interesie, żeby był pan szczery.

– Ale ja jestem...

– Nie jest pan. Chciał się pan dowiedzieć od żony nazwiska bandyty, który ją zgwałcił.

Di Marta nie odezwał się. Potem powziął chyba jakieś postanowienie, bo odpowiedział zdecydowanie.

– Tak.

Montalbano zrozumiał, że od tej chwili di Marta będzie z nimi współpracował tak chętnie, jak tylko się da.

– Powiedziała panu, kto to był?

– Tak.

– Proszę mi powiedzieć.

– Carmelo Savastano.

– Jak pan zareagował?

– Ja... zacząłem płakać. Potem... potem zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem, i zawiozłem Loredanę do kliniki.

– Pomyślał pan, żeby się zemścić na Savastanie?

– Chciałem go zabić. I zrobiłbym to, gdyby ktoś mnie nie uprzedził.

– W jaki sposób chciał go pan zabić?

– Chciałem go zastrzelić przy najbliższym spotkaniu. Od kiedy Loredana mi o nim powiedziała, chodzę z bronią.

Montalbano i Fazio wymienili szybkie spojrzenia, Fazio nawet podniósł się z krzesła.

– Ma pan broń przy sobie?

– Oczywiście.

– Proszę powoli wstać z rękami podniesionymi do góry – rozkazał komisarz.

Di Marta był w trakcie wstawania, kiedy Fazio przytrzymał go i wyciągnął pistolet z tylnej kieszeni spodni, po czym wyjął z niego magazynek.

– Brak jednego naboju – powiedział.

Podniósł lufę do nosa i powąchał.

– Strzelał pan z niego niedawno? – zapytał.

– Tak – przyznał di Marta. – Ponieważ trzymam pistolet w szufladzie nocnej szafki i nigdy go nie używałem, nawet nie wyjmowałem z pudełka, chciałem sprawdzić, czy działa.

– Kiedy pan to zrobił? – zapytał Montalbano.

– Przedwczoraj, na parkingu za sklepem, kiedy wszyscy już poszli.

– Proszę mówić dokładniej, tego wieczoru, kiedy zamordowano Savastana?

– Tak.

– Ma pan pozwolenie na broń?

– Tak.

– Proszę siadać.

Intrygujące było to, że im więcej di Marta mówił, tym bardziej wydawał się zdenerwowany.

– Cofnijmy się w czasie, da pan radę?

– Spróbuję.

– Kiedy zakochał się pan w Loredanie, była pańską pracownicą, sprzedawczynią w pańskim sklepie, czy tak?

– Tak.

– Wiemy, że była wtedy związana z Carmelem Savastanem, pan też o tym wiedział?

– Tak, powiedziała mi o tym Loredana, kiedy w końcu udało mi się z nią zaprzyjaźnić. Ale między nimi nie było już dobrze.

– Dlaczego?

– Savastano ją bił. Przychodziła się wyżalić, wypłakać u mnie w biurze. Coś panom opowiem: pewnego dnia splunął do talerza, z którego jadła, i kazał jej wszystko zjeść. Kiedy indziej zażądał, żeby przespała się z takim jednym, któremu był winien pieniądze. Ona chciała z nim zerwać, ale szantażował ją.

– W jaki sposób?

– Grożąc, że rozpowszechni jej kompromitujące zdjęcia, a nawet taki filmik, który nakręcili w pierwszych latach narzeczeństwa.

– Rozumiem, i co zrobiła?

– Przekonała mnie, że powinienem się spotkać z Savastanem.

– Nie bał się pan, że spotykając takiego jak on...

– Pewnie, że się bałem, ale Loredana była już wtedy dla mnie wszystkim.

– Poszedł pan na to spotkanie uzbrojony?

– Nie, nawet o tym nie pomyślałem.

– I co mu pan powiedział?

– Od razu przeszedłem do rzeczy, chciałem jak najszybciej zakończyć to spotkanie. Zapytałem, ile chce za to, żeby zostawić Loredanę i oddać mi zdjęcia. Wiedziałem, że potrzebuje pieniędzy, był pechowym klientem nielegalnych szulerni.

– Gdzie się spotkaliście?

– On chciał u siebie w domu, ale odpowiedziałem, że wolę na powietrzu. Spotkaliśmy się na molo.

– Przyjął pańską ofertę?

– Tak, ale najpierw się targowaliśmy.

– Ile?

– Dwieście tysięcy gotówką: sto tysięcy w chwili przekazania zdjęć i sto w przeddzień mojego ślubu z Loredaną.

– Dlaczego akurat w przeddzień?

– Żeby być pewnym, że w tym czasie nie będzie szantażował Loredany, która wyjechała do rodziców, żeby przeczekać ten okres. Straciłby połowę ustalonej sumy, a to mu się nie opłacało. Potem, po ślubie, gdyby przyszło mu do głowy znowu się pojawić, to ja już bym bronił Loredany.

– Dotrzymał słowa?

– Tak.

– Ma pan jeszcze te materiały od niego?

– Wszystko zniszczyłem.

– Zakładając, że wszystko to, co nam pan tu opowiada, jest prawdą, to z jakiego powodu Savastano miałby porywać i gwałcić pańską żonę?

Montalbano nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Myślę, że ktoś go napuścił.

– Ale kto?

– Valeria Bonifacio.

– Z jakiego powodu miałaby to zrobić?

– Bo mnie nienawidzi, chciała mnie skrzywdzić. Jest zazdrosna o to, że Loredana mnie kocha.

– Ma pan chociaż jakiś mały dowód na to?

– Nie.

Montalbano wstał. Di Marta zrobił to samo.

– Dziękuję, na razie nie jest pan już nam potrzebny.

Di Marta wydawał się bardziej zbity z tropu niż przekonany, że tak jest naprawdę.

– Mogę iść?

– Tak.

– I co teraz?

– Porozmawiam z prokuratorem, on zdecyduje, co dalej.

– A pistolet?

– Zostaje tutaj. I tak nie jest panu potrzebny. Savastano już został zabity.

Fazio odprowadził gościa do wyjścia. Kiedy wrócił, Montalbano zapytał go:

– I co o tym sądzisz?

– Albo jest kuty na cztery nogi i rozgrywa z nami skomplikowaną partię, albo to biedak w gównie po uszy. A co pan sądzi?

– Dokładnie to, co ty. Ale tymczasem przydzielmy zadania. Ja pojedę do Montelusy pogadać z Tommaseo, ty zanieśiesz pistolet do tych z techniki. Oni mają jeszcze łuski i łatwo ustalą, czy Savastano został zabity z tej broni. Potem powinieneś dowiedzieć się o jedną rzecz.

– O co chodzi?

– Słyszałeś o wymianie ognia pomiędzy trzema imigrantami?

– Tak, i pomyślałem to, co i pan, tak przynajmniej sądzę, że być może chodzi o tych ze Spiritu Santo.

– Jeśli ośmielę się zapytać Sposita o jakiś drobiazg, to na pewno mi odburknie albo nic nie powie, ale jeśli ty, rozmawiając z jakimś kumplem...

– Zrozumiałem, no to idę.

Ale nie zdążył wyjść, bo w tym momencie w pokoju pojawił się Mimì Augello.

13

– Nie zajrzałem wcześniej, bo Catarella powiedział, że siedział tu di Marta. Nie wiedziałem, czy wchodzić czy nie, na wszelki wypadek nie wszedłem.

– I dobrze zrobiłeś, Mimì.

– Chciał się pan dowiedzieć, jak poszła kolacja z Bonifacio?

– Jeśli to nie będzie długa opowieść...

– Bardzo krótka.

– No to siadaj i opowiadaj – powiedział Montalbano.

– Valeria, przez pierwszą część wieczoru, zgrywała świętą. Musi mi pan uwierzyć, wyglądała jak anioł. Ułożona, spuszczonego wzroku, bluzka zapięta pod szyją, spódnica za kolano. Opowiedziała mi historię swojego życia, począwszy od szkoły podstawowej. O tym, jaka była nieszczęśliwa w dzieciństwie z powodu ojca, który miał dziecko z kochanką, stąd ciągłe kłótnie w rodzinie. Usiłowała wmówić mi, że jej mąż był, i nadal jest, mężczyzną jej życia. Że bardzo ciężką jej te miesiące bez niego, to jasne, że jest zdrową, normalną dziewczyną, ale rozłąkę rekompensuje jej myśl o wielkiej miłości, która oplata ich niczym bluszcz, dokładnie tak się wyraziła. Jednym słowem pieprzyła jak potłuczona do jedenastej.

– A co się stało o jedenastej?

– Ponieważ telewizor był włączony, pojawiłeś się w nim ty, Salvo. Słyszając, że Savastano nie żyje, zmieniła się nagle, jakby oszalała. Krzyczała, że zamordował go na pewno mąż Loredany. Usiłowałem ją uspokoić, ale to tylko pogorszyło sprawę. Dostała ataku hysterii, rozbiła talerz, usiłowała uderzyć głową w ścianę. Musiałem siłą zaciągnąć ją do łazienki, wsadzić jej głowę pod prysznic, aż

zmoczyła sobie ubranie. Chciała się przebrać, ale nie dawała rady, trzęsły się jej ręce, nie mogła ustać na nogach, prawie leżała na mnie. No więc musiałem sam zdjąć jej bluzkę i stanik i założyć suche rzeczy. Spódnice też.

– A majtki nie?

– Nie, były suche.

– A potem? – zapytali razem Montalbano i Fazio.

– Muszę rozwiać wasze oczekiwania godne napalonych prosiaków. Pokazała mi towar, pierwszorzędnej jakości, ale zrozumiałem, że tego wieczoru nie jest na sprzedaż. Powiedziała, że musi się położyć, ja, jak na dżentelmena przystało, ucałowałem jej dłoń i wyszedłem. Dzisiaj wieczorem ponownie ją odwiedzę, zjemy razem kolację.

– No i?

– No i uważam, że jest świetną aktorką i dziwką. Sprytną i niebezpieczną. Doskonale odegrała tragiczną scenę, z pewnością zamierzała powiedzieć mi coś na di Martę, twoje pojawienie się w telewizji miało miejsce w odpowiednim momencie, od razu wykorzystała sytuację. À propos, Beba ma już dość, że jestem ciągle poza domem. Tym razem nie chcę zachować się jak łajdak i powiem, że mam dyżur. A jak poszło z di Martą?

– Dla niego niedobrze.

– To znaczy?

– Nie ma wiarygodnego alibi na wieczór zabójstwa, ale za to ma motyw. Teraz jadę do Tommasea, ale on z pewnością wystawi nakaz aresztowania, powiem więcej: może nawet aresztuje.

Kiedy dojechał do Pałacu Sprawiedliwości, dowiedział się, że Tommaseo do pierwszej jest na sali sądowej.

Głupio postąpił, nie dzwoniąc do niego wcześniej, żeby upewnić się, czy zostanie przyjęty.

Ponieważ miał czas, poszedł do kwestury sprawdzić, na jakim etapie jest sprawa podsłuchów. W piwnicy powiedzieli, że ma pójść do kabiny dwanaście B.

W środku siedział agent ze słuchawkami na uszach i rozwiązywał krzyżówki. W pomieszczeniu mogły się zmieścić ledwo dwie osoby, ale żadna z nadwagą.

- Jestem komisarz Montalbano.
- Agent De Nicola – powiedział mężczyzna wstając.
- Proszę nie wstawać. Od kiedy działa podsłuch?
- Od rana, zaczęliśmy o siódmej.
- Zerwali się skoro świt, nie ma się do czego przyczepić.
- Ktoś dzwonił?
- Tak, chce pan posłuchać?
- Chętnie.

Technik posadził go koło siebie, dał drugie słuchawki i nacisnął przycisk w urządzeniu przypominającym komputer. Zaczęli słuchać.

- *Halo? – powiedział kobiecy głos.*
- *Jak się masz, Valerio?*
- *Loredano kochana ty moja, najdroższa, wiesz już może, kiedy cię wypiszą?*
- *Najpewniej jutro, męża wezwali do komisariatu.*
- *Myślisz, że go aresztują?*
- *Nie wiem, jak to się skończy, ale z pewnością nie jest w najlepszej sytuacji. Posłuchaj...*
- *Tak?*
- *Chciałam zapytać... wszystko w porządku?*
- *Chodzi ci o...*
- *Tak.*
- *W jak najlepszym, wszystko OK.*

- *Przysięgasz?*
- *Słowo honoru.*
- *Ja już dłużej tego nie wytrzymam, świra tu zaczynam dostawać, nie mogę...*
- *Spokojnie, tylko spokojnie. Nie rób głupot, cierpliwości. Będziesz jeszcze miała okazję nadrobić ten cały stracony czas.*
- *Muszę kończyć, idzie lekarz.*

Potem kolejny telefon do Valerii. Głos należał do młodego mężczyzny.

- *To ja, Valerio!*
- *Oszalałeś?*
- *Posłuchaj mnie...*
- *Nie będę słuchać i nie dzwoń, jeśli cię wcześniej nie zawiadomię.*

Valeria odłożyła słuchawkę.

- *Może mi pan powiedzieć, skąd był ten drugi telefon?*
 - *Dzwoniono z komórki niedaleko Montereale, tylko tyle wiemy.*
 - *Może mi pan to przegrać?*
 - *A jaki ma pan magnetofon?*
- Zbyt skomplikowane.
- *Jeśli dostanę kartkę, to sobie przepiszę, to krótkie rozmowy.*
 - *Szczerze mówiąc, powinien na to wyrazić zgodę prokurator – powiedział De Nicola. – Ale byłoby jedno wyjście. Czy mogę iść na kawę?*
 - *Oczywiście.*
 - *Dziękuję. Proszę założyć moje słuchawki. Jeśli ktoś w międzyczasie do niej zadzwoni, to proszę wcisnąć ten przycisk,*

a potem ten. Aha, papier znajdzie pan w tamtej szufladzie.

Na szczęście nikt nie zadzwonił, bo komisarz kompletnie nie dałby sobie z tym wszystkim rady.

*

Wrócił do Pałacu Sprawiedliwości, poczekał chwilę i wreszcie mógł się spotkać z prokuratorem.

– Jest dziesięć po pierwszej! Czas na...

– Chodzi o tę sprawę dwóch dziewcząt, pamięta pan?

Dotknął jego słabego punktu.

– Oczywiście, że pamiętam, w takim razie zapraszam pana na obiad. Będziemy mogli spokojnie o tym porozmawiać.

Montalbana oblał zimny pot. Kto wie, w jakiej wstrętnej knajpie przyjdzie mu jeść. Tommaseo był gotów żywić się dzikimi jagodami i mięsem psów.

– No dobrze – powiedział zrezygnowany.

A jednak zjadł całkiem nieźle, nie mógł narzekać, mimo że został zmuszony do rozmowy w trakcie posiłku, co było sprzeczne z jego przyzwyczajeniami.

Po obiedzie wrócili do gabinetu prokuratora.

– I co ma pan zamiar zrobić? – zapytał Montalbano.

– Biorąc pod uwagę godziny pracy tego di Marty, o szesnastej pošlę dwóch karabinierów, żeby zabrali go z supermarketu. Przynajmniej będziemy pewni, że tam wtedy będzie. Karabinierzy dadzą mu czas na kontakt z prawnikiem, a potem razem z nim pojawią się u mnie.

Montalbano skrzywił się z powątpiewaniem, co nie umknęło uwagi Tommasea.

– Coś nie tak?

- Jeśli wyśle pan po niego karabinierów, ktoś poinformuje prasę, telewizję i...
- No i co z tego?
- Jak pan uważa. Chciałem tylko uprzedzić, że wszyscy się na pana rzucają. Czy ja jestem potrzebny?
- Jeśli ma pan inne sprawy na głowie...
- To w takim razie, jeśli można, nie pojawię się tutaj.
- Aha, Montalbano, mówił pan, kiedy mają wypisać tę piękną żonę di Marty?
- Jutro.
- To ja od razu jutro ją dorwę – odpowiedział Tommaseo, oblizując usta, jak kot na myśl o schwytaniu myszy.

Przyjechał na komisariat o wpół do czwartej. Fazio od razu przyszedł do jego pokoju.

- Przekazałem pistolet tym z techniki, potem oddzwonią z wynikiem.
- Rozmawiałeś z kimś od antyterrorystów?
- Tak.
- I co, to Tunezyjczycy zrobili sobie magazyn w tym rozwalonym domku, potwierdzili ci?
- Tak jest, okazuje się, że już od jakiegoś czasu zajmowali się handlem bronią. Robili to nie dla pieniędzy, są przeciwko obecnemu rządowi i szykują rewolucję. Sposito kazał ich aresztować bez użycia broni.
- No to skąd się wzięła ta strzelanina?
- Cała trójka schroniła się w grocie, a nasi przejechali tuż obok, niczego nie zauważając, kiedy usłyszeli serię z karabinu maszynowego za plecami. Odpowiedzieli strzelając na oślep, ale tym Tunezyjczykom udało się uciec.

- Mówisz, że słyszeli tylko tę serię?
- Tak.
- Może ktoś strzelił niechcący?
- Może oni tak myślą, powiedzieli, że jeden z tej trójki jest ranny, znaleźli tam ślady krwi.

Po wyjściu Fazio komisarz zaczął podpisywać dokumenty. Miał zamiar wyjść wcześniej z biura i być w Marinelli najpóźniej o ósmej. Nie chciał, żeby powtórzyła się sytuacja z poprzedniego wieczoru, kiedy, jak przypuszczał, Marian zadzwoniła do niego, ale nie zastała go w domu.

Fazio pojawił się koło wpół do siódmej.

- Nie pasuje.
- Co takiego?
- Ta kula w głowie Savastana nie została wystrzelona z pistoletu di Marty. To był jakiś inny pistolet tego samego kalibru, 7,65, z takiego go zabili.

Czyli punkt na korzyść di Marty.

- Prokurator o tym wie?
- Nie mam pojęcia.

Później przyszedł pożegnać się Augello.

- Nie za wcześnie na kolację?
- Muszę przedtem wpaść do domu i przebrać się.
- Ubierzesz się elegancko?
- Oczywiście, nawet spryskam się perfumami.
- Jakimi?
- Virilité, czyli męskość.
- A one jeszcze do ciebie pasują?
- Nie mogę narzekać.

Miał już wychodzić, kiedy zadzwonił telefon. To był Zito.

– Mogę wpaść za dwadzieścia minut do ciebie?

– Po co?

– Udzielisz mi wywiadu.

– Ale na jaki temat?

– Jak to, to nic nie wiesz?

– Nie, a o czym?

– Tommaseo aresztował di Martę.

Komisarz zaklął, nie z powodu aresztowania, ale prośby o wywiad.

Czy mógł odmówić Zicie, który wyświadczył mu tyle grzeczności? Niewykluczone, że wywiad się przeciągnie i Marian...

– Dobrze, ale przyjedź jak najszybciej.

Natychmiast zadzwonił do prokuratora.

– Pan Tommaseo? Tu Montalbano, dowiedziałem się, że...

– Tak, są poszlaki i to poważne. Pozostawiając go na wolności, ryzykujemy zniszczenie dowodów, ponadto mógłby ponownie dokonać napaści na żonę.

– Wie pan, że technika sprawdziła pistolet zabrany di Marcie i nie...

– Tak, poinformowano mnie o tym w czasie przesłuchania, ale to nie zmienia obrazu całości sprawy.

– Zróbmy to szybko, to puszczyć jeszcze w dzienniku o wpół do dziesiątej – powiedział Zito, wchodząc z kamerzystą.

– Jeśli ci się uda uwinąć w kwadrans, to pocałuję cię w czółko – obiecał Montalbano.

W ciągu pięciu minut wszystko było gotowe.

– Panie komisarzu Montalbano, dziękuję, że zgodził się pan z nami porozmawiać. A więc mamy zabójcę Carmela Savastana. Gratulacje dla pana i prokuratora Tommasea, szybko się panowie uwinęli.

– Przede wszystkim muszę wyjaśnić, że ani prokurator Tommaseo, ani ja nie uważamy, że to di Marta własnoręcznie dokonał tego zabójstwa. Jeżeli już, to je zlecił.

– Prokurator powiedział, że motywem była zemsta, ale nie chciał powiedzieć nic więcej.

– Skoro pan prokurator powiedział tylko tyle, to ja z pewnością nie będę bardziej rozmowny.

– Ale to jedyny motyw?

– Skoro tak twierdzi prokurator Tommaseo...

– Ale mówi się, że di Marta kazał zabić Savastana z zazdrości.

– Nie mam nic do powiedzenia w tym względzie.

– To pan przesłuchiwał żonę Salvatore di Marty, która obecnie przebywa w szpitalu z powodu upadku?

– Tak.

– Może pan nam powiedzieć, czy pani...

– Nie.

– Ale macie konkretne dowody przeciwko niemu?

– Dowody jeszcze nie, ale mocne poszlaki tak.

– Czy to prawda, że skonfiskowano pistolet należący do di Marty?

– Tak.

– Podobno wasi technicy wykluczyli, że posłużył jako narzędzie zbrodni. Potwierdza pan to czy nie?

– Potwierdzam. To nie z tej broni dokonano zabójstwa. W każdym razie chciałbym zwrócić uwagę na fakt, iż według nas to di Marta zlecił zabójstwo. A zatem fakt, że jego pistolet nie został użyty do zabójstwa, wydaje się całkowicie pozbawiony znaczenia.

- *Zatem nadal poszukujecie rzeczywistego zabójcy na zlecenie?*
- *Oczywiście. Ale chodzi o przynajmniej dwie osoby.*
- *Dziękuję, komisarzu Montalbano.*

Kiedy ekipa opuściła pokój, Montalbano spojrzął na zegarek i zaklął. Już po wpół do dziewiątej. A musiał zrobić jeszcze coś, co przedtem nie wydawało mu się ważne.

Zadzwoił na komórkę Augella.

- Gdzie jesteś?
- W samochodzie, jadę do Valerii.
- Wiesz, że Tommaseo aresztował di Martę?
- Tak, usłyszałem w wiadomościach o ósmej.
- Chcę ci powiedzieć, że będę o wpół do dziesiątej w dzienniku na „Reteliberze”. Zobacz, jak tym razem zareaguje Valeria.
- Nie ma sprawy, ona ma zawsze włączony telewizor.

Komisarz pobiegł do samochodu i ruszył z kopyta do Marinelli.

Słyszał dzwoniący telefon, kiedy otwierał drzwi. Udało mu się jednak w porę podnieść słuchawkę.

- Cześć, komisarzu, chyba biegleś?

Nagle usłyszał dzwoniące dzwony, śpiewające anioły, grające gitary, strzały z moździerzy.

Jednym słowem cały muzyczny burdel, który go ogłuszył.

- Tak, dopiero przyjechałem, chcę... chcę, żebyś dała mi wszystko, i to teraz.

Marian zaśmiała się.

- Z przyjemnością, ale jak?
- Nie, źle mnie zrozumiałaś, chciałem powiedzieć, żebyś dała mi numery wszystkich twoich telefonów.
- Nie masz ich?
- Nie, za każdym razem zapominam o nie poprosić...

- Dobrze, zostawiam ci numer komórki i domu rodziców.
Zapisał je na kawałku papieru.
- Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem?
- Potem ci powiem, to był głupi pomysł, który w sumie okazał się błędem.
- Możesz wyrażać się jaśniej?
- Teraz wychodzę, mogę zadzwonić koło północy?
- Oczywiście.
- No to do usłyszenia, komisarzu.

Poczuł, że ma większy apetyt niż syberyjski wilk.

Rzucił się z wewnętrznym wyciem na poszukiwanie zdobyczy, czyli tego, co przygotowała mu Adelina. Otworzył lodówkę tak gwałtownie, że drzwiczki o mało nie zostały mu w ręku.

Można było tylko skakać z radości i wznosić pochwalne hymny na widok dwóch talerzy błyszczących światłem własnym, pełnych ryżu, karczochów i groszku na pierwsze. Na drugie czekał na niego tuńczyk w pomidorach.

Kiedy podgrzewał jedzenie, poszedł otworzyć okno wychodzące na werandę. Ze zdziwieniem zobaczył, że zaczęło trochę padać, ale wcale się nie ochłodziło. Mógł zjeść na zewnątrz.

Deszcz hałasował bardziej niż morze. Wziął głęboki wdech, wypełniając powietrzem płuca.

Równie pięknie pachniał nagrany piasek.

Lekki odgłos delikatnych kropli padających na dach werandy przywodził na myśl dochodzącą gdzieś z oddali muzykę, która...

Co mu się stało?

Czyżby nagle zaczął zachwycać się deszczem, który dotychczas wprawiał go tylko w zły humor?

Może to wiek sprawia, że stajemy się bardziej romantyczni?

Albo, co zdaje się o wiele bardziej prawdopodobne, może to wpływ Marian?

Postanowił nie oglądać swojego wywiadu w telewizji.

Nakrył do stołu, zaczekał, aż ryż się podgrzeje, i wyniósł danie na werandę.

Zjadł wszystko do ostatniego ziarenka groszku.

Potem zaatakował tuńczyka, którego spotkał ten sam los, co ryż.

Posprzątał ze stołu, wziął papierosy i popielniczkę i wrócił, żeby posiedzieć na werandzie.

Zero whisky, dzisiaj chciał mieć czysty umysł.

Spojrzał na wyciągniętą z kieszeni kartkę z numerami telefonów Marian.

14

Pierwsze, co rzuciło się w oczy, podobnie jak czarna plama na białej kartce, to że ani Valeria, ani Loredana nie wspomniały ani słowem o zabójstwie Carmela Savastana.

A przecież od identyfikacji zwłok nie upłynęło tak wiele czasu.

Może miały już okazję skomentować to wydarzenie podczas jednej z rozmów przed założeniem podłuchu, ale wydawało się, że obie panie celowo omijają tak ważny temat. Jak gdyby umówiły się, żeby na ten temat nie rozmawiać.

To było bardzo dziwne.

A przecież Savastano był długoletnim narzeczonym Loredany, a także napastnikiem i gwałcicielem.

Sam fakt, że ona leżała w szpitalu, był w pewnym sensie konsekwencją jej intymnej znajomości z zamordowanym.

Jak to możliwe, że z ust dziewczyny nie wymknęło się ani jedno słowo na jego temat, nieważne czy współczujące, czy obelżywe? Koniec Savastana był naprawdę straszny, „biedaczysko!” albo „zasłużył sobie na to!” powinno wymknąć się z jej ust.

A tu nic.

Valeria z kolei, która przed Mimi chciała uchodzić na wielką obrończynię di Marty, nie komentowała faktu, że mąż Loredany został wezwany na komisariat? Nie powinna życzyć mu, aby od razu stamtąd odesłano go do więzienia?

Zbyt wiele przemilczeń, zbyt głęboka cisza.

No i jeszcze coś, kompletnie niezrozumiałego.

Te pytania Loredany, która chciała wiedzieć, czy wszystko jest w porządku, i nie mogła się już doczekać wyjścia ze szpitala, bo tam

nie mogła...

Nie mogła robić czego?

I ta odpowiedź Valerii, zapewniającej, że odbije sobie stracony czas, i to z nawiązką. Co to miało znaczyć?

Co i na kim sobie odbije?

Najwidoczniej Valeria była jedynym łącznikiem pomiędzy przyjaciółką a kimś, kogo Loredanie tak bardzo brakowało.

Co do drugiego telefonu, to lepiej w ogóle nie zawracać sobie nim głowy. Nic tu nie można było zrozumieć.

Ale ton głosu Valerii, kiedy odsłuchiwał tę rozmowę, podsunął mu pewną wskazówkę.

Valeria zareagowała natychmiast, zaskoczeniem i przerażeniem. Nie, to raczej była reakcja łącząca w sobie zdziwienie i przestach.

Powiedziała „zwariowałeś”, ale przerwała, nie dokończyła zdania, z pewnością chciała powiedzieć „że do mnie dzwonisz”.

Chyba zwariowałeś, że do mnie dzwonisz.

A zatem, między tym mężczyzną a Valerią była jakaś umowa, nie wiadomo jaka i kiedy zawarta.

Mężczyzna miał do niej nie dzwonić przez jakiś czas. A jednak nie dotrzymał słowa.

Skoro jednak Valeria w chwili rozmowy była sama w domu, jak zawsze, i nikt nie mógł jej słyszeć, dlaczego nie chciała rozmawiać?

Jeśli to był tylko jej kochanek, to z pewnością by z nim porozmawiała.

Czyli to nie był kochanek.

No to kto?

Valeria bała się, że ktoś usłyszy, jak z nim rozmawia.

Na pewno nie przebywający gdzieś daleko mąż, nie leżąca w szpitalu Loredana.

A więc kto?

Może Valeria podejrzewała, że ma telefon na podsłuchu?

Jeśli tak było, to oznaczałoby, że kontakt z tym mężczyzną jest dla niej niebezpieczny.

Zadanie, które miał wykonać Mimì, stawało się coraz ważniejsze.

O wpół do dwunastej zadzwonił telefon. To była Livia.

– Idę do łóżka, chciałam tylko życzyć ci dobrej nocy.

Jej głos brzmiał trochę tak, jak by była zakatarzona.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

– Nie masz gorączki?

– Chyba nie, nie wiem, nigdy nie miałam.

– Ale czujesz się naprawdę dobrze?

– Od kiedy obudziłam się dzisiaj rano, ciągle chce mi się płakać.

To go zdziwiło, łzy w oczach Livii nie pojawiały się zbyt często.

– Nawet nie chce mi się rozmawiać. Tylko spać. Zaraz wezmę tabletkę, wybacz.

– To ty mi wybacz.

Te słowa same wylały mu się z serca. To wszystko była jego wina, ale Livia powiedziała coś, czego w ogóle się nie spodziewał.

– Ty nie masz za co przepraszać, nie masz z tym nic wspólnego. W ogóle nasza obecna sytuacja nie ma z tym nic wspólnego.

– No to co się dzieje?

– Już ci powiedziałam. Nie wiem, nie rozumiem, czuję jakby zagrożenie jakąś pustką, utratą, której nie będę mogła zapełnić. Ale to dotyczy mnie. To trochę tak jak wtedy, kiedy dowiedziałam się, że mama cierpi na nieuleczalną chorobę. Coś w tym stylu. Ale nie chcę cię tym zadręczać, dobranoc.

– Dobranoc – powiedział Montalbano, czując się jak łajdak.

I był nim, ale nic na to nie mógł poradzić.

Wziął telefon, przeniósł go do sypialni, potem poszedł do łazienki i wreszcie położył się.

Leżał na plecach, gapiąc się w sufit, i nie mógł przestać myśleć o Livii.

Dochodziła już prawie północ, kiedy zadzwonił telefon, wymiatając mu z głowy wszystkie inne myśli, które nie dotyczyły Marian.

– Cześć, komisarzu.

– Cześć, jak tam Lariani?

– A co mam ci powiedzieć? Dzisiaj zadzwonił do mnie, żeby oznajmić, że pojutrze z pewnością pokaże mi dwa obrazy.

– Oby tym razem wreszcie się udało.

– Mam nadzieję, bo nie mogę tak tracić czasu...

– A powiesz mi, dlaczego wczoraj do mnie nie zadzwoniłaś?

Marian roześmiała się.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Bo czasami zadajesz mi pytania, jak na przesłuchaniu.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy, to niechcący...

– Wiem, naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Po rozmowie z tobą zdałam sobie sprawę, że nie mogę przestać o tobie myśleć, i to coraz bardziej intensywnie. Im więcej o tobie myślę, tym mam większą ochotę być z tobą. A ponieważ nie mogę, robię się nieprzyjemna, roztargniona albo nie mogę zasnąć. No więc postanowiłam przeprowadzić taki eksperyment i nie zadzwoniłam. I to było jeszcze gorsze. Dlatego dzwonię teraz do ciebie z Mediolanu. Uwierz mi, już dłużej tak nie mogę, oszaleję, siedząc tu, podczas gdy...

To było jak błyskawica.

– Cholera jasna!

Samo mu się wyrwało. Znowu.

– O co chodzi? – zapytała zdziwiona Marian.
– Dokończ to zdanie, dokończ je!
– Jakie zdanie?
– To. Które właśnie mówiłaś, że nie możesz już dłużej wytrzymać, że oszalejesz, jeśli nadal...

– Zwariowałaś?

– Błagam, proszę, co chciałaś powiedzieć?

Chwila ciszy.

Kiedy się odezwała, jej głos był lodowaty i ironiczny.

– Ucałować cię, wariacie. Wyściskać, kretynie, kochać się z tobą, idioto.

I rozłączyła się.

Użyła dokładnie tych samych słów, co Loredana! Może Loredana znajdowała się w takiej samej sytuacji, jak Marian?

Teraz jednak musiał jak najszybciej naprawić szkodę.

Zadzwoił do Marian na komórkę. Nie odpowiedziała. Spróbował na numer domowy. Też cisza, może wyłączyła aparat z kontaktu. Za czwartym razem, kiedy zadzwonił na komórkę, Marian wreszcie się odezwała.

Udobruchanie jej zajęło komisarzowi dobre pół godziny.

Potem Marian życzyła mu dobrej nocy swoim normalnym zakochanym głosem.

I Montalbano mógł pograć się w błogim śnie.

W pracy czekali już na niego Mimì i Fazio.

– Chciałem wszystko opowiedzieć – powiedział Augello.

– Widzę, że jesteś świeży jak róża – odpowiedział komisarz. – Jak to możliwe, że Valeria wczoraj cię nie zniszczyła?

– Jeszcze do tego nie doszło.

– A do czego doszliście?

– Udało mi się przekonać ją, żeby pokazała towar. Mogłem też docenić jego świeżość dzięki skromnemu poczęstunkowi. Oświadczyłem, że zakochałem się w niej na zabój i jestem gotowy na wszystko.

– Rozumiem. Jak zareagowała na mój wywiad?

– Jestem przekonany, że dopiero po wysłuchaniu ciebie zgodziła się na wstępny poczęstunek i pokazanie towaru. W pewnej chwili, kiedy starałem się przejść od poczęstunku do zakupu, zablokowała mnie, pytając, czy jestem w stanie dużo dla niej zaryzykować.

– Dokładnie tak się wyraziła?

– Tak jest, dużo zaryzykować.

– I co jej odpowiedziałeś?

– Że jestem gotowy poświęcić dla niej życie.

– W tle leciała jakaś muzyka? – zapytał Fazio.

– Jasne, z telewizora.

– Kto wie, co miała na myśli – wtrącił Fazio.

– Dzisiaj po obiedzie na pewno mi to zdradzi – powiedział Augello. – Czeka na mnie o czwartej, najwidoczniej długo to potrwa. Zebranie zakończyło się.

– Komisarzu, panie komisarzu!

Kiedy Catarella rozpoczynał swoje zawodzenie, rzecz z pewnością dotyczyła kwestora, kwistora, jak zwykł go nazywać.

– Dzwonił kwestor?

– Tak jest, czeka na linii!

Montalbano wyobraził sobie Bonettiego-Alderighiego uczeplonego linii telefonicznej niczym kruk.

– Przełącz go do mnie.

– Montalbano?

– Słucham, panie kwestorze.

– Może pan tu zaraz do mnie wpaść?

– Postaram się być jak najszybciej.

Wsiadł do auta i pojechał. Zazwyczaj kwestor wzywał go, żeby oficjalnie coś mu zarzucić, słusznie lub nie, dlatego przez całą podróż starał się zachować spokój, zastanawiając się, co go czeka.

Kwestor natychmiast go przyjął.

Chyba nie czuł się dobrze, bo był cały żółty na twarzy, zupełnie jak w tej trumnie. Ale zachowywał się uprzejmie.

– Proszę wejść, drogi Montalbano, co słyhać?

Bonetti-Alderighi nigdy nie zadał mu takiego pytania, może nadchodził koniec świata?

– Wszystko w porządku, a u pana?

– Nie za dobrze, ale przejdzie. Chciałem zapytać, czy oprócz Savastana zajmuje się pan jeszcze innymi sprawami.

– Żadną.

– Czy tę sprawę, proszę mi odpowiedzieć szczerze, mógłby przejąć pan Augello?

– Oczywiście.

– Świetnie. Może już pan wie, że Sposito i ci wszyscy od antyterroryzmu są pochłonięci polowaniem na trzech Tunezyjczyków ukrywających się na naszym terenie. Są zamieszani w handel bronią. To duży obszar i Sposito, zanim dołączył rano do swoich ludzi, przyszedł prosić mnie o posiłki. Tylko że nie wiem, skąd mam je brać. Wystarczyłoby, żeby pan i dwóch pańskich współpracowników... to kwestia kilku dni.

Kwestor nie wiedział, co kryło się za tą historią.

– Nie ma sprawy.

– Dziękuję bardzo, chciałem dowiedzieć się najpierw, jak stoi pan z czasem, a dopiero potem porozmawiać ze Spositem. Jestem pewny, że przyjmie tę informację z dużym zadowoleniem.

Wstał, podał komisarzowi rękę i uśmiechnął się.

Montalbano wyszedł otumaniony z gabinetu, poważnie zaniepokojony stanem zdrowia pana kwestora.

Ponieważ powiedział A, musiał powiedzieć też B.

Zszedł do podziemi. W kabinie dwanaście B De Nicola nadal rozwiązywał krzyżówki.

– Dzień dobry, były jakieś telefony?

– Tak, jeden o ósmej rano, jeden o wpół do dziewiątej od jakiejś pani, która prosiła o datek na cele charytatywne, i potem o dziewiątej pani Bonifacio zadzwoniła do pani di Marta.

– Chciałbym posłuchać tej ostatniej rozmowy.

– *Loredano, kochanie, o której cię wypuszczą?*

– *W południe.*

– *Przyjadę po ciebie autem, aż uwierzyć nie mogę, że znowu będziemy razem.*

– *Mnie też trudno w to uwierzyć. Nie mogę się doczekać! Powiedz mi, tylko się nie złość, dałaś znać, że wychodzę?*

– *Nie.*

– *Dlaczego?*

– *Bo chyba na razie tak będzie lepiej.*

– *Ale ja...*

– *Tak będzie lepiej, mówię. I nie każ mi tego powtarzać po kilka razy. Słyszałaś o twoim mężu?*

– *Tak, wczoraj w telewizji.*

– *Poznałam takiego jednego, który może nam pomóc. Pracuję nad nim.*

– *Kto to?*

– *Prawnik, nazywa się Diego Croma.*

– *Jak?*

– *Diego Croma.*

– *Chyba go poznałam, dlaczego myślisz, że może się nam przydać?*

– *Powiem ci, kiedy się zobaczymy. To na razie.*

– Mam iść na kawę? – zapytał uśmiechając się De Nicola.

Komisarz spojrzał na niego zdziwiony.

– Nie musi pan tego przepisać?

– Nie, dziękuję.

Ani słowa o aresztowaniu di Marty. A Loredana usiłowała za wszelką cenę nawiązać z kimś kontakt, na co z kolei nie pozwalała jej Valeria.

Nie wrócił do komisariatu, tylko od razu pojechał do Enza. Potem przeszedł się aż do końca mola i usiadł na płaskiej skale. Krab zanurzył się w wodzie, kiedy tylko go zobaczył. Najwidoczniej nie był w nastroju do zabawy. Może i kraby miewają lepsze i gorsze dni.

Teraz było już jasne, że w centrum całego dochodzenia dotyczącego zabójstwa Savastana trzeba było umieścić Valerię Bonifacio. A może mylił się, pozwalając robić wszystko Mimi. Powinien raczej zlecić to Faziowi.

Wrócił do biura.

– Panie komisarzu! Telefonował pan Sposato i mówi, że ma pan prędiutko do niego zadzwonić.

– A czy on przypadkiem nie nazywa się Sposito?

– A co ja powiedziałem?

– No dobra, zadzwoń i połącz mnie z nim.

– Montalbano?

– Przy telefonie, kwestor rozmawiał ze mną i...

– Dlatego do ciebie dzwonię, powiedziałem kwestorowi, że to nie ma sensu.

– Nie rozumiem.

– Wy tłumaczyłem kwestorowi, że może mnie dobrze nie zrozumiał, ja potrzebuję ludzi.

– A ja to kto? Koń?

– Potrzebuję szeregowych policjantów, nie takich jak ty.

– Rozumiem, nie chcesz, żebym ci się kręcił pod nogami.

– No coś ty! Absolutnie nie o to chodzi!

– Boisz się, że pozbawię cię możliwości jakiegoś aresztowania?

– Odpieprz się ode mnie! W każdym razie nie jesteś mi potrzebny, jasne?

– Jasne.

Sposito oprzytomniał na chwilę.

– Przepraszam, ale biorąc pod uwagę okoliczności...

– Teraz ty się odpieprz!

Nie wiedział, że ten Sposito był aż tak żalosny, jakie znowu okoliczności?

Ale coś mu tu nie pasowało.

Przez chwilę pomyślał, że zadzwoni do Bonettiego-Alderighiego z prośbą o wyjaśnienie, ale rozmyślił się.

Może tak będzie lepiej. Dzięki temu uniknie długich pieszych wypraw po wsiach w palącym słońcu i w deszczu.

W dodatku w jakiejś chłopskiej chacie mogliby go poczęstować jagnięciem w rosole albo kaszanką, rzeczami, których nawet nie tykał.

Poprosił do siebie Fazia.

Kazał mu przeczytać zapis dwóch rozmów telefonicznych i opowiedział o dzisiejszej porannej rozmowie.

– Co o tym myślisz?

Fazio miał w sumie takie same uwagi co komisarz i stwierdził, że Bonifacio jest w tym umoczona po szyję.

– W takim razie musisz się w to włączyć, Fazio. Już powiedziałeś mi trochę o Valerii Bonifacio, ale to za mało. Musimy pogrzebać w jej życiu, dowiedzieć się o niej wszystkiego, ale naprawdę wszystkiego.

– To nie będzie łatwe, ale spróbuję.

– Zaczynaj od razu.

– Aha, chciałem jeszcze panu coś powiedzieć: jutro otwiera się supermarket di Marty.

– A był zamknięty?

– Tak.

– Kto będzie się nim zajmował?

– Poprzez swojego prawnika di Marta przekazał upoważnienie dla żony.

– Di Marta ma jeszcze jakieś nieruchomości?

– Od cholery, komisarzu: magazyny, domy, ziemie, kutry.

Koło siódmej pojawił się Augello.

– Coś nowego?

– Tak. Jak już ci powiedziałem, o czwartej pojechałem do Valerii. Przyjęła mnie w dezabilu, miała na sobie tylko lekki szlafroczek, pod którym, kiedy szła, widać było majtki i stanik.

– Mundur bojowy.

– No właśnie. Ponieważ bardzo uważała, żeby nie przedawkować, nie zaprowadziła mnie do sypialni; zostaliśmy na kanapie robiąc wszystko, oprócz rzeczy najważniejszej. Umie niesamowicie się kontrolować i powstrzymywała mnie w ostatniej chwili.

– Ale coś ci powiedziała?

– Musisz mi uwierzyć, Salvo, że ona jak mało kto zna się na swojej robocie. Wspomniała tylko, że da mi jakąś paczkę, ale nie dla

mnie. To zapytałem, komu mam ją zawieźć, a ona zaczęła się śmiać. Wytłumaczyła, że nie mam tego ani przekazywać, ani nikomu pokazywać. Tylko ukryć w bezpiecznym miejscu. Jeśliby mnie nakryli, mogę mieć kłopoty. Zapytałem, co jest w tej paczce, ale odpowiedziała, że dla mnie lepiej jest nie wiedzieć. W każdym razie zgodziłem się.

– I kiedy ma ci to dać?

– Powiedziała, że nie ma tego w domu, przyniosą jej to dzisiaj wieczorem.

– I wracasz na kolację?

– Nie, jutro na obiad. Po kolacji musi wyjść.

– Może żeby odebrać paczkę?

– Nie mam pojęcia.

Punktualnie o ósmej Montalbano wyszedł z komisariatu i pojechał do Marinelli. Wieczór doskonale nadawał się do jedzenia na powietrzu. Poszedł zajrzeć do lodówki, ale nagle zmarł.

Nie było to spowodowane tym, co zobaczył w środku, nawet nie miał czasu, żeby zajrzeć, tylko coś przyszło mu nagle do głowy i kompletnie oszołomiło.

Gdzie on ma głowę? Co w niej trzyma zamiast mózgu?

Pytania retoryczne, bo wiedział doskonale, gdzie trzyma głowę i gdzie mózg: w Mediolanie, przy Marian.

Dlatego popełnił głupstwo, wielkie nie jak ten dom, ale ogromny wieżowiec.

A teraz co mógł z tym zrobić? Było tylko jedno wyjście. Sam tam pojedzie.

Dlatego musiał jak najszybciej zawiadomić Marian. Która powitała go ze zdziwieniem.

- Cześć, komisarzu, a dlaczego to...
- Przepraszam, chciałem tylko cię pozdrowić.
- Gdzie jesteś?
- W domu, właśnie wychodzę.
- A dokąd się wybierasz?
- Czeka mnie trochę nocnej pracy.
- A o której wrócisz?
- Nie mam pojęcia.
- Czyli później nie mam po co do ciebie dzwonić?
- Chyba mnie nie będzie.

- Przykro mi, spieszysz się?
- Tak.
- W takim razie do jutra, komisarzu.
- Do jutra.

Przygotował sobie kawy i przebierał się w biegu, zakładając spodnie pełne kieszeni, w których poupychał telefon, papierosy, książkę, zapalniczki. A także latarkę, małą butelkę whisky i termos ze świeżo zaparzoną kawą.

Potem założył kurtkę myśliwską i nasadził na głowę czapkę. Na ramieniu zawiesił lornetkę.

Przygotował sobie dwie kanapki, jedną z salami, drugą z serem, całe szczęście, że Adelina zrobiła zakupy. Włożył kanapki razem z butelką wina do kieszeni kurtki.

Wyszedł z domu, wsiadł do auta i pojechał z powrotem do Vigaty.
Cel: ulica Palermo dwadzieścia osiem.

Valeria Bonifacio powiedziała Augellowi dwie ważne rzeczy: że tego wieczoru dadzą jej przesyłkę i że po kolacji będzie musiała wyjść z domu.

Najlepiej by było, gdyby śledził ją ktoś inny i zobaczył, dokąd idzie. On jednak zapomniał o tym, pochłonięty myślami o Marian.

Dlatego teraz musiał zrobić to, czego nie zlecił komuś innemu.

Ulica Palermo wydawała się należeć do innego świata, miejsc do parkowania było ile dusza zapragnie. Komisarz stanął prawie pod samą willą, ale po przeciwnej stronie ulicy. W dwóch oknach paliło się światło, to znak, że Valeria była jeszcze w domu.

Wyciągnął z kieszeni kanapkę z serem i zjadł ją. Zamiast nasycić, tylko rozbudziła apetyt. Dlatego kanapka z salami podzieliła los tej pierwszej. Wypił wino i zapalił papierosa.

Po kwadransie, widząc, że nic się nie dzieje, uruchomił auto i przeparkował je, ustawiając pod latarnią. Z tego miejsca dwa

rozświetlone okna były mniej widoczne, trochę na ukos, ale zawsze mógł je mieć na oku.

Wyciągnął książkę, którą ze sobą zabrał. Napisał ją niejaki Bolaño, dość mu się podobała. Zaczął czytać, spoglądając co jakiś czas na ulicę, żeby sprawdzić, czy nic się nie dzieje.

Dopiero o wpół do dwunastej zgasło światło w jednym z okien. Montalbano zamknął książkę, położył ją na siedzeniu pasażera i przygotował się do wyjazdu.

Upłynęło dziesięć minut i nadal nic się nie wydarzyło. Pomyślał, że może Valeria poszła się położyć, co oznaczało straconą noc i fiasko jego planu.

A może poszła po samochód? Tylko gdzie go trzymała?

Nie pamiętał, czy kiedy był tu pierwszy raz, widział garaże z drugiej strony.

Zobaczył wyjeżdżający z bocznej uliczki samochód, ale było zbyt ciemno, żeby rozpoznać kierowcę. Na szczęście w tym samym momencie przejechało szybko obok inne auto, oświetlając ulicę: tak, za kierownicą siedziała Valeria.

Nie jechała szybko, dlatego komisarz bez trudu mógł mieć ją na oku. Gdyby przyspieszyła, na pewno trudno byłoby mu jechać cały czas za nią. Valeria skręciła w drogę na Montereale, przejeżdżając koło Marinelli.

Co powiedział De Nicola? Że ten telefon, który Valeria przerwała, pochodził właśnie z Montereale.

Ale nie dojechali do samego miasteczka. Półtora kilometra przed pierwszymi zabudowaniami Valeria skręciła w prawo, wjeżdżając w wysypaną żwirem drogę. Tej nocy księżyc prawie nie świecił. Montalbano zgasił światła i przeklinając, pojechał za nią, utrzymując dystans.

Nic nie widział i bał się, że za chwilę wyląduje w jakimś rowie czy kanale ściekowym.

Nagle stracił z oczu światła samochodu Valerii. Zatrzymała się. Byłoby zbyt niebezpiecznie podjechać jeszcze bliżej, bo hałas mógłby ją przestraszyć. Po lewej stronie zobaczył coś w rodzaju małego zbiornika z wodą, zahamował i stanął za nim. Zamknął auto i poszedł dalej na piechotę.

Po dziesięciu minutach marszu zobaczył przed sobą białą plamę. Plac przed kamieniołomem. Auto Valerii było zaparkowane właśnie tam, widział jego tylne światła.

Dopiero teraz usłyszał nadjeżdżający samochód. Uskoczył z drogi, chowając się za wielkim drzewem.

Drugie auto zatrzymało się koło samochodu Valerii, która tymczasem wysiadła i znalazła się w świetle jego reflektorów. Światła pozycyjne drugiego samochodu nadal pozostały zapalone. Koło Valerii pojawił się mężczyzna, od razu zaczęli rozmawiać. Montalbano słyszał ich głosy, ale nie rozumiał, co mówią.

Obydwoje byli tylko sylwetkami bez twarzy. Mężczyzna miał przynajmniej metr osiemdziesiąt wzrostu. Komisarz usiłował coś dojrzeć przez noktowizor, ale bez większego powodzenia.

Pozostało mu tylko zbliżyć się po omacku, robiąc jak najmniej hałasu. Nie było to łatwe zadanie, dwa razy potknął się o korzenie, a raz noga wpadła mu w dziurę wypełnioną wodą, zamoczył się aż po kolano. Zdusił w sobie przekleństwa, żeby go nie usłyszeli.

Wreszcie zaczęły dobiegać do niego jakieś słowa. Urywki zdań, ale to nie z powodu odległości. Rozmówcy zaczęli mówić trochę głośniej.

- Ale... co ci się stało... w głowę? – zapytał mężczyzna.
- ... chaj mnie... – powiedziała Valeria.
- Nie dałbym... nawet gdyb... częła... łakać.
- Ale nie wiesz, że jeśli... uda, to policja znajdzie... Marta będzie skończony... a ty... poza podejrzeniem.
- A jeśli... nie uda? Zresztą, ...wiesz, że możesz ufać... katowi?

– ...uję, że mogę.

– Nie zrozumiałaś mnie? Co jest do cholery... Wrzuciłem do morza.

– Nie wierzę.

– Przecież mówię, wrzuciłem.

I właśnie wtedy Montalbano kichnął.

– Co to? – krzyknęła Valeria.

Montalbano kichnął po raz drugi.

Mężczyzna, bez słowa, odjechał autem.

Trzecie kichnięcie.

Teraz uciekała Valeria. Czternaście kichnięć, jedno za drugim, kompletnie oszołomiło komisarza. Musiał nawąchać się jakiegoś zielska, na które był uczulony. Albo to przez te litry wody w lewym bucie. Całe szczęście, że nie zobaczył go nikt z jego ludzi podczas tej wtopy. Wrócił do auta i pojechał do Marinelli. Najwyraźniej mężczyzna nie zgodził się na plan opracowany przez Valerię. I nie miał najmniejszego zamiaru dać jej tego, czego chciała. Albo już jej tego nie mógł dać. Czegoś, co mogłoby na zawsze pograżyć di Martę. Ale kim był ten mężczyzna? Może to z nim Valeria nie chciała rozmawiać przez telefon?

À propos telefonu, w jaki sposób Valeria umówiła się z nim w kamieniołomie? Z pewnością nie dzwoniła ani ze swojej komórki, ani z aparatu w domu.

Zaraz po przyjściu do biura usiłował dodzwonić się do De Nicoli. Nie było to łatwe zadanie, musiał nieźle się nagimnastykować, ale w końcu mu się udało.

– Ja tylko z jedną sprawą, czy wczoraj wieczorem, po szóstej, ktoś dzwonił do Bonifacio?

– Chyba tylko raz, ale jeśli zechce pan poczekać, pójde sprawdzic.

– Sprawdź bez pośpiechu i daj mi ten numer, czekam.

Musiał policzyć do 658.

– Tak?

– I co?

– Bonifacio zadzwoniła na telefon stacjonarny o osiemnastej pięćdziesiąt do niejakiej Niny, mówiąc, że będzie jej potrzebna, ponieważ postanowiła w ostatniej chwili zaprosić gości na kolację, a ona jej w tym pomoże. Musiała nalegać, bo ta Nina źle się czuła. Chciałem także powiedzieć, że dzisiaj rano o ósmej rozmawiała długo z niejakim Diego, którego numer komórkowy to...

– Nieważne, dziękuję.

Dlaczego zadzwoniła o tej godzinie do Mimì? Może dlatego, że mężczyzna, z którym się spotkała, nie zgodził się na jej plan?

Ważniejsze było jednak to, że zadzwoniła do tej całej Niny pod fałszywym pretekstem. Nie było przecież żadnej kolacji, a obecność Niny miała posłużyć w jakimś innym celu. A może rozmawiały szyfrem.

Mimì Augello pojawił się o wpół do dziesiątej i sądząc po tym, jak wyglądał, wydawał się cokolwiek rozczarowany.

– Dała mi kosza – powiedział siadając.

– Valeria?

– Dzisiaj rano zadzwoniła do mnie o ósmej i gadała przez pół godziny. Powiedziała, że ta cała historia pomiędzy nami właśnie się skończyła, że nie czuje się na siłach zrobić coś więcej, nie chce krzywdzić męża, że jest uczciwą kobietą... Była tak świetna, że o mało nie uwierzyłem, że mówi prawdę. W każdym razie mowy nie ma, żeby zmieniła zdanie.

– Mimì, chyba tracisz urok i kobiety zaczynają cię porzucać – powiedział złośliwie komisarz.

– Ano właśnie – stwierdził z żalem Augello.

– Dzień dobry wszystkim – powiedział Fazio, wchodząc do pokoju.

– Już wiesz? – zapytał go Montalbano. – Valeria nie chce już mieć nic wspólnego z naszym doktorem Augello.

– A to dlaczego?

Mimì miał właśnie odpowiedzieć, ale komisarz powstrzymał go, podnosząc rękę.

– Ja odpowiem.

– Wolałbym nie – powiedział Mimì.

– Ale dlaczego?

– Bo lubisz drzeć ze mnie łacha.

– Zapewniam, że powód jest akurat dla ciebie korzystny.

– No dobrze, mów.

– Valeria zerwała z tu obecnym Don Giovannim, ponieważ nie otrzymała przesyłki, którą miała z kolei wręczyć właśnie jemu.

– A skąd ty tym wiesz? – zapytał Mimì.

Montalbano opowiedział im wczorajszą przygodę. Pomijając jedynie nieistotną informację dotyczącą kichania. Opowieść sprawiła, że na twarzy Augella natychmiast pojawił się uśmiech.

– Czyli dała mi kosza, bo już jej nie byłem potrzebny.

– I wcale nie dlatego, że zawiodły twoje męskie przymioty, jeśli cię to może pocieszyć – powiedział Montalbano.

I ciągnął dalej:

– Mimì, postaraj się przypomnieć sobie, czy Valeria mówiła ci kiedyś o niejkiej Ninie?

– Ninie? Nigdy – odpowiedział Augello.

– Być może chodzi o imię jej gosposi – wtrącił zamyślony Fazio.

– Dowiedz się. A czego się dowiedziałeś nowego?

– A trochę wiem. Ta Valeria ma oczywiście jakichś tam znajomych, ale tylko jedną przyjaciółkę. Loredanę. Jeśli nieraz chodzi do

ginekologa, to tylko z nią. Jeśli musi pojechać do Montelusy, żeby kupić sukienkę albo eleganckie buty, to też w jej towarzystwie. Nigdy się nie rozstają, są jak syjamskie bliźniaczki.

– Żadnych mężczyzn?

– Pewna sąsiadka, starsza, ale obdarzona dobrym wzrokiem, która mieszka w domu prawie naprzeciwko i całymi dniami wysiaduje w oknie w fotelu inwalidzkim, powiedziała mi, że jeszcze dwa miesiące temu odwiedzał ją trzy razy w miesiącu, zawsze po obiedzie, pewien mężczyzna. Potem, właśnie dwa miesiące temu, już więcej się nie pojawił. Według niej pokłócili się, i to na poważnie. Po jego ostatniej wizycie, kiedy już wychodził, Valeria wychyliła się przez okno, wyzywając go i mówiąc, żeby więcej się już tu nie pokazywał.

– W jakim wieku był ten mężczyzna? – zapytał Montalbano.

– Najwyżej jakieś dwadzieścia pięć lat.

– Może to kochanek – skomentował Augello.

– Zapytałem tę panią – powiedział Fazio – ale odpowiedziała, że nie wyglądali na zakochanych.

– A skąd może wiedzieć? Chyba nie sięgała wzrokiem aż do środka domu naprzeciwko?

– Nie, ale czasami zdarzało się, że Valeria wychodziła razem z nim i odprowadzała go do samochodu. Według sąsiadki nie żegnali się jak kochankowie.

– To może ktoś z rodziny – powiedział Augello.

– Nie ma krewnych, ani rodzeństwa, ani kuzynów.

– Moim zdaniem – powiedział Montalbano – to jest z tego wszystkiego najdziwniejsze.

– To znaczy? – zapytał Augello.

– Że przyjeżdżał zawsze trzy razy w tygodniu, zawsze po obiedzie. Czyli jak na umówione spotkanie.

Komisarz przestał mówić i spojrzał na Fazio:

– Mówiła, w jakie dni się pojawiał?

– Tak, nieparzyste: poniedziałek, środę i piątek.

Przyszedł mu do głowy pomysł.

– Możesz jeszcze z nią porozmawiać?

– Oczywiście.

– Zapytaj, czy podczas wizyt tego mężczyzny w domu była też Loredana. Opisz ją tej sąsiadce.

Ciągnął dalej, mówiąc do Augella:

– Mimì, potrzebna mi jeszcze ta twoja szlachetna twarz.

– O co chodzi?

– Loredana dzisiaj otworzy supermarket, był zamknięty, nikt się nim nie zajmował, a ona prawie na pewno zajmie miejsce męża. Dlatego od teraz, rano i po południu, będzie musiała tam siedzieć.

– No i co?

– Musisz ją odwiedzić.

– Pod jakim pretekstem?

– Opowiesz jej, że jesteś zrozpaczony, że chcesz się zabić, że zrozumiałeś, że bez Valerii życie nie ma sensu. Dlatego wyblągaj, żeby wstawiła się za tobą u przyjaciółki.

– A jeśli odmówi?

– Jeśli nie zechce, to przynajmniej zapoczątkujesz znajomość z Loredaną. Lepsze to niż nic.

– Jadę tam od razu.

– Nie tak szybko, daj jej chwilę, niech się we wszystkim zorientuje. Pojaw się tam zapłakany koło czwartej, kiedy otworzą po przerwie. Widzimy się wszyscy tutaj o piątej. No to do roboty, chłopaki, już jesteśmy blisko rozwiązania.

Kiedy tylko usiadł na skale, najedzony i napity, zorientował się, że tym razem czekają na niego dwa chętne do zabawy kraby. Może

były braćmi.

Valeria nie ma rodzeństwa ani kuzynów.

Może kraby były rodzeństwem: siostra i braciszek. Jak można odróżnić krabową dziewczynę od chłopaka?

Kiedy rzucał kamyczkami w kraby, pewna myśl zaczęła krążyć mu po głowie.

Ktoś powiedział coś, co dotyczyło Valerii. Coś, co wtedy wydało mu się nieważne. Ale było bardzo ważne. Tylko że teraz komisarz nie był w stanie przypomnieć sobie, o co chodziło.

Fazio i Augello pojawili się punktualnie o piątej.

– Mów ty, Mimì.

– Loredana od razu mnie poznała. Mogłem porozmawiać z nią jakieś dziesięć minut w biurze kierownika. Powiedziała, że wie o mojej znajomości z Valerią, bo przyjaciółka opowiedziała jej wszystko ze szczegółami. Powiedziała nawet, że po raz pierwszy od czasu ślubu Valeria czuła taką sympatię do mężczyzny. Ja recytowałem wyuczoną rolę, nawet udało mi się wydusić parę łez. Wzruszyła się, obiecała, że porozmawia o tym z Valerią.

– I co dalej?

– Ma numer mojego telefonu, da znać.

– A ty? – zapytał Fazio Montalbano.

– Jeszcze raz rozmawiałem z tą sąsiadką. Miał pan rację: kiedy pojawiał się ten chłopak, Loredana zawsze była w domu.

– Zapytałeś, jak wyglądał?

– Ten facet? Tak, powiedziała, że miał tak z metr osiemdziesiąt i że przyjeżdżał zawsze tym samym samochodem.

– Podała może markę albo numer rejestracyjny?

– Nie, ledwo widziała tablicę, a na markach to w ogóle się nie zna. Powiedziała mi tylko, że samochód był srebrny.

– Jestem prawie pewien, że zeszłej nocy to auto też było srebrne
– powiedział Montalbano. – Nie ma cienia wątpliwości, to ten sam chłopak, który ją odwiedzał. Chyba że Valeria spotyka się wyłącznie z mężczyznami tego samego wzrostu.

– Musi pan wiedzieć jeszcze coś – ciągnął Fazio. – Jej gospoia ma na imię Nina. Ale to nie taka prawdziwa gospoia, tylko mamka, bo jej rodzona matka straciła pokarm z powodu stresu.

– A kto ci to powiedział?

– Jedyne handlarz warzywami i owocami na całej ulicy, u którego Nina robi zakupy.

To właśnie ta historia o matce Valerii, która straciła mleko z powodu jakiegoś urazu, przyszła do głowy komisarzowi podczas medytacji na skale.

Nagle przypomniał sobie, że tę ważną informację usłyszał od Augella.

– Mimì, kiedy opowiadałeś mi o swoim pierwszym spotkaniu z Valerią, powiedziałeś, chyba że poznałeś historię jej życia.

– Tak było.

– Teraz już tak dobrze nie pamiętam, ale czy nie mówiła ci czasem także o swojej rodzinie?

– Tak, powiedziała, że miała nieszczęśliwe dzieciństwo przez ojca, który miał syna ze swoją kochanką.

– O właśnie, o to mi chodziło. Powiedziałeś, że urodził się jeszcze przed Valerią?

– Tak, cztery lata wcześniej.

– Czyli Valeria ma przyrodniego brata.

– Skoro tak się im ułożyło w rodzinie...

– Mówiłeś, że ojciec go uznał?

– Tego nie mówiłem.

Fazio już poderwał się z miejsca.

– Lecę do urzędu meldunkowego, nasz system komputerowy jest nadal zepsuty. Zamykają o wpół do szóstej, może jeszcze zdążę.

16

– Nie rozumiem, dlaczego tak cię frapuje ten brat przyrodni – zapytał Augello.

– Mimì, to jasne jak słońce, że Valeria prowadzi podwójne życie. Albo przynajmniej robi wszystko, aby większa część jej życia pozostała nieznana. Zgadzasz się ze mną?

– No tak.

– Jeśli ta historia z przesyłką, o której ci mówiła, skończyłaby się dobrze, coś można by było odkryć. Ale skoro wszystko poszło nie tak, jak powinno, to podążając tym tropem, żadnych dowodów nie znajdziemy. Dlatego teraz każda droga jest dobra. Może Valeria dalej spotyka się z tym bratem.

Kiedy Fazio pojawił się po półgodzinie, nadal rozmawiali o Valerii.

– Z akt wynika, że w Vigacie mieszka tylko jeden mężczyzna o nazwisku Bonifacio, Vittorio. Ma pięćdziesiąt lat i jest ojcem Valerii. Czyli Vittorio nie uznał swojego syna, który został zarejestrowany pod nazwiskiem matki.

– À propos matki, jak nazywa się matka Valerii? – zapytał Montalbano. – Może poprzez nią...

– Nazywała się Agata Tessitore, zmarła trzy lata temu.

– No to jesteśmy w ślepym zaułku – skomentował Mimì.

Ale komisarz dorwał się do kości i za żadną cenę nie chciał jej puścić.

– Teraz zrobię coś pozornie bez sensu – powiedział – ale muszę przyznać, że kiedyś udał mi się podobny manewr.

Wykręcił numer i włączył głośnik telefonu.

- Słucham? – odpowiedział kobiecie głos.
 - To ja, Montalbano, Adelino.
 - A, to pan, co się stało?
 - Potrzebuję pewnych informacji. Znasz taką jedną starszą panią, która chodzi sprzątać do takiej pani, co się nazywa Bonifacio?
 - Nie.
 - Ta starsza pani ma na imię Nina.
 - Nina Bonsignori?
 - Nie znam jej nazwiska.
 - Znam taką jedną, co to kupuje ryby tam gdzie ja, i ciągle opowiada o swojej pani, już głowa mi pęka od tego gładzenia, jaka ona dobra i piękna. Mówi, że ją wychowywała i karmiła...
- Bingo.
- To ta!
- Spojrzał triumfująco na Mimì i Fazia i ciągnął dalej.
- A ta jej pani ma na imię Valeria?
 - Tak.
 - Kiedy spotkasz Ninę?
 - Na pewno jak zwykle jutro rano o wpół do ósmej, na targu rybnym.
 - Teraz wytłumaczę ci, o co masz ją zapytać, ale tak z ciekawości, nie przywiązując do tego wagi. Potem zaraz mi to wszystko powiesz przez telefon, będę w Marinelli.
 - Nie może pan poczekać, aż tam dojadę?
 - Nie, musisz od razu wszystko mi powiedzieć.
- Odłożył słuchawkę i powiedział do Fazia:
- Jutro rano, kiedy tylko będę znał to nazwisko, zadzwonię do ciebie i polecisz do biura meldunkowego.

Dojechał do Marinelli tuż przed wpół do dziewiątej. Właśnie wchodził, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, Salvo.

To była Livia. Mówiła wolno, jakimś odległym, pustym głosem, jak gdyby brakowało jej powietrza.

– Lepiej się czujesz?

– Nie, gorzej. Nawet nie poszłam dzisiaj do pracy. Zostałam w domu.

– Masz gorączkę?

– Nie, ale czuję się, jakbym ją miała.

– Czy nie mogłabyś wytłumaczyć mi, o co...

– Salvo, ciągle czuję silny niepokój. Nawet jeśli z tym walczę, a uwierz mi, że walczę, nie umiem znaleźć powodu, po prostu tak jest. Jak gdyby w każdej chwili coś miało mi się przydarzyć.

Bardzo było mu żal Livii.

Wyobraził ją sobie smutną, z oczami czerwonymi od płaczu, chodzącą z pokoju do pokoju... Słowa, które wypowiedział, wyszły mu prosto z serca:

– A może chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

– Nie.

– Może mógłbym w czymś pomóc?

– Nie.

– Ale dlaczego nie?

– Byłabym nieznośna.

– Ale nie możesz tak siedzieć, nic nie robiąc!

– Jeśli do jutra nie poczuję się lepiej, pójdę do lekarza, obiecuję. Teraz się kładę.

– Oby ci się dobrze spało.

– Po środkach nasennych na pewno. Dobranoc.

Czuł gorycz w ustach i ciężar na sercu.

Usiadł w fotelu i włączył telewizor. Zito właśnie prezentował wiadomości.

...dzisiaj upływał termin potwierdzenia lub anulowania nakazu aresztowania Salvatore di Marty przez sędziego śledczego, Antonia Grassa. Grasso poprosił jednak o jego przedłużenie o czterdzieści osiem godzin, aby mieć więcej czasu na decyzję. Możemy zatem przypuszczać, że dowody, które prokuratura uważała za wystarczające do wydania nakazu aresztowania, nie są dla sędziego wystarczająco silne.

Teraz kolejna wiadomość. Trwają poszukiwania trzech imigrantów, którzy kilka dni temu uczestniczyli w zbrojnym starciu z siłami porządkowymi w okolicy Raccadali. W opuszczonym budynku, w którym ta trójka czasowo przebywała, znaleziono zakrwawione ubrania potwierdzające informacje, że jeden z imigrantów został poważnie ranny... Sposito oświadczył, że pętla wokół tej trójki zaciska się coraz bardziej i ich zatrzymanie to już kwestia dni.

Niedawno dotarła do nas informacja, że rada lokalna...

Zaczął szukać jakiegoś filmu. W ogóle nie chciało mu się jeść, rozmowa z Livią odebrała mu apetyt. Znalazł jakiś film szpiegowski, obejrzał do końca, mimo że nic z niego nie zrozumiał.

Wyłączył telewizor i usiadł na werandzie. Nie miał nawet ochoty na whisky. Czuł przygnębienie z powodu Livii.

Ponownie wrócił myślami do jej domu w Boccadasse. Troska, czułość, współczucie tkwiły mu w gardle jak kamień.

Czuł, jakby oglądał samego siebie, bo cierpiał na taką samą samotność, zanim pojawiła się Marian.

Może Livia miała rację, nie zgadzając się na jego przyjazd do Boccadasse: jakie wsparcie mógłby jej zaoferować? Czy umiałby ją przytulić i pieścić jak kiedyś?

Może słowami? Ale słowa nie tylko okazałyby się niewystarczające, zabrzmiałyby także fałszywie. Jak można żyć przez lata z osobą, którą zna się tak dobrze, i nie zwrócić uwagi, że coś się w niej zmieniło? A Livia z pewnością zauważyła u niego tę zmianę.

Tym razem nie zareagowała, nawet podkreśliła, że źródłem jej cierpienia nie były ich relacje.

W takim razie co takiego mogło się jej stać? Z jakiego powodu opadł ją tak nagle niepokój? Może to kwestia wieku?

Najbardziej niepokoiło go to, że przecież Livia nie była histeryczką. Nie wpadała łatwo w depresję czy huśtawki nastroju. Wprost przeciwnie. Była konkretna i, co stanowiło jej główną zaletę, zawsze stała na ziemi obiema nogami. Jeśli teraz znalazła się w takim stanie, to powód musiał być bardzo poważny. A cała sprawa mogła okazać się jeszcze bardziej niebezpieczna, jeśli jak najszybciej nie odkryje przyczyny i sposobu na jej rozwiązanie.

Nie, nie mógł zostawić jej w takiej chwili, to byłaby z jego strony podwójna podłość.

Marian zadzwoniła dokładnie w tej chwili, zupełnie jakby wyczuła jego myśli. Bo Montalbano doskonale wiedział, że po drugiej stronie jest właśnie ona. Wyciągnięcie ręki po słuchawkę kosztowało go wiele wysiłku, wydawało mu się, że waży co najmniej kwintal.

– Słucham, kto mówi?

– Cześć, komisarzu, co tam? Masz dziwny głos.

– Jestem bardzo zmęczony... bardzo.

– Pewnie zmęczyłeś się wczoraj w nocy.

– Tak... to było... trudne. A co u ciebie?

– Lariani dziwnie ze mną rozmawiał. Powiedział, że musi bardzo uważać na ludzi, z którymi chce robić interesy. Zapytałam go o powód tych obaw, ale nie odpowiedział. Potrzebuje jeszcze jednego dnia.

- I co mu odpowiedziałaś?
 - Że się zgadzam. Ale podjęłam decyzję. Daję mu czas do jutra wieczorem. Jeśli nie odezwie się albo znowu poprosi o więcej czasu, zrywam rozmowy.
 - Co masz na myśli?
 - Zrywam, zamykam sprawę, daję sobie spokój.
 - Mówisz poważnie?
 - Oczywiście.
 - Ale to przecież świetny interes.
 - I to nawet bardzo!
 - To po co tracić wszystko, kiedy już jesteś tak blisko?
 - Salvo, może czegoś jeszcze nie zrozumiałeś.
 - Czego?
 - Że przebywanie, choćby tylko minutę, z dala od ciebie bardzo wiele mnie kosztuje. Cały dzień bez ciebie to bardzo wysoka cena, a ja nie chcę już jej płacić. I nie ma żadnego powodu, który zmusiłby mnie do takiego cierpienia. Do diabła z Pedicinim, Larianim i całą resztą. To złodzieje!
 - Co ty mówisz?
 - Tak, złodzieje! Ukradli mi mój kawałek szczęścia. A moje szczęście liczy się przede wszystkim, czy wyraziłam się jasno?
- Zanim odpowiedział, Montalbano pomilczał chwilę. Powaliła go spontaniczność Marian.
- Tak, bardzo jasno – powiedział w końcu.
- Ale gdzieś w głowie zadawał sobie pytanie: dlaczego Lariani tak się zachowuje?
- Ponieważ jestem bardziej niż przekonana, że do jutra nic się nie wydarzy – powiedziała Marian tym samym tonem, co poprzednio – pojutrze rano wsiadam w samolot i wracam do Vigaty. I wieczorem będziemy mogli razem zjeść kolację.

– Rozumiem wszystkie twoje argumenty, ale proszę, zastanów się, przemyśl to jeszcze, skoro tak niewiele ci brakuje. Dzień w tę czy w tę... – powiedział znany kunktator Montalbano.

Marian podniosła głos.

– Salvo, nie pozwolę, żeby mnie znowu oszukali, żeby ponownie pozbawili mnie choćby minuty w twoim towarzystwie. Chcesz to wreszcie zrozumieć czy nie? Nie bądź taki jak oni. W każdym razie nie miej złudzeń: teraz, kiedy cię złapałam, nie pozwolę ci uciec.

Nigdy nie słyszał jej aż tak stanowczej.

– Dobrze – powiedział.

Marian zmieniła ton.

– Wybacz, jeśli... ale jestem zbyt zdesperowana, czuję, jak wszystko mi się w środku gotuje. Bardzo długo o tym myślałam. Głupio zrobiłam, przyjmując propozycję Pediciniego. Powinnam była odmówić, nawet jeśli miałabym z tego powodu wyjechać tylko na jeden dzień.

– Teraz uspokój się – powiedział Montalbano. – W przeciwnym razie nie zmrużysz oka.

– Mam na to sposób.

– Nie bierz środków nasennych, one...

– Nie mam zamiaru, moim środkiem nasennym jesteś ty.

– Ja?

– Tak, ty mnie pobudzasz i usypiasz. Życz mi dobrej nocy, jak gdybyś był tu teraz koło mnie.

– Dobranoc – powiedział Montalbano, szczerze pragnąc, aby Marian była teraz bardzo blisko.

Kwadrans po ósmej, kiedy komisarz wychodził spod prysznic, zadzwonił telefon.

– To ja, Adelina.

- No i co?
- Rozmawiałam z Niną Bonsignori. W ogień by poszła za tą swoją panią, która zresztą dzwoniła do niej podczas naszej rozmowy.
- Nina ma komórkę?
- No tak, teraz wszyscy mają.
- I co dalej?
- Powiedziała, że kochanką ojca jej pani była Francesca Lauricella.

Komisarz skończył rozmowę i zadzwonił do Fazia.

Kiedy był już gotowy do wyjścia, zadzwonił do Livii. Odebrała, mówiąc zduszonym głosem.

- Która godzina?
- Dziewiąta. Przepraszam, jeśli cię obudziłem.
- Nie spałam. Jeszcze leżę, ale nie chce mi się wstać. Dlaczego zadzwoniłeś?
- Żeby dowiedzieć się, jak się czujesz. Martwię się o ciebie.
- Czuję się jak zwykle, ale nie martw się. Do usłyszenia wieczorem.

Jak strasznie ścisnęło mu się serce podczas tej rozmowy! Odczuwał dotkliwy brak szczerych, czułych, autentycznych słów, żeby ją nimi obsypać!

Jadąc do komisariatu, musiał przejechać koło galerii Marian. Tym razem zobaczył, że jakiś łajdak napisał zielono-czerwonym sprejem „złodzieje!” na metalowej żaluzji. Ciekawe, dlaczego przyszło mu do głowy, że Marian tak samo nazwała Larianiego. Chciałby poznać go osobiście. Ale wiedział, w jaki sposób może się czegoś o nim dowiedzieć. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał! Cholera, co się z nim dzieje!

W biurze czekali na niego Fazio i Mimì.

– I co?

Fazio wyjął z kieszeni kartkę. Komisarz uprzedził go.

– Zdaję sobie sprawę, że tym razem dane osobowe są ważne, ale oszczędź mi szczegółów. Powiedz tylko, jak nazywa się ten chłopak.

– Nazywa się Rosario Lauricella i ma dwadzieścia pięć lat – odpowiedział Fazio, wsadzając kartkę do kieszeni.

– Gdzie mieszka?

– W Montereale. I powiem więcej: w dowodzie ma zapisany wzrost: metr osiemdziesiąt jeden. Jest jeszcze coś ważnego.

– Później mi to powiesz. Chcę najpierw zadzwonić do Tommasea i powiedzieć, że nie potrzebujemy już podsłuchu telefonów Valerii i Loredany.

– Chwila – przerwał mu Fazio – a jeśli przypadkiem Valeria zadzwoni do Rosaria?

– Nie zrobi tego. Już wiem, w jaki sposób przekazują sobie wiadomości.

– Jak?

– Przez komórkę gosposi. Tak, jak wtedy wieczorem, kiedy chciała się z nim spotkać w kamieniołomie. A z Loredaną może teraz rozmawiać osobiście.

Zadzwonił do Tommasea i wreszcie dopuścił Fazio do głosu.

– Ja go nie znam, ale wiem, kim jest ten Rosario.

– To znaczy?

– Przedstawicielem rodziny Cuffarów w Montereale. Chłopak jest młody, ale mają do niego zaufanie.

Tego komisarz się nie spodziewał. Patrzył na Fazio z otwartymi ustami.

– Ale przecież to niemożliwe, żeby w zabójstwie Savastana maczała ręce mafia!

– A niby dlaczego? – wtrącił Augello. – Bo tak ci powiedział Guttadauro? Może specjalnie cię oszukał.

Montalbano potrząsnął głową, cały czas goniąc za swoimi myślami.

– Nie – powiedział w końcu. – Jestem przekonany, że Guttadauro był ze mną szczery.

– I co z tego?

Komisarz nie odezwał się. Potem wstał, nie patrząc na nikogo, z wzrokiem utkwionym w jakiś odległy punkt. Podeszedł do okna, wrócił i wreszcie oświadczył spokojnie wpatrzonym w niego mężczyznom:

– Wszystko już teraz rozumiem.

– Może więc i z nami się tą wiedzą podzielisz... – powiedział Mimì.

– Zaznaczam, że brak mi dowodów, moja wersja opiera się jedynie na logice. A więc: przede wszystkim jestem przekonany, że po ślubie Loredany z di Martą, Carmelo Savastano nadal nie dawał spokoju dziewczynie. Ona jednak nie mówiła o tym mężowi, w obawie przed jego reakcją.

– Carmelo chciał zaciągnąć ją do łóżka? – zapytał Mimì.

– Może i tak, kto wie. Jestem przekonany, że przede wszystkim żądał od niej pieniędzy. Prawdopodobnie nie oddał jej całego nakręconego kiedyś filmu. Pamiętacie, że di Marta powiedziała, że chciał zmusić ją do prostytucji? Może rzeczywiście tak się stało i Savastano wszystko nakręcił. Oczywiście wie o tym Valeria, jej najlepsza przyjaciółka. Rosario Lauricella, brat przyrodni Valerii, odwiedza ją i czasami spotyka tam Loredanę. Zakochują się w sobie i zostają kochankami. Valeria udostępnia im pokój w swoim domu i randkują w nieparzyste dni. Ale w pewnym momencie Rosario dowiaduje się o sprawie Loredany i Savastana. Sądzę, że to Valeria o wszystkim mu powiedziała.

– Dlaczego Valeria? – zapytał Fazio.

– Ponieważ uważam, że jest z nich wszystkich najbardziej inteligentna, i myślę, że w chwili kiedy powiedziała o tym bratu, miała już w głowie cały plan. Plan polegał na uwolnieniu się za jednym zamachem od Savastana i di Marty. Dwa miesiące przed wprowadzeniem go w życie Valeria udaje, że kłóci się z Rosariem. Pozornie zrywają ze sobą stosunki. Jest na tyle ostrożna, że wiedząc o jego związkach z klanem Cuffaro, korzysta z komórki gosposi, kiedy musi się z nim skontaktować.

– A nie mówiłem, że to prawdziwa mistrzyni? – stwierdził Mimì.

– I dochodzimy do sedna. Tego wieczoru, kiedy Loredana powiedziała jej o pieniądzech w torebce, Valeria dzwoni do gosposi, prosząc o przekazanie Rosariowi, żeby natychmiast pojechał na ulicę Palermo. Rosario wyjeżdża z Montereale, zostawia auto gdzieś w pobliżu, idzie kawałek na piechotę. Nikt go nie zauważa. Może ma tylko wziąć pieniądze i zostawić na ciele Loredany widoczne ślady świadczące o rzekomym gwałcie. Resztę już znacie. W rezultacie wszyscy sądziliśmy, że w jakiś sposób jest w to wmieszany Savastano, a najbardziej wierzył w to mąż Loredany. Mąż, czyli główny podejrzany o zabójstwo, które dopiero ma nastąpić.

– Czas na drugi odcinek – powiedział Mimì.

– Kiedy Loredana mówi, że wyjawiała mężowi nazwisko Savastana, Valeria uprzedza Rosaria. On, który do tej pory na pewno już dokładnie prześledził wszelkie ruchy i przyzwyczajenia Savastana, czeka na niego ze współnikami pod ulubioną spelunką. Porywają go, wywożą na wieś, zabijają i podpalają samochód. Rosario chce, żeby wszyscy uwierzyli w mafijne porachunki, ale nic z tego nie wychodzi, bo mafia wypiera się wszystkiego.

– A ta przesyłka? – zapytał Augello.

– Już wyjaśniam. Valeria zdaje sobie sprawę, że nie ma żadnych dowodów w sprawie di Marty. Trzeba coś wymyślić, ale potrzebna jest prawdziwa bomba. I wtedy przychodzi jej do głowy pistolet,

z którego Rosario zabił Savastana. Pistolet oczyszczony z odcisków palców, wsadzony do pudełka i przekazany tobie, Mimì.

– A co ja niby miałem z tym zrobić?

– Zostawić w pokoju di Marty w supermarkecie i potem zawiadomić nas o tym anonimem. My przeszukujemy pokój i znajdujemy pistolet. Dzięki temu di Marta byłby skończony. Ale Rosario jest nieufny, twierdzi, że pistolet wrzucił do morza. Myślę, że to prawda, nie byłby tak głupi, żeby trzymać tę broń.

– Opowiedziałeś nam wspaniałą historię – powiedział Augello. – Ale jak sprawić, żeby to wszystko okazało się prawdą?

– To niełatwe – stwierdził Montalbano. – Nie wiem, jak to ugryźć. Zobaczmy później, teraz, jeśli pozwolisz, muszę do kogoś zadzwonić prywatnie.

Po wyjściu Fazia i Mimì komisarz zadzwonił do kwestury w Mediolanie, przedstawił się i poprosił o połączenie z wicekwestorem Attiliem Strazzerim.

Po ukończeniu kursu pozostali przyjaciółmi i czasami Montalbano wyświadczał mu przysługi. Teraz miał nadzieję, że Strazzeri będzie o tym pamiętał.

– Cześć, Salvo, co za niespodzianka! Szmata czasu! Co słychać?

– Wszystko dobrze, a u ciebie?

– Nie narzekam, jak mogę ci pomóc?

– Może przyjaźnisz się z kimś, kto bada kradzieże obrazów, falsyfikaty dzieł sztuki, coś w ten deseń?

– Jasne! Znam jak brata. Bo to ja.

Montalbano odetchnął z ulgą. Ze Strazzerim mógł rozmawiać swobodnie.

– Chciałem dowiedzieć się czegoś o jednym handlarzu dziełami sztuki, jeśli oczywiście o nim słyszałeś. Nazywa się Gianfranco Lariani.

Brak odpowiedzi.

– Słyszysz mnie? – zapytał komisarz.

Nikt się nie odezwał. Przybity na samym początku rozmowy kompleksem sierocym, Montalbano zaczął drzeć się jak wariat.

– Halo? Jest tam ktoś? Halo?

– Co się stało? – zapytał Strazzeri. – Przecież słyszę.

– To dlaczego milczysz?

– Bo twoje pytanie mnie zaskoczyło.

A co w nim takiego zaskakującego?

– Ale ty go znasz, tak?

– Zapisz sobie ten numer telefonu, Salvo, to moja komórka. Zadzwoń za pięć minut.

Zapisał numer. Był zaskoczony dziwną reakcją Strazzeriego. Potem zadzwonił do niego.

– Tu Montalbano.

– Wybacz mi, Salvo, ale nie byłem sam. Teraz mogę swobodnie rozmawiać. Znam tego Larianiego, czego chcesz się o nim dowiedzieć?

– Czy można mu ufać?

Strazzeri zaczął się śmiać.

– Oczywiście, że tak! To osoba godna zaufania. Aresztowali go i skazali, ale kilka lat temu. To specjalista od eksportu kradzionych

dzieł sztuki.

Cały świat, z oceanami i kontynentami, z mieszkańcami wszystkich ziem i zaludniającymi je zwierzętami zwałił się komisarzowi na głowę. Od stóp do głów oblewał go zimny pot. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydusić ani słowa.

– Jesteś tam jeszcze? – tym razem pytanie zadał Strazzeri.

– Tttak – usiłował potwierdzić Montalbano. – Ale jak on to robi?

– Masz na myśli eksport? Ma różne sposoby. Ten najbardziej genialny to podwójny obraz. Po płótnem znacznej wartości, które można wywieźć za granicę, ukryty jest kradziony obraz będący częścią naszego dziedzictwa artystycznego.

Na dziewięćdziesiąt procent obraz, który przekazał Marian, był jednym z nich. Ona, biedaczka, nic o tym nie wiedząc, zapłaci i zawiezie go do Pediciniego, który powiesi go sobie na jachcie i do widzenia.

– Mamy go na oku już od jakiegoś czasu – ciągnął Strazzeri. – Sądzimy, że szykuje coś grubego. Zazwyczaj pracuje razem ze współnikiem, który ma wkraść się w łaski marszanda, kolekcjonera albo właściciela prowincjonalnej galerii, a potem...

– Pedicini? – strzelił Montalbano.

Zapadła cisza. Ponownie przerażony możliwością porzucenia, Montalbano szykował się do wydania z siebie rozpaczliwego krzyku, kiedy Strazzeri przemówił.

– Ej, coś mi wszystkiego nie mówisz! Drogi kolego i przyjacielu, skoro po tylu latach ciszy dzwonisz do mnie i wymieniasz nazwiska Larianiego i Pediciniego, to jestem przekonany, że masz mi coś do powiedzenia. Ode mnie dowiedziałeś się, co chciałeś, teraz twoja kolej.

Montalbano wiedział, że nie ma innego wyjścia. Zdał sobie sprawę, że jedynym sposobem na wyciągnięcie Marian z tej sprawy

było nawiązanie współpracy pomiędzy nią a Strazzerim. W zamian mógł poprosić przyjaciela o zachowanie jej nazwiska dla siebie.

– A jeśli przyniosę ci głowę Larianiego na srebrnej tacy? – zapytał.

– Możemy zawrzeć pakt, tylko my dwaj?

– Mów – odpowiedział Strazzeri.

Komisarz opowiedział mu wszystko. Dogadali się. Na koniec Strazzeri powiedział mu, co ma robić.

Natychmiast zadzwonił do Marian.

– Co się stało, Salvo? – zapytała zaniepokojona.

– Stało się, że o mały włos nie narobiłaś sobie kłopotów. Lariani to oszust, który już siedział w więzieniu.

– O mój Boże!

– Posłuchaj mnie uważnie. Dam ci teraz numer telefonu. Należy do Attilia Strazzeriego, wicekwestora z Mediolanu, mojego zaufanego przyjaciela. Zadzwoń do niego zaraz po naszej rozmowie, powie ci, co masz robić. Jasne?

– Ale co oni mi zrobią?

Trząsał jej się głos, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

– Nic ci nie zrobią, nie aresztują, a twoje nazwisko nie zostanie nigdzie ujawnione, bądź spokojna. Musisz tylko spotkać się z tym Strazzerim i robić to, co ci powie. Dzwoń do niego natychmiast. Całuję! I oddzwoń do mnie wieczorem. Zapisz sobie jego numer.

Podyktował jej numer, kazał powtórzyć i rozłączył się. Teraz poczuł się trochę lepiej.

Stwierdził, że musi natychmiast się przejść, żeby odreagować strach, którego napędził mu Strazzeri. Ale najpierw zajrzał do Fazia.

– Wezwij tu na wpół do piątej Valerię Bonifacio, zawiadom Augella. Widzimy się wszyscy u mnie, o czwartej.

Zostawił auto na parkingu i zaczął spacerować bez celu. Nigdy nie chodził po miasteczku o tej porze. Zatrzymał się przed najbardziej

eleganckim sklepem z odzieżą męską w całej Vigacie. Potrzebował koszuli, ale wystraszyły go ceny rzeczy na wystawie.

Niespodziewanie zatrzymał się przy opuszczonej żaluzji galerii z napisem „złodzieje!”. Przyjrzał się jej.

Gdyby nie ten napis...

Koło niego zatrzymał się znajomy strażnik miejski.

– Wie pan, że dzisiaj rano zatrzymaliśmy tu takiego jednego, który poprawił napis zielonym sprejem?

– I kto to?

– Jakiś wariat, nazywa się Ernesto Lo Vullo, zamalował pół miasteczka, fasadę kościoła, pomnik Poległych...

– I co z nim zrobicie?

– Albo zapłaci trzysta pięćdziesiąt euro kary, albo potrzymamy go kilka dni w więzieniu. Tylko gdzie on znajdzie tyle pieniędzy? Jest bez grosza, czasami nawet prosi o jałmużnę.

Pożegnał się ze strażnikiem i pognął do urzędu miejskiego. Dowiedział się, do jakiego biura trzeba pójść, a potem, na oczach zdumionych urzędników, zapłacił mandat za Ernesta Lo Vullo i spacerował dalej.

Stanął przed wystawą sklepu „Vigàta Elektronika”. Były na niej iPody, iPady, iPidy i dyktafony, które wyglądały jak telefony komórkowe.

Kiedy przyglądał się temu wszystkiemu, nagle wpadł na pomysł, jak przyskrzynieć Bonifacio.

Wszedł i kupił jedno urządzenie. Sprzedawca chciał mu wyjaśnić, jak ono działa, ale Montalbano poradził mu, żeby sobie darował, bo nie zrozumie nawet wyjaśnień samego twórcy. Podziękował za opakowanie i wsadził do kieszeni dyktafon i instrukcję obsługi. Zapłacił i stwierdził, że czas wreszcie coś zjeść.

Posiłkował się u Enza, bez wielkiego apetytu. Myślami był z Marian w Mediolanie.

Nie wątpił, że podjął słuszną decyzję, ale dopóki wszystko się nie zakończy, nie miał stuprocentowej pewności. Chciał zadzwonić do Marian, ale obawiał się, że może przeszkadzać. Dałby nie wiadomo co, żeby być teraz blisko niej.

Wyszedł z lokalu koło trzeciej, ale nie miał ochoty na zwyczajowy spacer po molo, i tak już się dzisiaj nachodził. Wrócił na komisariat.

Zatrzymał się przy biurku Catarelli, wyjął dyktafon.

- Wiesz, jak to działa?
- Oczywiście z pewnością, panie komisarzu.
- A co trzeba zrobić, żeby odsłuchać nagranie?
- Albo podłącza pan do komputera, albo przez słuchawki.
- Możesz mi je kupić w tym sklepie, który nazywa się „Vigàta Elektronika”?

Catarella spojrział na zegarek.

- Otwierają za pół godziny.
- Ile kosztują?
- Trzydzieści euro wystarczy, wezmę najlepsze.
- Muszę je mieć najpóźniej za piętnaście czwarta – powiedział Montalbano, dając mu pieniądze.

Zebranie z Augellem i Faziem zaczęło się punktualnie o czwartej. Komisarz przemówił pierwszy.

– Posłuchajcie mnie uważnie, postanowiłem zastawić na Bonifacio pułapkę. To jedyny sposób, żeby zmusić ją do powiedzenia prawdy. Pierwszy ruch. Valeria przychodzi i widzi mnie i Fazia. Rozmawiam z nią i po pięciu minutach czas na kolejny ruch. To znaczy ty, Mimì, pukasz i wchodzisz. Przedstawiam cię jako wicekomisarza Augella. Rozmawiamy o przesyłce. Ona powie, że chciała tylko zrobić niespodziankę, że to miał być prezent. Wtedy ja wykonuję trzeci ruch.

– To znaczy? – zapytał Augello.

– Nie powiem.

– Ale dlaczego?

– Bo według mnie lepiej będzie, jeśli zareagujecie spontanicznie.

Drzwi biura otworzyły się z hukiem podobnym do eksplodującej bomby.

– Omskła mi się ręka – powiedział ze wstydem Catarella, stając na progu.

Fazio spojrział na niego krzywo, Montalbano z wściekłością, a z oczu Augella poleciały błyskawice.

Sparaliżowany tymi spojrzeniami Catarella, trzymając jakiś pakunek, stał dalej na progu.

– Podejdź tu.

– Słuchawki...

– Połóż je na biurku i wyjdź.

Montalbano otworzył pudełko, wyjął słuchawki z plastikowego opakowania, włożył je do szuflady i wyrzucił pudełko do kosza.

– To część zasadzki – wyjaśnił.

– Chciałbym wiedzieć, kiedy dokładnie mam wejść – powiedział Augello.

– Kiedy tylko Catarella powie, że przyszła Valeria, idź do swojego pokoju, policz do pięciuset i przychodź.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, tu na miejscu przebywa pani Bonifacio.

– To ona, przyszła za wcześnie – powiedział Montalbano.

Mimì wstał i zniknął.

– Niech wejdzie.

Valeria była w świetnej formie. Umalowana, uczesana, uśmiechnięta, w obcisłym ubraniu. Ale nawet jeśli nie było tego po niej widać, denerwowała się tym spotkaniem.

– Proszę siadać – powiedział komisarz.

Valeria usiadła i uśmiechnęła się do Fazia. Potem spojrzała pytająco na Montalbana, lekko przechylając głowę na bok. Wyglądała jak chodząca niewinność.

– Jak pani zapewne wiadomo, ponieważ sędzia jeszcze nie wydał zgody na przedłużenie nakazu aresztowania Salvatore di Marty, prokurator poprosił o dochodzenie uzupełniające. Nie sądzę, żeby coś jeszcze pozostało do odkrycia, wszystko jest już jasne, ale musimy wykonywać polecenia.

Valeria wyraźnie odprężyła się i wygodniej usiadła na krześle.

– Ja powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia – stwierdziła.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Była pani szczerą i lojalną w stosunku do mnie i ja będę tak samo zachowywał się wobec pani. Proszę zatem spokojnie odpowiadać na moje pytania.

– Dobrze.

– Zna pani niejakiego mecenasa Diego Cromę?

Valeria zadrżała, jak gdyby przeszedł przez jej ciało prąd, ale wzięła się w karby.

– Tak, ale nie rozumiem, dlaczego...

W tym momencie, zgodnie z ustaleniami, ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedział komisarz.

Wszedł uśmiechnięty Mimì Augello. Zmiana wyrazu twarzy Valerii była warta grzechu. W jednej chwili zrobiła się purpurowa, wściekła i zdenerwowana. Usiłowała zrozumieć, jaki cel miało pojawienie się tu mecenasa.

– Przedstawiam pani mojego zastępcę, wicekomisarza Augella – powiedział Montalbano.

Reakcja Valerii była zaskakująca. Na jej twarzy natychmiast pojawił się uśmiech.

– Cześć, ale po co przedstawiałeś mi się fałszywym nazwiskiem? Spodobałbyś mi się także jako glina.

Zaskoczony Mimì nic nie odpowiedział. Montalbano w myślach pogratulował kobiecie refleksu. Co za klasa! Zachowała zimną krew, z takimi jak ona trzeba było naprawdę bardzo uważać.

– Proszę nam powiedzieć, co zawierać miała paczka, którą miała pani zamiar przekazać panu Augellowi, żeby schował ją w miejscu, którego pani nie wymieniła?

Valeria uśmiechnęła się.

– A co niby miała zawierać? Naszyjnik. Chciałam zrobić niespodziankę Loredanie i podrzucić go jej do biura w supermarkecie.

– Dlaczego potem zmieniła pani zdanie?

– Ponieważ nie chciałam mieć więcej nic wspólnego z mecenasem Cromą, albo z komisarzem Augellem, nie wiem, jak o nim teraz mówić. Nasza znajomość zaczęła przybierać zbyt... intymną formę i wolałam ją zakończyć.

Montalbano przewidział taką odpowiedź. Teraz musiał wykonać decydujący, trzeci ruch.

– Tamtego wieczoru, po północy, spotkała się pani z pewnym mężczyzną.

– Od miesiący nie wychodzę wieczorami.

– Informuję, że podsłuchujemy pani rozmowy telefoniczne od kilku dni i...

– To w takim razie proszę dać mi do odsłuchania rozmowę, podczas której jakoby umawiałam się z mężczyzną...

– Nie mogę tego zrobić, ponieważ posłużyła się pani komórką swojej gosposi.

Cios został zadany celnie, ale Valeria przyjęła go z godnością. Gotowa do natychmiastowego odparowania ciosu.

– Wymyślił pan to sobie. W każdym razie moja gosposia nie powiedziałaaby tego nawet podczas tortur.

– Zaznaczam, że wiemy ponad wszelką wątpliwość, że spotkała się pani z mężczyzną.

– Nawet gdybym to zrobiła, nie sędzę, że zostałyby to zakwalifikowane jako przestępstwo. Spotkałam się także z mecenasem Cromą. Mam rację, panie mecenasie?

– Tak, to nie przestępstwo. Chciałbym jednak zadać pani pytanie. Czy pamięta pani, z jakiego powodu pani i ten mężczyzna musieliście szybko przerwać rozmowę w kamieniołomie i uciec z miejsca spotkania, każde swoim autem?

– Jak mam wiedzieć, skoro mnie tam nie było?

– W takim razie ja to pani przypomnę. Ktoś wtedy kichał w pobliżu.

Valeria pobladała. Fazio i Augello popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. Montalbano ciągnął dalej.

– Tym kimś byłem ja. Kichnąłem czternaście razy pod rząd, chce pani posłuchać?

Wyciągnął z torebki dyktafon i położył na biurku. Podał Valerii wyjęte z szuflady słuchawki.

– Przed tą serią kichnięć może pani też posłuchać nagrania całej waszej rozmowy. Chciała pani dostać pistolet, którym ten mężczyzna, w myśl pani planu, zabił Carmela Savastana. Miała pani zamiar umieścić broń w pudełku i z pomocą obecnego tu komisarza Augella podłożyć w gabinecie właściciela supermarketu. Po odnalezieniu di Marta zostałyby z pewnością skazany.

Valeria nie drgnęła, przypominała teraz gipsową figurę. Jednak ta figura lekko drżała.

– Oczywiście – kontynuował Montalbano – zidentyfikowaliśmy tego mężczyznę. Nazywa się Rosario Lauricella, to pani przyrodni brat i kochanek Loredany di Marta. Użyczała pani im hojnie sypialni u siebie w domu podczas spotkań, trzy razy w tygodniu. Właśnie w tym pokoju miał miejsce rzekomy gwałt na Loredanie.

Valeria była napięta jak struna tuż przed zerwaniem. Komisarz zdecydował się na decydujący ruch.

– Wie pani co? Rosario panią okłamał. Powiedział, że pozbył się pistoletu wrzucając do morza, ale to nieprawda. Trzymał tę broń w domu, znaleźliśmy ją dwie godziny temu, kiedy pojechaliśmy go aresztować. Wobec tak oczywistego dowodu załamał się i przyznał do wszystkiego. Powiedział, że pani to wszystko zorganizowała. Dlatego ja...

Nie udało mu się dokończyć zdania.

Valeria zerwała się na równe nogi, usiłując podrapać mu twarz zakrzywionymi jak szpony dłońmi. Montalbano odsunął się, podczas gdy Fazio i Augello natychmiast ją złapali.

– Co to za dupek, kretyn jeden! Przecież mu powiedziałam, żeby mi dał ten pistolet! Ale on umie tylko zabijać i pieprzyć! A teraz wkopał nas wszystkich!

Kopała na oślep jak mulica.

Mimì został wyeliminowany z pola walki kopniakiem w jądra.

Gallo wraz z innym agentem, słysząc hałas, wbiegli do pokoju i wreszcie udało się im zapanować nad sytuacją.

Zabrali toczącą pianę z wściekłości kobietę do celi. Przeklinała jak wozak i oskarżała Loredanę o zaplanowanie i zorganizowanie wszystkiego.

Fazio, Augello i sam komisarz poświęcili pół godziny, żeby doprowadzić pokój do porządku po wyczynach Valerii.

– Moje gratulacje – powiedział Augello.

– Mimo wszystko – rzekł Fazio – rozumiem, jaki interes miała w tym Loredana, a jaki Rosario, ale po co to było Valerii, to naprawdę nie wiem.

– Jeśli o to chodzi, to ja też nie – dodał Augello.

– W tym przypadku – odezwał się Montalbano – w grę wchodzi pieniądze. Po skazaniu di Marty, Loredana zostałaby jedyną

dziedziczką całego jego majątku. Hojnie wynagradzając przyjaciółkę, dzięki której genialnemu planowi pozbyła się męża, została bogata i mogła cieszyć się szczęściem u boku kochanka. Poza tym jestem przekonany, że przyjaźń Valerii z Loredaną była pewnego rodzaju miłością. Valeria nienawidziła di Marty tylko dlatego, że kupił sobie uczucie Loredany. Wiedziała, że jej przyjaciółka cierpi z powodu o wiele starszego męża, i zrobiłaby wszystko, żeby tylko widzieć ją szczęśliwą. Ale nie sądzę, że kiedykolwiek się do tego przyzna.

– À propos – powiedział Fazio – kiedy chce pan spisać zeznania?

– Zrób to od razu – poradził Montalbano. – Ty też tam pójź, Mimì. Jeśli pozostawimy jej czas, to jeszcze wszystkiego się wyprze. Potem ty, Mimì, idź do Tommasea, wręcz mu zeznanie i poproś o nakaz aresztowania Rosaria i Loredany.

– Montereale nie leży na naszym terenie – zauważył Augello.

– No to przekażesz dokumenty policji, tym z lotnej lub innej sekcji, zobaczysz, co ci powie Tommaseo.

Po wyjściu Fazia i Augella komisarz spojrział na zegarek. Wpół do szóstej. Prawdziwy rekord.

A co o tej godzinie robiła Marian?

Doczekał do dziewiątej, coraz bardziej zdenerwowany. Dlaczego nie ma jeszcze Mimì i Fazia? A jeśli w międzyczasie Marian dzwoniła do Marinelli i nie zastała go?

Może Tommaseo zaczął robić jakieś trudności?

Pierwszy pojawił się Augello.

– Tommaseo jest w porządku, nie stracił ani minuty, wystawił obydwie nakazy. Fazio ma się zająć aresztowaniem Loredany, a ja pomogłem tym z lotnej.

– Zatrzymaliście Rosaria?

– Nie, chyba uciekł.

– Można to wyjaśnić. Valeria pewnie zawiadomiła go z komórki gosposi, która została tu wezwana, no i uciekł.

– Trudno go będzie złapać – stwierdził Augello. – Skoro jest człowiekiem Cuffarów, będą go ochraniać.

– Tak myślisz?

Pojawił się Fazio.

– Jak poszło z Loredaną?

– Dorwałem ją w supermarkecie.

– Zrobiła piekło?

– Nie, ale nic jej nie powiedziałem o nakazie aresztowania. Poinformowałem tylko, że prokurator Tommaseo chce się z nią natychmiast widzieć. Zawołała szefową sprzedawców i pojechała ze mną. Nie sądzę, żeby klienci skojarzyli, o co chodzi. Ale mam wrażenie, że spodziewała się tego.

– Może Valeria powiedziała o wezwaniu także i jej, nie tylko Rosariowi.

– To był dobry dzień – stwierdził Fazio.

– Tak, i bardzo wam za wszystko dziękuję. A teraz, jeśli pozwolicie, uciekam do Marinelli. Już późno.

18

Podbiegał do drzwi wejściowych, kiedy usłyszał, że zaczął dzwonić ten przeklęty telefon. Chciał wyciągnąć klucze, które zazwyczaj trzymał w lewej kieszeni kurtki, ale nie znalazł ich tam.

Telefon przestał dzwonić.

Zaklął i, cały spocony z nerwów, przeszukał kieszenie. Ani śladu kluczy. Pewnie wypadły mu w biurze, kiedy wyjmował z kieszeni dyktafon.

Postanowił poradzić sobie inaczej. Zszedł na plażę, obszedł dom i sprawdził okno balkonowe wychodzące na werandę. Zamknięte na amen.

Telefon, jak gdyby chciał go jeszcze bardziej rozdrażnić, ponownie zaczął dzwonić.

Biegiem wrócił do furtki, wsiadł do auta i ruszył do Vigaty, prowadząc jak ktoś, kto właśnie wypił beczkę wina. Podczas jazdy omal nie doprowadził do dziesięciu wypadków, czterech kłótni mogących skończyć się jatką, wreszcie zaparkował i wbiegł do komisariatu, gdzie przy wejściu zablokował go Catarella.

– Panie komisarzu! Całe szczęście, że pan tu się zjawił, Matko Przenajświętsza, ciągle do pana wydzwaniam!

– To ty dzwoniłeś?

– Tak jest.

Odetchnął z ulgą, czyli to jednak nie Marian.

– A co się dzieje?

– Chciałem uprzedzić, że zapomniał pan kluczy w biurze.

– Wybacz mi, ale skoro wiedziałeś, że ich nie wziąłem, to po co wydzwaniałeś do domu, jak niby miałem do niego się dostać?

– Proszę o wybaczenie, a skąd miałem wiedzieć, że nie może pan odebrać?

Montalbano poddał się.

– Dobra, daj mi te klucze – powiedział.

Kiedy wszedł do domu, obiecał sobie, że nie będzie patrzył, co przygotowała mu Adelina, dopóki nie dowie się czegoś o Marian.

Usiadł na werandzie, była za pięć dziesiąta. Postanowił zaczekać do dziesiątej, a jeśli do tej pory Marian nie zadzwoni, to sam spróbuje się z nią skontaktować.

Dokładnie w tej samej chwili zadzwonił telefon. To była Livia. Nie mógł nie zauważyć własnego rozczarowania.

– Jak się czujesz? – zapytał od razu.

– Nie wiem.

– To znaczy?

– Salvo, przecież mówiłam ci, że jestem w stanie ciągłego niepokoju, czuję nieznośny ciężar. Ale dzisiaj, koło szóstej, ten niepokój zniknął bez śladu.

– Nareszcie!

– Zaczekaj, pojawiło się za to uczucie jakiejś takiej rezygnacji, jak gdyby nic już nie pozostało mi do zrobienia, jak gdyby to, czego się obawiałam, właśnie się stało. Towarzyszyła temu pustka, niemożliwa do wypełnienia, niezwykle bolesna. To tak, jak przeżywasz żałobę. Mogłam tylko płakać i nic innego nie robiłam. Ale jednocześnie odnalazłam jakieś pocieszenie, wsparcie w tym płaczu.

– Oczywiście, mimo że obiecałaś, nie poszłaś do lekarza.

– Nie sądzę, żeby to było potrzebne.

– Co ty mówisz! Jesteś w takim stanie i nie...

– Uwierz mi Salvo, wyjdę z tego, czuję, że dam radę. Powoli, z trudem, nie bez bólu, ale wyjdę z tego. Teraz cię zostawiam. Nie chce mi się rozmawiać, męczę się. Chcę tylko leżeć na łóżku, usłyszemy się jutro.

Mimo wszystko Montalbana pocieszyły te wiadomości. W głosie Livii usłyszał nowy ton, który pozostawiał pewną nadzieję.

Było już dziesięć po dziesiątej. Trząsał się, nie mógł już dłużej wytrzymać. Zadzwoił do Marian na komórkę.

Ze zdenerwowania dwa razy pomylił numer. Za trzecim razem wreszcie mu się udało.

– Komisarzu drogi, właśnie miałam do ciebie dzwonić.

– Jak się czujesz?

Zauważył, że dokładnie takie samo pytanie zadał Livii.

– Teraz dobrze, naprawdę. Po tym, jak bardzo mnie przestraszyłeś dzisiaj rano...

– Wybacz, ale...

– To nie zarzut, Salvo, wprost przeciwnie.

– Opowiadaj.

– Strazzeri jest rzeczywiście fantastyczny, sprawił, że poczułam się komfortowo.

– Opowiedz mi wszystko dokładnie.

– Kiedy do niego zadzwoniłam, był tak miły, że nawet odwiedził mnie w domu. Prosił, żebym mu wszystko opowiedziała, z najdrobniejszymi szczegółami, pomyślał chwilę i doradził, żebym zadzwoniła do Larianiego, dając mu coś w rodzaju ultimatum: albo powie mi coś konkretnego do szóstej po południu, albo koniec z interesami.

– A Lariani?

– Trochę żartował, że taka jestem niecierpliwa, ale wreszcie powiedział, że zadzwoni o siedemnastej.

– I zadzwonił?

– Tak. Umówił się na jedenastą, jutro rano u niego w domu. Pokaże mi płótno, które jakoby sam znalazł, ale według Strazzeriego otrzymał je pewnie od kogoś, kto mu je przechowuje.

– Zawiadomiłaś Strazzeriego?

– Przecież był ze mną, kiedy dzwoniłam!

– I jaki jest plan?

– Jutro o jedenastej idę sama do Larianiego. Jeśli pokaże mi właściwy obraz, to znaczy ten na wierzchu, Strazzeri pokazał mi, co zrobić, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Mam tylko nacisnąć guzik pagera, który będę miała w kieszeni. Wtedy wejdą do mieszkania. Strazzeri wyznaczył jednego agenta, żeby mnie stamtąd natychmiast wyprowadził.

– Ale jak wyjaśnię twoją obecność podczas procesu?

– Strazzeri napisze w raporcie, że jestem agentem działającym pod przykryciem i nie może zdradzić mojej tożsamości.

– Świetny plan!

– Też tak uważam.

Jednak za chwilę Montalbana opadły wątpliwości.

– Dasz sobie radę sama z Larianim?

– Oczywiście, nie martw się.

– Czy to dla ciebie nie za bardzo ryzykowne?

– Strazzeri i jego ludzie będą tuż obok, w razie najmniejszego niebezpieczeństwa mam po prostu uruchomić alarm.

– Proszę cię, pamiętaj, żeby mnie zawiadomić, kiedy tylko cię stamtąd wyprowadzą.

– Oczywiście. Nie denerwuj się, Salvo, będę odważna i zdeterminowana. I dziękuję, że mnie uratowałeś, komisarzu. Ale jak przyszło ci do głowy, że Lariani nie jest tym, za kogo się podaje?

Opowiedział jej historię napisu na żaluzjach.

– Ach, ten Pedicini! – powiedziała Marian. – Wydawał się godny szacunku. I jak szybko udało mu się zyskać moje zaufanie! Nieźle w to zainwestował!

– Najwidoczniej obraz z Mediolanu, ma dla niego nieocenioną wartość.

Marian myślami była jednak już gdzie indziej.

– Jutro o siedemnastej jest lot do Palermo. Wieczorem zjemy razem kolację? Jesteś wolny?

– Myślę, że tak.

– Już liczę godziny, mój komisarzu. Jestem szczęśliwa. A jutrzejszej nocy będę jeszcze szczęśliwsza. O dwudziestej pierwszej u ciebie będzie OK?

– Wspaniale.

– A jeśli przez przypadek spóźnię się, przyrzekasz, że na mnie zaczekasz?

– Przyrzekam.

Po skończonej rozmowie komisarz udał się do kuchni, podśpiewując marsz triumfalny. Postanowił trochę się zabawić. Zamknął oczy i spróbował wyczuć, co też Adelina przygotowała mu do jedzenia. Lodówka pachniała pustką. Otworzył piecyk i nozdrza wypełnił mu zapach przenikających się aromatów. Trochę czasu zajęło mu ich rozróżnienie: tagliatelle z ragù i bakłażany zapiekane po parmeńsku. Czy czegoś jeszcze można chcieć od życia?

Zjadł na werandzie, nie spiesząc się, bo i tak chciał obejrzeć wiadomości o północy. Kiedy skończył, sprzątnął wszystko ze stołu, włączył telewizor i usiadł w fotelu z papierosami w zasięgu ręki. Obejrzał końcówkę reklam, po których pokazała się czołówka wiadomości prowadzonych przez Zita.

Zaczynamy od wiadomości, która dotarła do nas pod koniec wydania z dwudziestej drugiej, dlatego przekazujemy ją dopiero teraz. Sędzia Antonio Grasso nie zgodził się na aresztowanie Salvatore di Marty, oskarżanego o zabójstwo Savastana. Równocześnie dowiedzieliśmy się, że prokurator Tommaseo nie będzie odwoływał się od tej decyzji, w związku z tym di Marta został niezwłocznie wypuszczony na wolność. Tommaseo podkreślił jednak, że zostanie przesłuchany. Tak więc wydaje się jasne, że o ile ostatnie dochodzenia nie dostarczą wiarygodnych dowodów winy di Marty, zostanie on oczyszczony z zarzutów i śledztwo ruszy od nowa.

Kolejna ważna wiadomość nie doczekała się jeszcze oficjalnego potwierdzenia. Mówi się, że polowanie na trzech imigrantów, trwające już trzeci dzień, zakończyło się częściowym sukcesem. Podobno dwóch z nich zostało już aresztowanych. Nie odpowiedzieli na pytania prowadzących dochodzenie, odmawiając jakichkolwiek wypowiedzi. O trzecim z nich, tym uzbrojonym w karabin maszynowy i – jakoby – rannym, nadal nic nie wiadomo. Kiedy tylko dowiemy się czegoś pewnego o tej sprawie, która, naszym zdaniem, nadal kryje wiele niejasności, bezzwłocznie poinformujemy naszych widzów.

Śmiertelny wypadek miał dzisiaj miejsce na drodze numer szesnaście...

Wyłączył telewizor. Czyli nikt jeszcze nie wiedział, że dochodzenie w sprawie Savastana zostało zamknięte. Tommaseo słusznie powiedział, że di Marta nadal jest podejrzany. Takie posunięcie miało najwyraźniej na celu uspokojenie ukrywającego się Rosaria i sprowokowanie go do poczynienia fałszywych kroków.

Przypomniały mu się słowa Mimì, że trudno będzie go aresztować, skoro pozostaje pod opieką klanu Cuffarów. Tyle że

Cuffarowie nie znają jeszcze prawdy. Ale... znalazłby się sposób, żeby ich o tym poinformować.

Uśmiechnął się dumny z pomysłu. Spojrzał na zegarek. Wpół do pierwszej. Za wcześnie. Powinien zadzwonić najwcześniej o pierwszej. Poszwał się po domu, potem postanowił wziąć prysznic i przygotować się do snu.

Dziesięć po pierwszej podszedł do telefonu i wykręcił numer.

– Słucham? Kto mówi? – odezwał się poirytowany i zaspany męski głos.

– Czy mówię z mecenasem Guttadauro?

– Tak, ale kto mówi?

– Tu Montalbano.

Ton głosu Guttadaura natychmiast uległ zmianie.

– Drogi panie komisarzu! Czym zasłużyłem na...

– Przepraszam, że dzwonię o tej godzinie, z pewnością pana obudziłem, ale ponieważ wyjeżdżam, stwierdziłem, że budzić pana o świcie byłoby czymś o wiele gorszym.

– Ależ oczywiście, dobrze pan zrobił!

Mecenas umierał z ciekawości, chcąc jak najszybciej poznać powód tej rozmowy, ale nie chciał przejąć inicjatywy.

A Montalbano wcale nie ułatwiał mu sprawy.

– Co słychać?

– Wszystko w porządku, a u pana?

– Nie narzekam, ale od kilku dni coś mnie strasznie swędzi.

Jak przystało na osobę dobrze wychowaną, Guttadauro powstrzymał się od dociekania, gdzie znajduje się owo swędzące miejsce.

– Mówił pan, że właśnie wyjeżdża – powiedział zamiast tego. – A dokąd, jeśli można wiedzieć?

– Na krótkie wakacje po zakończonym dochodzeniu w sprawie Savastana.

– Jak to zakończonym? – zapytał zdumiony Guttadauro. – Przecież di Marta został wypuszczony na wolność, ale nadal jest objęty dochodzeniem, co oznacza, że...

– Dziwię się panu, mecenasie, że mimo tak wielkiego doświadczenia... Proszę mi uwierzyć, skoro mówię, że zostało zakończone, to tak jest!

– A kto niby jest mordercą?

– No nie, to już tajemnica śledztwa...

– A nie mógłby pan...

– Czy pan żartuje?

– Nie nalegam. W takim razie...

– W takim razie co?

Guttadauro był na skraju omdlenia.

– Nic, chciałem powiedzieć...

– Słucham.

Montalbano świetnie się bawił. Guttadauro nie wytrzymał.

– No to po co pan zadzwonił?

– Ano właśnie, o mało nie zapomniałem.

I wybuchnął śmiechem.

– Dlaczego się pan śmieje? – zapytał podenerwowany Guttadauro.

– Pamięta pan tę historyjkę, którą opowiedział mi pan kilka dni temu? O tym łowcy lwów? Właśnie dzisiaj wieczorem opowiedziano mi ją ponownie, ale z pewną istotną różnicą.

– To znaczy?

– Przede wszystkim ten myśliwy przebywał w strefie, w której obowiązywał zakaz polowania na lwy.

– A co to oznacza?

– Oznacza, że taki niedoświadczony myśliwy, bardzo młody, z Montereale, niedawno przyjęty do ekipy, a nie jakiś tam byle jaki tubylec, jak to jest w pańskiej wersji, zabija lwa na własny rachunek, bez wiedzy innych myśliwych i robi tak, aby wina za to morderstwo mogła spaść na jego towarzyszy, a nie na niego samego. Rozumie pan?

Guttadauro zastanowił się chwilę. Starał się zrozumieć znaczenie słów komisarza. Wreszcie chwycił. Powiedział tylko:

– Aha.

– Czyli wszystko jasne? – powtórzył Montalbano.

– Jak najbardziej – uciął Guttadauro.

– Tak więc pozostaje mi tylko życzyć panu głębokiego, relaksującego snu.

I po sprawie. Guttadauro jak nic właśnie informował Cuffarów o błędzie Rosaria. A los młodzieńca został już przesądzony.

Jeśli nie odda się w ręce wymiaru sprawiedliwości, zostanie zamordowany przez swoich byłych koleżków.

Montalbano położył się i zasnął, kiedy tylko wylądował w łóżku.

Dźwięk telefonu wydobył go z prawdziwej otchłani. Zapalił światło, była szósta rano. Podniósł słuchawkę.

– Montalbano? Tu Sposito.

Zdziwił się. Czego on chce o tej porze?

– Co się dzieje?

– Dasz radę być gotowy w ciągu pół godziny?

– Tak, ale...

– O wpół do siódmej przyjadę po ciebie.

I rozłączył się. Montalbano leżał zdumiony, nadal ze słuchawką w ręku. Co się stało? Nie ma co się zastanawiać, lepiej zacząć się przygotowywać. Otworzył okno i popatrzył na niebo.

Ranek mógł się wydawać niewyraźny i humorzasty. Pewnie dlatego komisarz czuł się co najmniej niepewnie.

Poszedł pod prysznic. O wpół do siódmej był gotowy. Minutę później rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył agentowi, który przywitał się z nim. Montalbano wyszedł, zamknął drzwi, a Sposito poprosił, żeby usiadł koło niego, na tylnym siedzeniu. Agent usiadł za kierownicą i ruszyli.

– Co się stało? – zapytał Montalbano.

– Wolę nic nie mówić, dopóki nie dojedziemy na miejsce – odpowiedział Sposito.

Czy to dotyczyło Tunezyjczyków, jakoby aresztowanych dzień wcześniej? A jeśli tak, dlaczego Sposito włączał w to jego, skoro do tej pory robił wszystko, żeby trzymać Montalbana z daleka od całej sprawy?

Zjechali z drogi regionalnej w odpowiednie dla pojazdów gąsienicowych wiejskie dróżki, niewiele szersze od ich samochodu. Niebo z jasnoróżowego zmieniło tymczasem kolor na szary, a potem na rozmyty błękit, aby zatrzymać się na niewyraźnej bieli zacierającej kontury i mącającej wzrok. Od dłuższej chwili komisarz wiedział już, dokąd jechali.

– Jedziemy do osady Casuzza? – zapytał.

– Znasz to miejsce? – zdziwił się Sposito.

– Tak.

Był tam dwa razy, pierwszy we śnie, kiedy zobaczył trumnę, i drugi w rzeczywistości, oglądając spalony samochód ze zwłokami w środku. Co tym razem pokaże mu Sposito?

Kiedy dojechali na miejsce, Montalbana zatkało.

Dokładnie w miejscu, w którym w jego śnie stała trumna, teraz zobaczył tam prawdziwą, identyczną. Trumna dla zmarłych trzeciej kategorii, najbiedniejszych, z surowego drewna, bez śladu lakieru.

Kawałek białego płótna wystawał spod niedbale osadzonej pokrywy.

W pewnej odległości stał inny samochód służbowy, z trzema agentami, i czarny karawan. Dwóch pracowników firmy pogrzebowej spacerowało koło auta, paląc papierosy.

Panowała totalna cisza. Montalbano zacisnął zęby. To był koszmar. Spojrzał pytająco na Sposito, który z sympatią położył mu rękę na ramieniu i odciągnął go na stronę.

– W trumnie jest jeden z tych Tunezyjczyków. Dostałem polecenie, żeby odesłać zwłoki do Tunezji. Ale zanim to zrobię, chciałem, żebyś wszystko sam zobaczył. To nie był żaden przemytnik, tylko patriota. Zginął w wyniku obrażeń doznanych podczas zbrojnego starcia, kompletnie niezamierzonego, z moimi ludźmi. Śledziłem go od dawna, wiedziałem o nim wszystko, nawet o jego życiu prywatnym, ale nie udawało mi się go złapać. Kiedy go zobaczysz, zrozumiesz, dlaczego nie chciałem włączać cię w tę sprawę. To on cię rozpoznał tamtego dnia, kiedy siedział w stodole. Dojrzał przez lornetkę.

Świetlne ostrze, które wtedy poraziło komisarza.

W kompletnym poplątaniu myśli Montalbano zaczynał rozumieć, o kogo chodzi, ale nie chciał dalej odkrywać prawdy. Nie mógł się uspokoić. Sposito popchnął go lekko w stronę trumny.

– Odwagi – powiedział.

Komisarz pochylił się i dwoma palcami pociągnął za płótno, wysuwając je spod pokrywy. Dzięki temu mógł zobaczyć wyhaftowane na nim, splecione litery F i M.

Poczuł, że ma nogi jak z waty, i upadł na kolana.

F i M. François Moussa. Te inicjały wyhaftowano na jego polecenie, na sześciu koszulach, które podarował François na dwudzieste urodziny. Ostatni raz, kiedy mógł go objąć.

– Chcesz go zobaczyć? – zapytał Sposito na ucho.

– Nie.

Wolał, aby ostatnim kontaktem z François był ten świetlny błysk, który przez ułamek sekundy ponownie ich połączył.

Jeśli zaś będzie chciał go powspominać, wystarczy mu wspomnienie tej chwili, kiedy chłopiec, miał wtedy dziesięć lat, uciekł z domu w Marinelli i Livia, która uważała go już wtedy za swojego syna, podniosła alarm. Montalbano puścił się w pościg po plaży i złapał go. Długo rozmawiali. François tęsknił za swoją zmarłą mamą, Karimą. Komisarz powiedział mu, że on też został sierotą, kiedy był jeszcze młodszy niż François. Opowiedział chłopcu o sprawach nieznanych nawet Livii. Od tej chwili zaczęli się dogadywać.

Potem, z biegiem lat, rozdzieliła ich odległość, dystans...

Nie miał już teraz nic do powiedzenia ani do zrobienia. Wstał, podpierając się na ramieniu Sposita.

– Możesz mnie odwieźć?

– Oczywiście.

– Czy Pasquano już przyjechał?

– Tak.

– Był w stanie określić godzinę śmierci?

– Mniej więcej koło osiemnastej wczoraj.

„Dziękuję za wszystko” – pomyślał Montalbano, idąc do samochodu.

Szósta. Nagle, koło szóstej... koło szóstej ten niepokój Livii zniknął bez śladu.

Livia przeżywała, sama tego nie wiedząc, agonię i śmierć François, jak syna, którego sama urodziła. Syna, którego on, przez egoizm, brak odpowiedzialności nie chciał adoptować. Ile nacierpiała się wtedy Livia... Ale Montalbano twardo odmawiał.

A teraz wreszcie wiedział, co powinien zrobić. Po swojej śmierci François połączył Livię i jego, jakby zostali małżeństwem.

Po powrocie do Marinelli zadzwonił do kwestury i poprosił o dziesięć dni urlopu. Miał dużo zaległych dni, więc nikt nie robił mu kłopotów. Zarezerwował miejsce na najbliższy lot do Genui, o drugiej po południu. W końcu zadzwonił do Fazia, powiedział, że Livia nie czuje się dobrze i że jedzie spędzić z nią kilka dni. Usiadł na werandzie, wypalił kilka papierosów, myśląc o François. Potem wstał, wytarł oczy rękawem koszuli i poszedł się spakować.

Tego samego wieczoru, o dziewiątej, Marian długo pukała do drzwi. Nie wiedziała, że nigdy się przed nią nie otworzą.

Nota

Ta opowieść jest wyłącznie owocem wyobraźni. Dlatego nazwiska bohaterów i sytuacje nie mogą i nie mają mieć pokrycia w rzeczywistości. Mimo tego ostrzeżenia, które zamieszczam na końcu moich powieści, co jakiś czas ktoś utożsamia się z jakąś postacią, grożąc mi niekiedy podjęciem kroków prawnych. Może nie jest zadowolony z własnej rzeczywistości.

A.C.

Przypisy

[1] Gra słów: *vai a fare in culo...* to mocny wulgaryzm włoski, podobny w brzmieniu do żeńskiego imienia Marian.

[2] tłum. Tadeusz Boy-Żeleński

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące utwory Andrei Camilleriego:

KSZTAŁT WODY
2007

PIES Z TERAKOTY
2007

ZŁODZIEJ KANAPEK
2007

ZNIKNIĘCIE PATÒ
2004

GŁOS SKRZYPIEC
2008

MIESIĄC Z KOMISARZEM MONTALBANO
2008

POMARAŃCZKI KOMISARZA MONTALBANO
2009

WYCIECZKA DO TINDARI
2007

ZAPACH NOCY
2008

PIWOWAR Z PRESTON
2008

OBIETNICA KOMISARZA MONTALBANO
2009

KOLOR SŁOŃCA
2009

CIERPLIWOŚĆ PAJĄKA
2010

PENSJONAT „EWA”
2010

PAPIEROWY KSIĘŻYC
2011

SZARY KOSTIUM
2011

SIERPNIOWY ŻAR
2012

SKRZYDŁA SFINKSA
2013

SEZON ŁOWIECKI
2014

POLE GARNCARZA
2014

WIEK WĄTPLIWOŚCI
2015

ŚMIERĆ NA OTWARTYM MORZU
2016

KRÓLOWA POMORZA I INNE HISTORIE Z VIGATY
2016

TANIEC MEWY
2017

POLOWANIE NA SKARB
2018

GRA LUSTER
2019

UŚMIECH ANGELIKI
2020